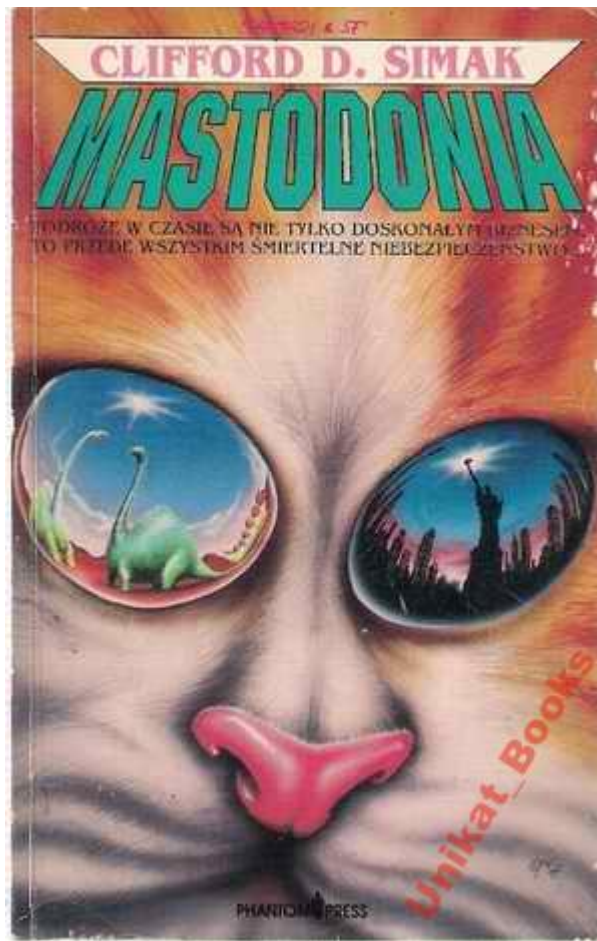


MASTODONIA

GRAND MASTER OF SCIENCE FICTION

CLIFFORD D. SIMAK





**CLIFFORD D.
SIMAK**

MASTODONIA

Science-Fiction-Roman
Przełożył: Andrzej Leszczyński

PHANTOM
P R E S S

1993

Spis treści

Mastodonia

Karta tytułowa

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

Przypisy

ROZDZIAŁ 1

Wyrwało mnie ze snu przeraźliwe wycie psa. Usiadłem w łóżku, rozglądając się półprzytomnym wzrokiem. Pierwszy brzask zalewał widmowym światłem wytarty dywan, poobijaną komodę oraz szereg ubrań na wieszakach za uchylonymi drzwiami szafy.

– Co się stało, Asa?

Obróciłem głowę i ujrzałem siedzącą obok Rilę. Na miłość boską, jak to się stało, że po tylu latach Rila znowu jest ze mną? – przemknęło mi przez myśl. Naraz lotem błyskawicy przyszło olśnienie, przypomniałem sobie wszystko.

Pies zawył ponownie. Tym razem głos dobiegł z bliższej odległości, zawarte w nim było nieopisane cierpienie i strach.

Wygrzebałem się spod kołdry i zacząłem macać na ślepo w poszukiwaniu spodni, wsuwając jednocześnie stopy w kapcie.

– To Bowser – mruknąłem. – Ten cholerny głupek nie wrócił na noc do domu. Myślałem, że wytropił świstaka.

Bowser jest przysłowiowym psem na świstaki. Kiedy złapie świeży trop, nie rezygnuje, choćby nie wiem co. Gotów jest w ślad za zwierzakiem kopać nawet przez pół świata. Chcąc położyć kres temu szaleństwu, zwykle wychodziłem i ściągałem psa do domu. Ale wczoraj wieczorem, kiedy przyjechała Rila, na śmierć o nim zapomniałem.

Zszedłem do kuchni i usłyszałem skomlenie dochodzące z werandy. Otworzyłem drzwi. Faktycznie, był to Bowser. Z zadu sterczała mu długa

drewniana tyczka. Podszedłem do niego, pochyliłem się, objąłem go mocno ramieniem i obróciłem bokiem, żeby zobaczyć, cóż to takiego. Drąg okazał się drzewcem oszczepu, a przywiązane do niego kamienne ostrze tkwiło wbite głęboko w mięsień tylnej łapy. Pies zaskomlał żałośnie.

W drzwiach kuchennych stanęła Rila.

– Czy coś mu się stało? – zapytała.

– Ktoś go ugodził – odparłem. – Z uda sterczy mu włócznia.

Rila pospiesznie wkroczyła na werandę.

– To niezbyt głęboka rana – oświadczyła. – Grot utkwił tuż pod skórą.

Wyciągnęła rękę, ostrożnie zacisnęła palce na drzewcu i gwałtownym szarpnięciem wydobyła oszczep.

Bowser szczeknął i zaskomlał. Trząśł się cały. Wziąłem go na ręce i zaniósłem do kuchni.

– Na tapczanie w salonie leży stary koc – powiedziałem. – Przynieś go, proszę. Zrobimy mu poślanie w tamtym rogu. – Następnie zwróciłem się do Bowsera: – Wszystko w porządku, jesteś już w domu. Będzie dobrze, zaopiekujemy się tobą.

– Asa!

– O co chodzi?

– To jest ociosane krzemienne ostrze z kultury folsomskiej! – Wyciągała włócznię w moim kierunku, bym mógł ją dokładnie obejrzeć. – Kto zadawałby sobie tyle trudu, żeby skopiować prymitywny oszczep, a potem ciskać nim w psa?

– Pewnie jakiś dzieciak, jeden z tych małych potworków.

Energicznie pokręciła głową.

– Żaden dzieciak nie potrafiłby umocować krzemienia na końcu drzewca, a już na pewno nie w ten sposób.

– Przynieś koc, proszę.

Położyła dzidę na stole i poszła do salonu. Po chwili wróciła z kocem, złożyła go starannie, uklękła i przygotowała posłanie w rogu kuchni.

Położyłem na nim psa.

– Spokojnie, mały. Zrobimy ci opatrunek. Rana nie wygląda zbyt groźnie.

– Czyżbyś nie rozumiał, Asa? Nie słyszałeś, o czym mówiłam?

– Słyszałem – odparłem. – Krzemienne ostrze z kultury folsomskiej, sprzed dziesięciu tysięcy lat. Wyrób paleoindian. Identyczne znajdowano w pobliżu skupisk kości prehistorycznych bizonów.

– Nie tylko – wtrąciła. – Przyjrzyj się, że drzewce było wyrównywane techniką skrobania. Wszystko wskazuje na to, że do jego wyrobu pieczołowicie odtworzono prymitywne metody.

– Chyba tak. Nie miałem zamiaru opowiadać ci o tym, ale teraz mogę zdradzić tajemnicę. Zdaje się, że Bowser jest psem podróżującym w czasie. Kiedyś przytaszczył do domu kość dinozaura...

– Sądzisz, że pies zdolny byłby wykopać kość dinozaura?

– Nie rozumiałeś mnie. To nie była stara kość, zwietrzała i skamieniała, ale świeżutka, pokryta jeszcze strzępami mięsa. Musiała pochodzić z padliny jakiegoś małego dinozaura, w przybliżeniu wielkości psa, może trochę większego.

Rila nie okazała zdziwienia.

– Weź nożyczki i wytnij mu sierść wokół rany. Zagrzeję trochę wody do przemycia jej. Gdzie masz apteczkę?

– W łazience, na prawo od lustra. – Kiedy odwróciła się, powiedziałem:
– Rila...

– Słucham.

– Cieszę się, że przyjechałaś.

ROZDZIAŁ 2

Pojawiła się wczoraj wieczorem wprost z przeszłości, z odległej co najmniej o dwadzieścia lat przeszłości. Siedziałem sobie przed domem, w fotelu na biegunach ustawionym pod rozłożystym klonem, kiedy spostrzegłem samochód skręcający z szosy w drogę dojazdową. Duża czarna limuzyna. Któż to może być – przemknęło mi przez myśl. Mówiąc szczerze, nie byłem zachwycony perspektywą spotkania się z kimkolwiek. Mieszkałem na tym odludziu od kilku miesięcy i nauczyłem się już cenić uroki samotności, odczuwałem wręcz niechęć do spotkań towarzyskich.

Samochód podjechał do bramy i zatrzymał się; wysiadła z niego kobieta. Wstałem z fotela i ruszyłem ścieżką przez podwórze, kobieta zaś minęła furtkę i szła w moim kierunku. Zdążyła pokonać spory kawałek drogi, zanim rozpoznałem w tej szczupłej, wytwornie ubranej damie dziewczynę, którą znałem przed dwudziestu laty. Miałem jednak nadal sporo wątpliwości – po tak długim czasie zatarte wspomnienia powodowały, że gotów byłem widzieć w każdej pięknej kobiecie tamtą dziewczynę starszą o dwadzieścia lat.

Zatrzymałem się.

– Rila? – zapytałem. – Rila Elliot?

Stała kilka kroków przede mną i obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, jakby ona także nie była do końca przekonana, że to ja jestem Asą Steele'em.

– Asa – powiedziała po dłuższej chwili. – To naprawdę ty. Poznaję cię. Dowiedziałam się, że zamieszkałeś tutaj. Nie dalej jak wczoraj rozmawiałam z przyjacielem, który zdradził mi, że kupiłeś tę farmę. Sądziłam, że wciąż nauczasz na tej śmiesznej, małej uczelni, gdzieś na zachodzie. Tak często myślałam o tobie...

Mówiła i mówiła, jakby tylko po to, aby nie robić nic innego, żeby zamaskować zmieszanie i niepewność, które musiała odczuwać.

Ruszyłem do przodu i stanąłem tuż przed nią.

– Asa – szepnęła. – To trwało tak strasznie długo...

Sam nie wiem, jak znalazła się nagle w moich objęciach. Doznałem wrażenia nierealności – kobieta, która tu, w Wisconsin, pewnego wieczoru, wysiadając z długiej czarnej limuzyny, za jednym zamachem pokonała dwa dziesięciolecia rozdzielającego nas czasu. Jakże trudno było skojarzyć ją z tą beztroską, wiecznie roześmianą dziewczyną z okresu naszej wspólnej pracy na Bliskim Wschodzie przy wykopaliskach, kiedy to wypruwaliśmy żyły, odkrywając tajemnice prehistorycznych kurhanów, które później miały okazać się niewiele znaczące dla nauki. Ja grzebałem w ziemi, odwalałem i przesiewałem piasek, ona zaś opisywała i katalogowała, jakimś cudem identyfikując gliniane skorupy i resztę starożytnego śmiecia, które rozkładała na długich stołach. Tamto upalne i suche lato było dla nas zdecydowanie za krótkie. Pracowaliśmy razem całymi dniami, a wieczorami kochaliśmy się, jeśli mogliśmy znaleźć chwilę odosobnienia, chociaż – jak pamiętam – pod koniec sezonu nie kryliśmy się już zbyt z naszym związkiem. Zresztą koledzy zdawali się nie zwracać na nas szczególnej uwagi.

– Straciłem już nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze cię zobaczę – powiedziałem. – Oczywiście, nieraz miałem ochotę cię odwiedzić, ale nigdy nie zdobyłem się na odwagę wtargnięcia w twoje życie. Wmawiałem

sobie, że zapomniałaś, iż nie będziesz miała ochoty zobaczyć się ze mną, a jeśli nawet wyrazisz zgodę na spotkanie, to wypełnimy je tylko sztywną, nic nie znaczącą rozmową, oznaczającą koniec moich marzeń. Nie chciałem kończyć naszej znajomości w ten sposób, pragnąłem zachować żywe wspomnienia. Mniej więcej dziesięć lat temu obito mi się o uszy, że zajęłaś się jakąś działalnością handlową, lecz później straciłem twój ślad...

Objęła mnie mocno i uniosła twarz do pocałunku. Skorzystałem skwapliwie, a chociaż nie zawarłem w pocałunku całej radości, jaka mnie przepełniała, to chyba wyraźnie dałem odczuć, jak bardzo jestem wdzięczny losowi, że nas znowu połączył.

– Nadal w tym siedzę – powiedziała. – Można rzec, że stałam się specjalistką od importu i eksportu. Sądzę jednak, że wkrótce zrezygnuję z tej pracy.

– Dlaczego ciągle tu stoimy? Chodź, usiądziemy pod drzewem. To bardzo przyjemne miejsce, spędzam tam niemal każdy wieczór. Jeśli masz ochotę, przygotuję coś do picia.

– Później – odparła. – Tu jest tak miło.

– Cisza i spokój – stwierdziłem. – W miasteczku akademickim też jest dość spokojnie, ale to zupełnie co innego. Udało mi się wyrwać stamtąd prawie na cały rok.

– Zrezygnowałaś z pracy na uniwersytecie?

– Nie, jestem na urlopie naukowym. Naciskano, żebym napisał książkę, ale jak do tej pory nie skleciłem nawet jednego zdania i nie mam zamiaru tego robić. Chcę złożyć rezygnację, kiedy urlop dobiegnie końca.

– Jak się nazywa ta miejscowość? Willow Bend?

– Willow Bend to miasteczko, parę kilometrów stąd. Musiałaś przez nie przejeżdżać. Mieszkałem tam kiedyś, mój ojciec miał niewielką farmę na jego obrzeżu. Ta czterdziestoakrowa i posiadłość należała niegdyś do

rodziny Streeterów. Za moich młodych lat włóczyłem się po okolicznych lasach, polowałem, łowiłem ryby, poznawałem przyrodę. Między innymi razem z kolegami odwiedzaliśmy tę farmę. Streeter nigdy nie miał nam tego za złe. Jego syn, o imieniu Hugh, jeśli dobrze pamiętam, należał do naszej paczki.

– A twoi rodzice?

– Ojciec od wielu lat jest już na emeryturze. Oboje przenieśli się do Kalifornii, do brata ojca, zresztą siostry matki też mieszkają gdzieś na wybrzeżu. Mniej więcej pięć lat temu wróciłem tu i kupiłem farmę. Nie zrobiłem tego, jak można by sądzić, wyłącznie z sentymentu, chociaż z Willow Bend i okolicami wiąże się wiele przyjemnych wspomnień.

– Jeśli nie z sentymentu, to dlaczego wybrałeś Willow Bend i tę farmę?

– Jest tu coś, co chciałem po latach odnaleźć. Opowiem ci o tym później, jeśli będziesz miała ochotę posłuchać. Teraz ty opowiedz o sobie, o twojej pracy.

– Uśmiejesz się – powiedziała. – Weszłam w handel artefaktami i skamielinami. Niewielki początkowo biznes szybko się rozkręcił, zajmowaliśmy się przede wszystkim znaleziskami i skamieniałościami, choć również minerałami i podobnymi drobiazgami. Skoro nie miałam szans zostać znanym archeologiem czy paleontologiem, to chciałam przynajmniej wykorzystać w pracy swoją wiedzę. Od początku najlepiej sprzedawały się czaszki drobnych dinozaurów, dobrze zachowane trylobity i odłamki skalne z wyraźnymi odciskami rybich szkieletów. Byłbyś zaskoczony, jakie ceny można uzyskać za ciekawe okazy, a nawet za inne, mniej wartościowe. Kilka lat temu pewna firma produkująca śniadaniowe przetwory zbożowe wpadła na pomysł promowania swych artykułów przez dołączanie do opakowań, w charakterze premii, niewielkich sześcianików z kości dinozaurów. Zgłosili się z tym pomysłem do mnie. Czy wiesz, skąd

braliśmy szczątki dinozaurów? Odkryto obfite złożę w Arizonie. Gdy do akcji wkroczyły buldożery i spychacze, wydobyto setki ton kości, z których następnie wycinano owe sześcianiki. Nie muszę chyba mówić, że było mi trochę wstyd. Nie dlatego, że działaliśmy nieformalnie. Wykupiliśmy cały teren i byliśmy w zgodzie z wszelkimi przepisami, lecz ciągle dręczyła mnie świadomość, że w ten sposób niszczymy wiele bezcennych skamieniałości.

– To prawda – przyznałem. – Myślę jednak, że jako uznany archeolog czy paleontolog miałabyś znacznie mniej satysfakcji z pracy.

– Wręcz przeciwnie – odparła. – Zawsze darzyłam te specjalności szczególnym szacunkiem. Chciałabym zaliczyć się do tego grona, ale nie miałam najmniejszych szans. Mogłabym latami ciągnąć wykopaliska w jakiejś zapomnianej przez Boga dziurze, podobnej do tej w Turcji, gdzie pracowaliśmy razem. Mogłabym przez całe lato wydobywać, klasyfikować i katalogować przedmioty, a po zamknięciu sezonu spędzać dalsze miesiące na opisywaniu znalezisk. Jednocześnie nauczałabym skretyniałych studentów. Czy sądzisz, że w ten sposób doszłabym do czegoś? Mogę się założyć, że nie. Żeby coś znaczyć w tym interesie, trzeba skończyć Yale, Harvard, Chicago albo podobną uczelnię, a i wówczas można stracić wiele lat życia, zanim ktoś raczy zwrócić na ciebie uwagę. Na szczytach nie ma miejsca i nie liczy się, jak ciężko pracujesz, jak uparcie walczysz o sławę. Kilka tłustych kocurów i kolekcjonerów chwały rozdzieliło fotele między siebie i nie dopuszczają nikogo.

– Dość dokładnie sprawdziło się to w moim wypadku – przyznałem. – Posada wykładowcy w prowincjonalnej uczelni, bez szans na jakiegokolwiek prace badawcze. Brak funduszy na najskromniejsze nawet wykopaliska. Od czasu do czasu możliwość udziału w czymś znaczącym, o ile zdążyłbym w porę wpisać się na listę i przystał na wykonywanie mrówczej roboty przy

łopacie. Ale nie narzekam, z czasem przestało mi zależeć na zaszczytach. Środowisko akademickie dawało mi poczucie bezpieczeństwa i stwarzało godziwe warunki życia. Kiedy Alice odeszła... Wiedziałaś o moim małżeństwie z Alice?

– Tak, wiedziałam.

– Nie sądziłem, że aż tak bardzo to przeżyję... Mówię o jej odejściu. Zraniła moją dumę. Na jakiś czas musiałem znaleźć schronienie, odizolować się od ludzi. Nie chodzi bynajmniej o tę farmę, już dawno pogodziłem się z losem.

– Masz syna.

– Owszem. Robert jest teraz z matką; w Wiedniu, jak sądzę. W każdym razie gdzieś w Europie. Alice odeszła ode mnie i związała się z dyplomata, zawodowym dyplomata, a nie politykiem z nominacji.

– A co z chłopakiem, z Robertem?

– Początkowo mieszkał ze mną. Kiedy zapragnął przenieść się do matki, po prostu nie mogłem się nie zgodzić.

– Ja nigdy nie wyszłam za mąż – oznajmiła. – Najpierw byłam zbyt zajęta, potem przestało mi już zależeć.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, obserwując zapadający zmierzch. Od strony gęstej kępy skarłowaciałych krzewów w jednym z rogów podwórza dolatywał silny zapach kwitnących bzów. Wokół kępy majestatycznie skakał napuszony drozd, od czasu do czasu zerkając w naszym kierunku perełkowatymi oczkami.

– Rila – szepnąłem – byliśmy parą głupców. Dawno temu łączyło nas coś pięknego, a my nawet nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem, nie miałem zamiaru wracać do przeszłości. Po prostu wyrwało mi się.

– Wiem – rzekła. – Właśnie dlatego przyjechałam.

– Zostaniesz przez jakiś czas? O tak wielu sprawach chciałbym z tobą porozmawiać. Mogę zadzwonić do motelu. Nie jest wysokiej klasy, ale zawsze...

– Nie – przerwała. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanę tutaj, z tobą.

– W porządku. Przeniosę się na tapczan w salonie.

– Asa – oznajmiła sucho – nie udawaj dżentelmena, to do ciebie nie pasuje. Powiedziałam, że chcę zostać tu z tobą.

ROZDZIAŁ 3

Siedzieliśmy w kuchni przy stole, jedząc śniadanie, Bowser zaś leżał cichutko w kącie, patrząc na nas żałośnie, z wyrzutem.

- Zdaje się, że wraca do zdrowia – zauważyła Rila.
- Och, nic mu nie będzie. Szybko się wylize.
- Od jak dawna masz tego psa?
- Bowser towarzyszy mi już od wielu lat. Był to typowy mieszczuch, karny i dobrze ułożony. Najwyżej rozganiał stada ptaków, gdy wychodziliśmy na spacer. Ale od kiedy zamieszkaliśmy tutaj, zmienił się nie do poznania. Zrobił się z niego włóczykij, w dodatku ogarnięty manią polowania na świstaki. Próbuje je wygrzebywać. Niemal każdego wieczoru muszę wyruszać na poszukiwania i wyciągać go z dziury, którą kopie w ziemi, rozochocony panicznym gwizdem i jazgotem dochodzącym z głębin nory. Myślałem, że wczoraj wieczorem także wybrał się na łowy.
- Sam widzisz, do czego doszło, kiedy nie poszedłeś za nim.
- Cóż, miałem ważniejsze rzeczy na głowie. Nie sądziłem zresztą, że spędzenie nocy poza domem wyjdzie mu na złe.
- Ale skąd to ostrze z kultury folsomskiej, Asa? Na pewno się nie mylę. Wielokrotnie widywałam podobne, a są przecież dość charakterystyczne. Powiedziałaś, że mógł to zrobić jakiś dzieciak, lecz jestem przekonana, iż żadne dziecko nie potrafiłoby umocować krzemienia na drzewcu w taki sposób, w jaki ten został przywiązany. Mówiłeś też coś o kościach dinozaura.

– Zażartowałem, że ten pies podróżuje w czasie. Wiem, że brzmi to niewiarygodnie.

– To absolutnie wykluczone, Asa. Nikt nie może podróżować w czasie, a już na pewno nie pies.

– Jak w takim razie wytłumaczysz pochodzenie kości?

– Może nie były to kości dinozaura?

– Znam się na tym, szanowna pani. Wykładałam paleontologię na uniwersytecie, a dinozaury stały się moim hobby. Czytam na ich temat wszystko, co mi wpadnie w ręce, a któregoś lata wykopaliśmy niemal kompletny szkielet. Musiałem go potem złożyć dla muzeum. Prawie całą zimę mordowałem się z dobieraniem i łączeniem kości, w dodatku trzeba było dorobić brakujące elementy i pomalować je na biało, żeby nikt nie zarzucił, że to marna imitacja.

– Skąd zatem świeże kości?

– Na dodatek z kawałkami mięsa, chrząstkami i ścięgnami. Mięso już śmierdziało, podobnie jak Bowser. Widocznie znalazł rozkładającą się padlinę i wytarzał się w niej, zbierając tę miłą dla niego woń. Musiałem go przez trzy dni szorować, żeby pozbyć się paskudnego smrodu. Cuchnął tak, że nie sposób było z nim wytrzymać.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak ci uwierzyć. Ale jak to wytłumaczyć?

– Nie wiem. Ja się poddałem, nie zdołałem nic wymyślić. Na przykład przez jakiś czas wmawiałem sobie, że kilku mniejszym gatunkom dinozaurów udało się przetrwać do naszych czasów, a Bowser jakimś sposobem trafił na padlinę jednego z nich. Przyznasz sama, że to równie fantastyczny pomysł, jak psie umiejętności podróżowania w czasie.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto tam? – zawołałem.

– Hiram, panie Steele. Przyszedłem zobaczyć się z Bowserem.

– Wejź, Hiramie. Bowser jest tutaj. Miał wypadek.

Hiram wszedł do kuchni, lecz gdy ujrzał siedzącą przy stole Rilę, zaczął się wycofywać.

– Może lepiej przyjdę później, panie Steele – mruknął. – Zapukałem tylko dlatego, że nie dostrzegłem Bowsera przed domem.

– Nic nie szkodzi, Hiramie. Poznaj pannę Elliot, moją przyjaciółkę, z którą nie widziałem się od bardzo dawna.

Wszedł dalej, powłócząc nogami, zerwał czapkę z głowy i oburącz przycisnął ją do piersi.

– Miło mi panią poznać – mruknął. – Czy to pani samochód stoi przed domem?

– Tak, mój – odparła Rila.

– Duży – stwierdził Hiram. – Nigdy nie widziałem takiego dużego auta. Można się w nim przejrzeć, tak pięknie błyszczy.

Dostrzegł Bowsera w kącie kuchni, pospiesznie obszedł stół i uklęknął przy psie.

– Co mu się stało? – zapytał. – Ma wyciętą sierść na jednym udzie.

– Musiałem to zrobić. Ktoś go postrzelił z łuku.

Wyjaśnienie nie było całkiem zgodne z prawdą, lecz na tyle wiarygodne, że powstrzymało Hirama przed zadawaniem dalszych pytań. Wiedział co nieco o łukach i strzałach, wiele dzieciaków w miasteczku posługiwało się tą bronią.

– Czy jest poważnie okaleczony?

– Nie, raczej nie.

Hiram pochylił się i przesunął dłonią po karku Bowsera.

– To nie w porządku – powiedział. – Nie wolno strzelać do psów. Nikt nie powinien tego robić.

Bowser z wdzięczności za okazaną mu czułość energicznie zabębnił ogonem o podłogę i polizał Hirama po twarzy.

– Zwłaszcza jeśli chodzi o Bowsera – dodał Hiram. – Nie znam lepszego od niego psa.

– Napijesz się kawy, Hiramie?

– Nie, proszę nie zwracać na mnie uwagi. Posiedzę sobie cichutko przy nim.

– Mogę też usmażyć jajecznicę.

– Nie, dziękuję, panie Steele. Jadłem już śniadanie. Odwiedziłem wielbego Jacobsona, który ugościł mnie bułeczkami i parówkami.

– W porządku, zostań z Bowserem – powiedziałem. – Ja pokażę pannie Elliot okolice.

Kiedy wyszliśmy na podwórze i oddaliliśmy się nieco od domu, powiedziałem do Rili:

– Nie zwracaj uwagi na Hirama. To porządny facet. Nieszkodliwy. Włóczy się po okolicy, a wszyscy mieszkańcy miasteczka opiekują się nim, zawsze u kogoś znajdzie gościnę. Nie robi nic złego.

– Nie ma gdzie mieszkać?

– Ma barak nad rzeką, ale rzadko można go tam zastać. Większość czasu spędza u znajomych. Bardzo zaprzyjaźnił się z Bowserem.

– Zauważyłam.

– Hiram twierdzi, że umie się z nim porozumieć, że przemawia do niego i rozumie wszystko, co mówi pies. Dotyczy to zresztą nie tylko Bowsera. Hiram przyjaźni się ze wszystkimi zwierzętami i ptakami. Potrafi godzinami siedzieć na podwórku i przemawiać do głupiego, napuszonego drozda, a ptak stoi jak urzeczony z łebkiem przechylonym na bok i wsłuchuje się w jego słowa. Czasami można by przysiąc, że świetnie wszystko rozumie. Hiram łązi po lasach, odwiedza króliki i wiewiórki,

chomiki i świstaki. Robi straszne wymówki Bowserowi za ganiecie świstaków. Powtarza, że gdyby świstaki nie bały się Bowsera, przychodziłyby bawić się razem z nim.

– Zdaje się, że to po prostu niegroźny wariat.

– Och, nie ma co do tego wątpliwości. Takich ludzi jak on spotkać można wszędzie, nie tylko w małych miasteczkach.

– Mówisz tak, jakbyś go lubił.

– Nie przeszkadza mi, jeśli mam być szczery. Nie robi nic złego. Jak sama stwierdziłaś, to niegroźny wariat.

– Ale Bowser go lubi.

– Mało, wariuje na jego punkcie – odparłem.

– Wspomniałaś, o ile pamiętam, że kupiłeś czterdzieści akrów gruntu. Co, do diabła, taki człowiek jak ty ma zamiar robić na czterdziestoakrowym poletku?

– Rozejrzyj się dookoła, może wówczas zrozumiesz. Wsłuchaj się w śpiew ptaków, popatrz na tamte stare jabłunki w sadzie. Spójrz, jak pięknie kwitną. Hodowla jabłoni to żadna sztuka. Większość tych drzewek rodzi drobne, robaczywe owoce. Pewnie mógłbym je opryskiwać, ale jest z tym strasznie dużo zachodu. Chociaż zbieram mało efektowne i robaczywe jabłka, znajdują się wśród nich gatunki, o których ludzie dawno już zapomnieli. Mam tu jedno drzewko śnieżnej jabłoni i trzy szare renety. Uwierz mi, że nigdy nie jadłaś prawdziwych jabłek, jeśli nie próbowałaś szarej renety.

Zaśmiała się.

– Jesteś zabawny – stwierdziła po chwili. – Zawsze potrafiłeś mnie rozśmieszyć. Robisz to w specyficzny, nietuzinkowy sposób. Wiem jednak, że nie zamieszkałeś tu dla śpiewu ptaszków czy dla jakichś dawno temu zapomnianych gatunków jabłek. To tylko dodatkowe powody, na pewno

musi być coś jeszcze. Wspominałeś wczoraj wieczorem, że przyjechałeś tu, żeby coś odnaleźć, nie powiedziałeś mi jednak, cóż to takiego.

Ująłem ją pod rękę.

– Chodź, przejdziemy się trochę.

Ścieżka skręcała za rozwalającą się stodołę z wykoślawionymi drzwiami, omijała róg zaniedbanego sadu i wychodziła na miedzę wzdłuż nie uprawianego od dawna, porośniętego chwastami pola, otoczonego z trzech stron lasem. Na skraju pola urywała się przy krawędzi zagłębienia.

– To jest naturalne zapadlisko – wyjaśniłem. – W każdym razie wszyscy tak sądzą.

– Widzę, że kopalesz tutaj – rzekła, spoglądając na wydrążone przeze mnie rowy.

Przytaknąłem.

– Sąsiedzi myślą, że jestem stuknięty. Na początku uważali mnie za poszukiwacza skarbów, ponieważ jednak nie znalazłem tutaj niczego, doszli zgodnie do wniosku, że muszę być pomyłony.

– Nie jesteś stuknięty, poza tym to nie jest naturalne zapadlisko – oznajmiła. – Powiedz mi, o co chodzi.

Odetchnąłem głęboko i wyrzuciłem z siebie jednym tchem:

– Sądzę, że jest to krater po katastrofie statku kosmicznego. Bóg jeden wie, kiedy mogło się to wydarzyć. Znalazłem odłamki metalu. Nic wielkiego i nic znaczącego. Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, pojazd rozbił się przy stosunkowo niewielkiej szybkości. Nie zderzył się z ziemią jak meteoryt. W takim wypadku nie przetrwałyby żadne odłamki metalowe, z wyjątkiem stopionych grudek. Niemniej musiał to być poważny karambol, skoro utworzyło się tak wielkie zagłębienie, ale nie znalazłem nigdzie śladów obecności plazmy. Jestem przekonany, że głębiej spoczywa większa ilość szczątków tego, co rąbnęło w ziemię.

– Mam rozumieć, że wiedziałeś o istnieniu tej jamy już wtedy, kiedy mieszkałeś tu za młodu?

– Owszem – odparłem. – Cała okolica jest usiana tak zwanymi dołami górniczymi. Tu wszędzie jest pełno rud ołowiu. Kiedyś istniały liczne niewielkie kopalnie odkrywkowe. Jeszcze wcześniej, ponad sto lat temu, wiele grup rekonesansowych kopało tysiące dołów eksploracyjnych w nadziei znalezienia bogatszych złóż. Stąd też, znacznie później, mieszkańcy zaczęli nazywać wszystkie zagłębienia, nawet te powstałe w naturalny sposób, dołami górniczymi. Kiedy byłem chłopcem, razem z kolegami każdego lata kopaliśmy tutaj, przekonani oczywiście, że to także jest dół górniczy. Staruszek, który uprawiał to pole, pozwalał nam na wszystko. Często żartował sobie, że jesteśmy prawdziwymi górnikami. Już wtedy znajdowaliśmy dziwne metalowe odłamki, ale nie były podobne do rudy ołowiu, nie odznaczały się też niczym szczególnym. Po jakimś czasie przestaliśmy interesować się tym dołem. Ale wraz z upływem lat coraz częściej zastanawiałem się nad niezwykłymi znaleziskami, utwierdzając się zarazem w przekonaniu, że muszą to być szczątki statku kosmicznego. Przyjechałem tu kiedyś, zachowując wszelkie pozory powrotu do rodzinnych stron. Gdy zaś dowiedziałem się, że farma została wystawiona na sprzedaż, kupiłem ją bez chwili zastanowienia. Bałem się, że jeśli dam sobie czas do namysłu, nigdy nie zdecyduję się na kupno. Teraz, gdy czasami wracam myślą do tamtych dni, dochodzę do wniosku, że popełniłem głupstwo. Niemniej cieszę się, że spędziłem tutaj kilka miesięcy.

– Uważam, że to wspaniałe – oznajmiła Rila.

Popatrzyłem na nią zdumiony.

– Naprawdę?

– Pomyśl tylko: statek kosmiczny rodem z gwiazd.

– To przecież jedynie hipoteza.

Podeszła bliżej, wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek.

– Nie ma znaczenia, czy jest ona mniej, czy bardziej prawdopodobna. Ważne, że nadal potrafisz puszczać wodze fantazji i przekonać samego siebie.

– Wygląda na to, że zdołałem przekonać także ciebie, trzeźwo myślącą kobietę interesu.

– Zajęłam się handlem tylko po to, żeby przetrwać. W głębi serca nadal jestem archeologiem, a wszyscy archeolodzy to czystej wody romantycy.

– Muszę się przyznać, że targały mną sprzeczne uczucia. Z jednej strony bardzo chciałem podzielić się z tobą moim odkryciem, z drugiej zaś bałem się, że... potraktujesz mnie jak nieodpowiedzialnego kretyna.

– Powiedz mi, co udało ci się znaleźć, jakie masz dowody na poparcie tej hipotezy.

– Kawałki metalu, odłamki wykonane z jakichś dziwnych stopów. Wysłałem kilka próbek do laboratorium uniwersyteckiego i analizy wykazały, że są to stopy, o jakich do tej pory nikt nie słyszał. Zrobiło się spore zamieszanie, tamci koniecznie chcieli wiedzieć, skąd wzięłem te odłamki. Skłamałem, że po prostu znalazłem je na polu i wzbudziły moje zainteresowanie. Na tym się skończyło. Nadal pozostaje to moją tajemnicą. Nie chciałem, żeby wszyscy zaczęli tu węszyć. Większość z tych odłamków to nie wyróżniające się niczym kawałki metalu, ale na niektórych widać ślady maszynowej obróbki. Na żadnym nie ma rdzy, tylko gdzieś tam można dostrzec delikatne przebarwienia, jakby powierzchnia była niezwykle odporna na długotrwałe działanie czynników atmosferycznych. Metal jest bardzo twardy, niemal równie twardy jak diament, ale nie jest kruchy, a w dodatku niewiarygodnie wytrzymały na rozciąganie. Pewnie można by w inny sposób wytłumaczyć pochodzenie tych znalezisk, ale

szczątki statku kosmicznego są najlepszą, najbardziej sensowną hipotezą, jaka mi przychodzi do głowy. Powtarzam sobie, że powinienem być obiektywny, rzeczowy, nie ulegać fantazji...

– Daj spokój, Asa. Wcale nie ponosi cię fantazja. Chociaż twoja hipoteza jest dość niewiarygodna, to przecież dysponujesz na jej poparcie odpowiednimi dowodami. Nie możemy ich po prostu zignorować.

– Jeśli tak, to muszę powiedzieć ci jeszcze o czymś – wtrąciłem. – W tym przypadku nie mam żadnych dowodów, jedynie świadectwo moich oczu oraz przeczucie. Mam dziwnego sąsiada, bo chyba tak najlepiej go określić. Nigdy nawet nie widziałem go dobrze, nie miałem okazji mu się przyjrzeć. Ale nieraz czułem jego obecność, dostrzegałem pewne oznaki świadczące o tym, że patrzy na mnie, i choć nie widziałem go bezpośrednio, to zawsze wyobraźnia podpowiadała mi, że on tam jest. Mówię o wyobraźni tylko dlatego, że staram się być obiektywny i rzeczowy. Bazując wyłącznie na moich spostrzeżeniach, zyskałem pewność, że on istnieje. Najczęściej pojawia się w sadzie, ale nie przebywa tam przez cały czas. Zdaje się, że okresowo zmienia teren działania.

– Czy ktoś jeszcze go widział?

– Podejrzewam, że tak. Od czasu do czasu ostrzega się o obecności w okolicy pantery, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego ludzie mieliby się obawiać pantery. Mam wrażenie, że na wsi ostrzeżenia przed niedźwiedziami i panterami stanowią ulubioną rozrywkę. Chyba wciąż daje o sobie znać atawistyczny strach.

– Może i są tu pantery.

– Wątpię. Ostatnie potwierdzone doniesienia o spotkaniu z górskim lwem pochodzą sprzed czterdziestu lat. Przyczyną może być fakt, że stworzenie, o którym mówiłem, z pozoru można wziąć za dużego kota. Mieszka tu jeden facet, który wie o zwierzętach znacznie więcej niż

ktokolwiek inny. Stanowi miejscowy odpowiednik Daniela Boone'a i Davida Thoreau zarazem. Całe życie spędził w lasach.

– I cóż on o tym myśli?

– Nic sensownego nie przychodzi mu do głowy, tak jak mnie. Kilkakrotnie rozmawialiśmy na ten temat i doszliśmy do wniosku, że trudno stwierdzić cokolwiek pewnego.

– Sądzisz, że istnieje jakiś związek między tym stworzeniem a statkiem kosmicznym?

– Czasem odnoszę takie wrażenie, ale to chyba zanadto naciągana teoria. Należałoby wnioskować, że ta obca istota wyszła cało z katastrofy. Musiałaby w takim razie być niesamowicie długowieczna. Poza tym nie sądzę, by cokolwiek mogło przeżyć takie zderzenie, o ile ono rzeczywiście miało miejsce.

– Chciałabym zobaczyć kilka wydobytych przez ciebie kawałków metalu – powiedziała Rila.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Trzymam je w stodole. Pokażę ci, kiedy wrócimy na farmę.

ROZDZIAŁ 4

Hiram siedział rozparty wygodnie na ławce przed domem, a Bowser leżał na trawie u jego stóp. Drozd stał beczelnie o kilka kroków od nich, obrzucając intruzów na swoim terenie wyzywającym wzrokiem.

– Bowser powiedział, że nie chce leżeć w domu, wyniosłem go więc na dwór – wyjaśnił Hiram.

– Wykorzystał ciebie – powiedziałem. – Mógł wyjść na własnych nogach.

Jakby w ramach przeprosin pies postukał ogonem o ziemię.

– Drozdowi jest przykro z powodu rany Bowsera – dodał Hiram.

Po ptaku wcale nie było widać, że jest mu przykro.

– Nie mam teraz nic do roboty. Może się pan zająć swoimi sprawami, a ja popilnuję Bowsera, aż wyzdrowieje. Mogę siedzieć przy nim dzień i noc. Jeśli będzie czegoś potrzebował, powie mi o tym.

– W porządku, zaopiekuj się nim – odparłem. – Mamy kilka spraw do załatwienia.

Poszliśmy do stodoły. Sporo czasu zajęło mi otwarcie wykoślawionych drzwi. Obiecałem sobie w duchu, że któregoś dnia je naprawię. Była to robota zaledwie na kilka godzin, ale jakoś nigdy nie mogłem się do niej zabrać.

W rogu stodoły, gdzie wciąż jeszcze unosił się intensywny zapach końskiego nawozu, trzymałem zwalone bezładnie na stos stare graty, natomiast cały środek zajmowały dwa długie stoły, prowizorycznie

sklecone przeze mnie z desek i kozłów do cięcia drewna. Układałem na nich wszystkie znalezione czy też wykopane z ziemi odłamki. Na brzegu jednego ze stołów leżały dwa bliźniacze elementy z błyszczącego metalu w kształcie wydrążonych półkul, które znalazłem podczas robienia porządków w stodole.

Rila podeszła do stołu i podniosła jeden z poszarpanych odłamków. Przez chwilę obracała go w dłoni, wreszcie rzekła z pewnym rozbawieniem w głosie:

– Tak jak mówiłeś, nie ma nawet śladu rdzy, tylko nieliczne plamki. Czy w skład tego stopu wchodzi żelazo?

– Jest go nawet dość dużo – odparłem. – Tak przynajmniej twierdzą specjaliści z uniwersytetu.

– Każdy metal żelazny rdzewieje – stwierdziła. – Istnieją pewne odporne stopy, lecz nawet one przy dłuższym kontakcie z tlenem pokrywają się rdzą.

– Ten kawałek musiał tu leżeć ponad sto lat, a prawdopodobnie liczy sobie o wiele więcej. Kilka lat temu w Willow Bend obchodzono stulecie istnienia miasta, krater natomiast powstał jeszcze przed jego założeniem. Dno zagłębienia wyściela kilkumetrowa warstwa łu, która musiała się tam gromadzić przez dłuższy czas. Spróbuj policzyć, ile warstw gnijących co roku liści potrzeba, by spowodować kilkucentymetrowy przyrost poziomu gleby.

– Czy próbowałeś dopasowywać te odłamki do siebie?

– Owszem. Pewne szczątki pasują i tworzą większe fragmenty, ale nadal trudno cokolwiek powiedzieć o ich przeznaczeniu.

– I co masz zamiar z tym robić?

– Raczej nic. Na razie będę kopał dalej. Nie rozpowiadaj o tym, tylko tobie przedstawiłem moją teorię. Zresztą, gdybym próbował kogoś wtajemniczyć, spotkałbym się wyłącznie z drwinami. Znalazłoby się nagle

kilku ekspertów od wszystkiego, zdolnych wytłumaczyć nawet najbardziej zdumiewające odkrycia.

– Chyba masz rację – stwierdziła. – Tak czy inaczej dysponujesz dość wiarygodnymi dowodami na to, że istnieje w galaktyce inna cywilizacja, a jej przedstawiciele odwiedzili Ziemię. Sądzę, że to dość ważne, w każdym razie na tyle, by zaryzykować wystawienie się na drwiny.

– Nie rozumiesz – zaproponowałem – że każde przedwczesne ogłoszenie tych rewelacji może sprawić, iż nie zostaną one odpowiednio przyjęte, albo wręcz nikt nie będzie przywiązywał do nich wagi? Ludzie odznaczają się dziwną, instynktowną niechęcią do zaakceptowania możliwości istnienia stworzeń dorównujących nam inteligencją. Możliwe, że powodem jest tkwiący głęboko w nas wszystkich strach, że w genach mamy zakodowany lęk przed każdą inną formą istot rozumnych. Możliwe, że podświadomie obawiamy się zepchnięcia na drugi plan, że wobec tamtych istot czulibyśmy się gorsi. Co prawda, dość często mówi się o naszym osamotnieniu we wszechświecie, o tym, że nie mamy rozumnych braci, ale czasami odnoszę wrażenie, iż to jedynie filozoficzne pozerstwo.

– Ale jeśli to prawda – wtrąciła Rila – wcześniej czy później będziemy musieli stawić temu czoło, a im wcześniej się z tym oswoimy, tym lepiej. Zyskamy nieco czasu, żeby pogodzić się z tą myślą i przygotować do spotkania z tymi istotami.

– Wielu ludzi z pewnością przyznałoby ci rację, ale nie ten tłum, który tworzy opinię publiczną. Może istotnie jesteśmy inteligentni oraz dość zrównoważeni, ale w tłumie, w taki czy inny sposób, zawsze bierze górę głupi, ośli upór.

Rila ruszyła wzdłuż stołu i zatrzymała się przy dwóch błyszczących półkulach. Postukała w jedną z nich palcem.

– Cóż to takiego? Je także wydobyłeś z ziemi?

– Nie – odparłem. – Nie mam pojęcia, co to może być. Idealnie pasują do siebie, tworząc wydrążoną kulę. Ścianka ma około trzech milimetrów grubości i jest niezwykle twarda. Swego czasu miałem zamiar wysłać jedną półkulę z innymi próbkami do laboratorium, ale rozmyśliłem się. Nie wiedziałem, czy mają one coś wspólnego z resztą odłamków. Znalazłem je tu, w stodole. Kiedy zabierałem się do ustawiania stołów, na środku leżała sterta różnych śmieci: jakieś resztki uprzęży, części poniszczonych sprzętów, stare worki foliowe, zużyte opony i temu podobne. Przeniosłem to wszystko tam, za przegrodę, a pod stertą rupieci znalazłem dwie półkule.

Rila podniosła jedną z nich, przyłożyła do drugiej i przesunęła dłonią wzdłuż ledwie widocznej linii podziału.

– Pasują idealnie – powiedziała – ale nie można ich połączyć na stałe. Nie ma gwintu ani czegoś w tym rodzaju. Wygląda to jak pusta w środku kula, która rozpadła się na dwie połówki. Masz jakiś pomysł, co to może być?

– Nie, żadnego. Sądzę, że to coś bardzo trywialnego, o dość prozaicznym zastosowaniu.

Spojrzałem na zegarek.

– Co byś powiedziała na lunch? – zapytałem. – Jakies trzydzieści kilometrów stąd znajduje się całkiem przyzwoity zajazd.

– Możemy zjeść w domu. Przygotuję coś...

– Nie – powiedziałem. – Chciałbym pojechać z tobą do lokalu. Czyżbyś nie pamiętała, że nigdy jeszcze cię nie zaprosiłem?

ROZDZIAŁ 5

Koktajl był wyśmienity; dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że to pierwszy cywilizowany trunek, jakiego próbowałem od wielu miesięcy – niemal zapomniałem już, jak smakuje dobry alkohol.

– W domu przeważnie pijam piwo – wyjaśniłem Rili. – Czasem pozwalam sobie na szklaneczkę podłej whisky z kilkoma kostkami lodu.

– Bo dokumentnie zakopałeś się na tej swojej farmie – stwierdziła.

– Owszem, ale wcale tego nie żałuję. Farma to najlepszy zakup mego życia. Dzięki niej prawie od roku mam bardzo interesujące zajęcie, a zarazem wypoczywam w spokoju, jakiego nie zaznałem nigdy przedtem. Bowser także ją polubił.

– Często myślisz o Bowserze.

– Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Ani on, ani ja nie mamy ochoty stąd wyjeżdżać.

– Wspominałeś, zdaje się, że nie masz zamiaru wracać. Stwierdziłeś, że gdy urlop dobiegnie końca, złożysz rezygnację.

– Fakt, ale to samo powtarzałem przy różnych okazjach. To moje skryte marzenie. Nic mnie nie ciągnie do powrotu, ale nie mam jednak specjalnie wyboru. Zawsze, ilekroć pomyślę o tym, uświadamiam sobie smutną prawdę, że choć nie jestem nędzarzem, to jednak moja sytuacja finansowa nie pozwala mi nawet na krótko zrezygnować z dochodów.

– Domyślam się, z jaką niechęcią musisz myśleć o wyjeździe stąd. Nie tylko ze względu na błogi spokój, jaki masz tutaj, ale także z powodu

wykopalisk.

– One mogą poczekać. Zresztą będą musiały.

– To wstyd mówić w ten sposób, Asa.

– Może i tak. Skoro jednak czekały Bóg jeden wie ile stuleci, mogą poczekać jeszcze trochę. Będę tu przyjeżdżał każdego lata.

– Niezwykłe, jak olbrzymią perspektywą czasową zdolni są operować archeolodzy – oświadczyła Rila. – To chyba umiejętność ściśle związana z profesją. Stykają się na co dzień z tak długotrwałymi procesami, że czas przestaje mieć dla nich większe znaczenie.

– Mówisz tak, jakbyś sama nie była archeologiem.

– Bo na dobrą sprawę nie jestem. Zaliczyłam letni obóz spędzony wraz z tobą w Turcji, potem uczestniczyłam w mamucich wykopaliskach w Ohio, gdzie odtwarzaliśmy obozowisko Indian, wreszcie siedziałam przez rok w Chicago, głównie katalogując skorupy. Po tym wszystkim bez trudu doszłam do wniosku, że archeologia nie jest tym, o co mi w życiu chodzi.

– Dlatego zajęłaś się handlem artefaktami?

– Tak – odparła. – Zaczynałam od zera, od niewielkiego sklepiku na przedmieściach Nowego Jorku. Ale widocznie trafiłam w gusta klientów, kolekcjonerzy okazywali żywe zainteresowanie i mój interes dość szybko się rozwijał. Z każdym rokiem pojawiała się coraz więcej nowych sklepów i szybko przekonałam się, że prawdziwe pieniądze mogę zarobić jako dostawca towarów. Zebrałam więc wszystkie moje oszczędności, wzięłam dodatkowo pożyczkę i wystartowałam na nowo. Ciężko harowałam, ale miałam z tego satysfakcję. Żyłam z tego, że wykorzystywałam swą wiedzę do niezbyt ambitnych celów, nie do pracy naukowej, w której nie udało mi się nic zdziałać – głównie dlatego, że byłam zbyt niecierpliwa, by mozolnie dążyć do sukcesu.

– Mówiłaś wczoraj wieczorem, że chyba zrezygnujesz z tej roboty.

– Kilka lat temu znalazłam partnera, który teraz chce mnie wykupić. Oferuje nawet większą sumę, niż cały ten interes jest wart. Mam wrażenie, że zanadto wziął sobie do serca niektóre moje pomysły i metody działania. Jeśli przystanę na jego propozycję, najdalej za trzy lata pójdzie z torbami.

– Chyba tego nie doczekasz. Mam wrażenie, że handel cię wciągnął. Wzruszyła ramionami.

– Owszem. Posługuje się swoimi bezlitosnymi prawami, a ja to lubię.

– Nie wyglądasz na człowieka pozbawionego skrupułów.

– Za to w sprawach zawodowych wyłazi ze mnie wszystko, co najgorsze.

Dopiliśmy koktajl i kelner postawił przed nami przystawki.

– Chcesz jeszcze jednego? – zapytałam.

Pokręciła głową.

– Ograniczam się do jednego kieliszka przy posiłku. Już od dawna przestrzegam tej zasady. Przy obiadkach handlowych mogłam pić do oporu, ale nie pociągało mnie to. Widziałam, co alkohol robi z ludzi. Ale ty zamów sobie jeszcze, jeśli masz ochotę.

– Nie, dotrzymam ci towarzystwa – odparłam. – Po obiedzie, jeśli będziesz chciała, pojedziemy do starego Daniela Boone’a.

– Chętnie bym się z nim zobaczyła, ale może być już późno. Co z Bowserem?

– Hiram się nim zaopiekuje, będzie siedział z psem aż do naszego powrotu. Ma w lodówce zimną pieczeń, którą nie omieszka podzielić się z Bowserem. Mogą też wyjść na spacer i zebrać jajka w kurniku, o ile dogadają się w tej sprawie. Na pewno Hiram stwierdzi, że najwyższa pora pozbiierać jajka, na co Bowser zapyta: „Co to jest najwyższa pora?”, a kiedy uzyska wyjaśnienie, zadecyduje: „Jasne, chodźmy, pozbieramy je”.

– Zabawne jest to przeświadczenie, że Bowser mówi. Jak sądzisz: Hiram naprawdę myśli, że słyszy psią mowę, czy tylko udaje?

– Trudno powiedzieć – rzekłem. – Prawdopodobnie uważa, że rozumie go. Co to za różnica? Ze zwierzętami jest inaczej, mają swój charakter i można je nauczyć pewnych standardowych zachowań. Kiedy Bowser wyrusza na świstaki, muszę iść za nim i wyciągać go z jamy, brudnego, zabłoconego, niemal zupełnie wycieńczonego. Mimo wszystko nie chce wracać do domu, jest całkowicie pochłonięty wykopywaniem świstaka. Trzeba go wówczas pociągnąć za ogon i zawołać: „Bowser, do domu!”, wtedy posłusznie rusza przede mną. Na nic innego nie reaguje, jeśli tego nie zrobię, nie ma mowy, żeby poszedł. Nie skutkują ani łagodne słowa, ani groźby. Ale tylko powiem: „Bowser, do domu!” i Bowser grzecznie wraca.

Rila zaśmiała się.

– Ty i Bowser obaj jesteście stuknięci!

– Pewnie. Myślisz, że po tylu latach mieszkania z psem...

– I kurami. Pamiętam, że kręciły się po podwórku. Czy masz także świnię, konie i...?

– Nie, tylko kury. Dostarczają mi jajek, a czasami zabiję którąś na obiad. Nosilem się kiedyś z zamiarem kupienia krowy, ale to byłby już za duży kłopot.

– Asa, chciałabym porozmawiać z tobą o interesach. Mówiłeś, że nie chcesz, by ludzie z uniwersytetu wtrącali się do twoich wykopalisk. A co byś powiedział, gdybym ja chciała się wtrącić?

Unosiłem właśnie do ust kilka listków sałaty na widelcu, natychmiast jednak opuściłem je z powrotem. Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że w mojej głowie zaczęły jakby jazgotać dzwonki alarmowe. Nie wiedziałem, czemu ogarnął mnie jakiś dziwny lęk.

– Wtrącić? – zapytałem. – Jak mam to rozumieć?

- Pozwól mi pracować razem z tobą.
- Pewnie, że możesz pracować ze mną – rzuciłem. – Czyż nie podzieliłem się już z tobą odkryciem, nie opowiedziałem ci o wszystkim?
- Źle mnie zrozumiałeś. Nie chodzi mi o prezent w postaci udziału w twoim odkryciu. Miałam na myśli partnerski układ. Nie chcesz wracać na uczelnię, pragniesz dalej prowadzić wykopaliska, a ja uważam, że powinienes się temu poświęcić. Jesteś blisko ważnego odkrycia i nie wolno ci teraz przerywać pracy. Gdybym mogła ci pomóc, nie musiałbyś stąd wyjeżdżać...
- Nie – przerwałem jej zachrypniętym głosem. – Lepiej już nic nie mów. Nigdy się na to nie zgodzę. Chcesz mnie finansować, a ja nie mogę na to przystać.
- W twoich ustach zabrzmiało to straszliwie – stwierdziła. – Zupełnie jakbym proponowała coś potwornego. Nie mam zamiaru dyktować ci czegokolwiek, Asa. Nie o to mi chodzi. Po prostu wierzę w ciebie, a wstyd, gdybyś musiał...
- To bardzo szlachetne z twojej strony, że chcesz roztoczyć i opiekę nad upośledzonym – rzekłem z wściekłością. – Do cholery, Rila, nie będę twoim protegowanym.
- W takim razie wybaczone, że o tym wspomniałam. Miałam nadzieję, że zrozumiesz.
- Do diabła, czy musiałaś z tym wyskoczyć? Powinnaś była wiedzieć, co odpowiem. Wszystko układało się tak dobrze, a teraz...
- Przypomnij sobie nasze ostatnie wspólnie spędzone dni, . Asa, ten spór, który toczyliśmy ze sobą. Straciliśmy z tego powodu dwadzieścia lat. Nie dopuścimy, żeby to się powtórzyło.
- Spór? Nie pamiętam, żebyśmy się kłócili.

– Bo tylko ja byłam wtedy wściekła. Ty zlekceważyłeś mnie i wybrałeś się z kolesiami na popijawę. Próbowaleś potem wyjaśniać, bąkałeś coś na przeprosiny, ale ja nie słuchałam. To był ostatni czy przedostatni dzień naszego obozu i do końca nie zdążyłam już stłumić w sobie wściekłości. Nie wolno nam dopuścić, żeby coś podobnego wydarzyło się ponownie. Przynajmniej ja tego nie chcę. A ty?

– Ja też nie chcę. Ale nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy, bez względu na to, jak bardzo jesteś bogata i jak wielką byłoby to dla ciebie stratą.

– Nie jestem bardzo bogata – wyjaśniła. – Jeszcze raz przepraszam. Nie możemy po prostu zapomnieć o tym? Czy zgodzisz się teraz, bym została z tobą jeszcze przez jakiś czas?

– Możesz zostać tak długo, jak zechcesz – odparłam. – Nawet na zawsze.

– A co z twoimi przyjaciółmi i sąsiadami? Czy nie wezmą nas na języki?

– Na pewno staniemy się tematem numer jeden. W takim miasteczku jak Willow Bend nie ma specjalnie o czym plotkować, więc z pewnością dostarczymy ludziom sensacji.

– Nie wydajesz się tym zanadto zmartwiony.

– A powinienem? Uważają mnie za pomyłonego synka Steele’a, który po latach wrócił w rodzinne strony. Są podejrzliwi i niechętni w stosunku do mnie, większość z nich mnie nie lubi. Zachowują się poprawnie, ale za plecami obgadują mnie do woli. Nie lubią nikogo, kto choć trochę wystaje ponad reprezentowany przez nich szczególnie rodzaj przeciętności. To normalny mechanizm obronny, jak sądzę. Wobec człowieka, który wyjechał z miasta i wrócił po latach, chociaż nie musiał tego robić, czują się słabi i bezbronni. Doskonale zdają sobie sprawę ze swojej prowincjonalności. Tak to mniej więcej wygląda. Zatem dopóki nie drżysz na myśl o stracie reputacji, nie musisz się nimi przejmować.

– Nie obchodzi mnie moja reputacja – odparła. – A jeśli nosisz się z zamiarem poślubienia uwiedzionej kobiety...

– Podobna myśl nie przyszła mi nawet do głowy – przyznałem szczerze.

ROZDZIAŁ 6

– A więc chce się pani czegoś dowiedzieć o szopie, który nie jest szopem. – Ezra Hopkins mierzył wzrokiem Rilę. – Bóg jeden wie, ile czasu zajęło mi odkrycie, że to stworzenie nie jest szopem.

– Jest pan tego pewien?

– Całkowicie, proszę pani. Problem w tym, że nie wiem, co to za zwierzę. Gdyby stary Ranger potrafił mówić, może on umiałby wyjaśnić tę dziwną sprawę.

Potarosił uszy wychudzonego psa leżącego obok jego krzesła. Ranger leniwie przymknął oczy – lubił takie pieszczoty.

– Możemy kiedyś przyjechać do ciebie z Hiramem – wtrąciłem. – On dogadałby się z Rangerem. Zapewnia, że to potrafi. Zresztą ciągle rozmawia z Bowserem.

– No cóż – mruknął Ezra. – Nie będę dyskutował na ten temat. Może kiedyś bym się kłócił, ale teraz nawet nie będę próbował.

– Zapomnijmy na razie o Hiramie i Bowserze – wtrąciła Rila. – Proszę mówić dalej o tym szopie.

– Od wczesnego dzieciństwa, od ponad pięćdziesięciu lat włóczę się po okolicznych wzgórzach – zaczął Ezra. – Gdzie indziej nastąpiły dość poważne zmiany, ale nie u nas. Ziemia nie są tu najlepsze do uprawy, ludzie ledwie mogą się utrzymać z rolnictwa. Niektóre tereny przeznacza się pod wypas bydła, bydło jednak nie utrzyma się na stromych stokach. Od czasu do czasu ktoś próbuje na większą skalę wyrębu lasu, ale to pieniądze wyrzucone w błoto, gdyż za drogi jest transport drewna w górzystych

bezdrożach. A więc przez te wszystkie lata okoliczne wzgórza oraz to wszystko, w co obfitowała przyroda, należały do mnie. Od strony prawnej jestem właścicielem zaledwie kilku akrów bezwartościowej ziemi, na której stoi ta chałupa, ale pod pewnymi względami wszystkie tutejsze lasy są moje.

– Widzę, że jest pan rozmiłowany w tej krainie – stwierdziła Rila.

– Tak, chyba tak. Miłość wynika z tego, że dobrze znam te wzgórza. Mógłbym pokazać pani rzeczy niewiarygodne. Jest tutaj takie miejsce, gdzie rosną zakwitające na różowo obuwiki, całkowicie dziki gatunek. Żółta odmiana przeżyje nawet przesadzanie, o ile zachowa się ostrożność, ale różowa jest niezwykle czuła. Gdy zacznie się wypasać bydło tam, gdzie zakwita różowy obuwik, po kilku latach ginie on doszczętnie. Dzieje się tak samo, jeśli ściąć większą ilość kwiatów naraz. Ludzie mówią, że nie ma już w okolicy różowych obuwików, że nie znajdzie się ich nigdzie w lasach. Ale ja wiem, proszę pani, gdzie rośnie ich całe mnóstwo. Nikomu nie zdradzam tajemnicy, nie ścinam kwiatów i staram się omijać to miejsce z daleka. Chciałbym je uchronić przed zniszczeniem. Czasem tylko zatrzymuję się i patrzę na nie z dala, podziwiam ich piękno i myślę, że szkoda, iż nie kwitną już na wszystkich stokach wzgórz. Znam również miejsce, gdzie lisica ma świetnie zamaskowaną norę. Odchowiała w niej sześć małych, a kiedy szczeniaki nieco podrosły, zaczęły swoje harce u wejścia do nory. Walczyły ze sobą, a raczej bawiły się, siłowały się i mocowały, a ja znalazłem miejsce, gdzie mogłem sobie usiąść i przyglądać się im. Stara lisica chyba wyczuła moją obecność, ale nie reagowała. Po tylu latach zdążyła się przekonać, że nic jej nie grozi z mojej strony.

Chałupa Ezry stoi u podnóża stromego zbocza góry, tuż nad brzegiem strumienia, więc przez cały czas towarzyszył nam szum i pluskanie wody płynącej usianym głazami korytem. Poprzez gęstą zasłonę drzew można

było dostrzec wielki nawis skalny, wyrastający ze zbocza nad naszymi głowami. Krzesła, na których siedzieliśmy przed domem, miały skrócone tylne nogi, by móc je dopasować do pochyłości gruntu. Przez otwarte drzwi chaty widać było wiadro z wodą i miskę na ławie. Pod ścianą leżał stos drewna narąbanego na opał, z komina leniwą smugą unosił się dym.

– Nie mam tu żadnych trosk – podjął po chwili Ezra – a poczucie komfortu wynika z niewielkich potrzeb. Ludzie z miasteczka powiedzą pani, że nic nie jestem wart. Może to i prawda, lecz kimże oni są, by oceniać wartość człowieka? Powiedzą, że sporo piję, i to fakt. Kilka razy do roku zalewam się w trupa, ale nikogo jeszcze nie skrzywdziłem. Nigdy nikogo świadomie nie oszukałem i nie okłamałem. Mam tylko jedną poważną wadę: za dużo mówię. Ale to wynika stąd, że rzadko mam okazję z kimkolwiek porozmawiać. Gdy już ktoś mnie odwiedzi, nie mogę przestać gadać. Ale dosyć tego. Chciała pani dowiedzieć się czegoś o przyjacielu Rangera.

– Asa nie mówił mi, że to stworzenie jest przyjacielem Rangera.

– Och, to jasne, że oni są kumplami.

– A przecież pan wraz z Rangerem polujecie na niego.

– Kiedyś tak, ale teraz już nie. Za młodu byłem myśliwym i traperem. Kilka lat temu zerwałem z tym. Obecnie spoglądam na moje sidła z uczuciem wstydu, że kiedykolwiek ich używałem. Teraz tylko od czasu do czasu złowię wiewiórkę albo zająca czy głąszca na pieczeń. Poluję jeszcze, ale zgodnie z zasadą Indian: tylko tyle, ile trzeba włożyć do garnka. Nieraz powstrzymuję się nawet od tego, unikam łowów. Podobnie jak każdy drapieżnik, mam prawo polować, przynajmniej tak to sobie tłumaczę, ale nie mam prawa zabijać swoich leśnych braci bez powodu. Najbardziej ze wszystkiego zawsze lubiłem polowanie na szopy. Czy polowała pani na nie kiedykolwiek?

– Nie, nigdy – odparła Rila. – W ogóle nigdy nie brałam udziału w polowaniu.

– Na szopa poluje się jesienią. Pies musi ścigać go tak długo, aż zagoni na drzewo, wówczas wystarczy tylko namierzyć go między gałęziami i ustrzelić. Ludzie zabijają szopy dla futra albo, co jest znacznie gorsze, dla sportu, o ile zabijanie można nazwać sportem. Kiedy ja strzelałam do szopa, robiłam to nie tylko dla zdobycia futra, ale także dla mięsa. Większość ludzi uważa, że mięso szopa nie nadaje się do jedzenia, lecz zapewniam panią, że to nieprawda. Nie chodzi zresztą o samo polowanie. Chłodna, jesienna noc, rześkie, ostre powietrze, zapach uschniętych liści – dopiero wtedy odczuwa się naprawdę bliskość przyrody. A do tego jeszcze dreszczyk emocji, bo nie chcę ukrywać, że z polowaniem wiążą się silne emocje.

Nadszedł jednak taki czas, że przestałam zabijać szopy. Ranger był jeszcze wtedy szczeniakiem, teraz to już stare psisko. Nie mówię, że w ogóle przestałam na nie polować, ale skończyłam z zabijaniem. Wyruszyliśmy z Rangerem wieczorami i tropiliśmy szopy, a kiedy pies zagonił któregoś na drzewo, ja go wyszukiwałam, mierzyłam, ale nie strzelałam. Urządzaliśmy polowania bezkrwawe, bez jednego strzału. Na początku Ranger zgłupiał, ale później oswoił się z tym. Sądziłem, że nie strzelając mogę zmarnować świetnego myśliwskiego psa, ale on widocznie mnie zrozumiał. Psy potrafią się wielu rzeczy nauczyć, jeśli je im cierpliwie wpajać.

Tak więc Ranger i ja urządzaliśmy sobie bezkrwawe łowy. Po pewnym czasie zacząłem odnosić wrażenie, że jest jeden taki szop, który w porównaniu z innymi odznacza się niezwykłym sprytem. Znał wiele niesamowitych sztuczek i niejednokrotnie Ranger w ogóle nie mógł zagonić go na drzewo. Coraz częściej trafialiśmy na jego trop, zupełnie jakby

zasmakował w polowaniu tak samo jak my – stare szopisko, które zabawiało się z nami jak równy z równym. Nieraz przechytrzał nas, wykorzystywał do zabawy, urządzał prawdziwe podchody i naigrywał się z nas. Rzecz jasna, zacząłem go podziwiać. Musiałem darzyć szacunkiem wartościowego przeciwnika, który prowadził grę równie umiejętnie, a może nawet z większą wprawą niż my. Jednocześnie ogarniała mnie narastająca pasja. Był za dobry, robił z nas głupków. Doszło do tego, że – co prawda, nie wskutek świadomej decyzji, ale pod wpływem wzbierającej złości – gotów byłem tylko w stosunku do tego jednego szopa złamać moje postanowienie o zaprzestaniu strzelania. Gdyby Ranger zagnał go na drzewo i potrafił tam przytrzymać, zabiłbym go i udowodnił raz na zawsze, kto jest lepszy – on czy my. Powiedziałem, że na szopy poluje się jesienią, ale w wypadku tej sztuki było inaczej. Ileż to razy o każdej porze roku Ranger trafiał na jego ślad i ruszał w pogoń, a zdarzały się noce, że i ja wyprawiałem się wraz z nim. Przekształciło się to w nieustającą rozgrywkę pomiędzy Rangerem i szopem, w którą i ja czasem wkraczałem, niezależnie od pory roku.

– Czy jest pan pewien, że to był szop? – zapytała Rila. – Może Ranger tropił inne zwierzę, dajmy na to lisa czy wilka?

– Ranger nigdy nie poszedłby tropem innej zwierzyny – odparł Ezra urażonym głosem. – To łowca szopów, wywodzi się z długiej linii rasowych szopiarzy.

– Ezra ma rację – wtrąciłem. – Szopiarz to szopiarz. Gdyby ganiał za królikami czy lisami, nie byłby wiele wart jako szopiarz.

– Zatem nigdy pan nie widział tego szopa? – zwróciła się Rila do Ezry. – Nie zabił go pan?

– Ależ tak, widziałem go pewnej nocy kilka lat temu. Ranger zagnał go kiedyś, tuż nad ranem; było około czwartej. Dostrzegłem wówczas

niewyraźny kształt na tle szarawego nieba; przytulał się do konara u wierzchołka drzewa i miał nadzieję, że nie zostanie namierzony. Uniosłem strzelbę, ale że dyszałem ciężko po biegu, nie mogłem dobrze wycelować. Opuściłem więc broń i zacząłem głęboko oddychać, a on siedział tam cały czas, przyciskając się do gałęzi. Musiał zauważyć moją obecność, ale nawet nie drgnął. W końcu uniosłem strzelbę po raz drugi i wziąłem go na muszkę. Miałem już palec na spuście, nie nacisnąłem jednak. Trwało to chyba z minutę – celowałem w niego i trzymałem palec na spuście, gotów do strzału. Ale nie strzeliłem. Sam nie wiem, co się stało. Kiedy teraz wracam myślą do tamtej chwili, zdaje mi się, że pomyślałem wówczas o tych wszystkich nocach, kiedy wędrowaliśmy jego tropem, i że cała nasza rozgrywka zakończy się w momencie naciśnięcia spustu. Zamiast godnego szacunku przeciwnika zostanie mi futro i trochę mięsa; ani on, ani ja nie zaznamy już nigdy przyjemności bezkrwawych łowów. Nie pamiętam, żebym myślał w ten sposób, ale coś takiego musiało mi wtedy przyjść do głowy. Zrobiło mi się żal i opuściłem strzelbę. A gdy tylko przestałem w niego celować, obrócił łeppek i spojrzał mi w twarz.

Zaszło wtedy coś dziwnego. Drzewo było dość wysokie, a szop siedział blisko wierzchołka. Co prawda, nie było bardzo ciemno, niebo szarzało przed świtem, lecz mimo wszystko dzieliła nas zbyt duża odległość i panował zbyt gęsty mrok, bym mógł dokładnie ujrzeć pysk zwierzęcia. A jednak, kiedy odwrócił łeppek, ujrzałem go wyraźnie, przy czym nie był to pysk szopa. Bardziej przypominał kota, choć i od niego się różnił. Miał długie, kocie wąsiska, które spostrzegłem nawet z tego miejsca, gdzie stałem. Jego pysk był okrągły i puciołowaty, a jednak – to strasznie trudno wyrazić w sensowny sposób – sprawiał wrażenie kościstego, jakby kulistą czaszkę obciągnąć cienką skórą. Wielkie, okrągłe, nieruchome oczy przypominały ślepie sowy. Powinienem chyba mieć niezłego pietra, ale

jakoś wcale się nie bałem. Po prostu stałem i spoglądałem na ten koci pysk, zdumiony, rzecz jasna, choć nie tak bardzo, jak mogłoby się wydawać. Przypuszczam, że od samego początku, chociaż nie przyznawałem się nawet sam przed sobą i ani razu nie powiedziałem tego na głos, byłem jednak przekonany, że tropione przez nas zwierzę nie jest szopem. Ono wtedy uśmiechnęło się do mnie. Proszę mnie nie pytać, w jaki sposób to zrobiło ani jak poznałem, że był to uśmiech. Na pewno nie widziałem wyszczerzonych zębów, miałem jednak świadomość, że ono się uśmiecha. Przy czym nie był to uśmiech zwycięstwa nade mną i Rangerem, ale coś w rodzaju okazania przyjaźni. Ten uśmiech mówił: „Czyż nie mieliśmy wszyscy wspaniałej zabawy?” Wcisnąłem wtedy strzelbę pod pachę i ruszyłem z powrotem do domu, a Ranger powlókł się za mną.

– Coś mi się tu nie zgadza – zauważyła Rila. – Powiedział pan, że Ranger to szopiarz, że nie tropi innych zwierząt poza szopami.

– Mnie również to zaskoczyło – przyznał Ezra. – Swego czasu wiele się nad tym zastanawiałem. Przypuszczam, że z tego samego powodu nie umiałem się przyznać przed samym sobą, że to nie jest szop, mimo że przemawiały za tym wszystkie fakty. Od tamtej nocy Ranger już wielokrotnie ruszał jego śladem, a czasem i ja się przyłączałem dla samej przyjemności tropienia. Widywałem potem starego Kociopyska tu i ówdzie, jak gapił się na mnie z kępy krzaków lub gałęzi drzewa, a gdy dostrzegał, że spoglądam na niego, za każdym razem uśmiechał się do mnie. Zawsze był to ten sam przyjacielski uśmiech, nic więcej. A ty go widziałeś, Asa?

– Rzadko – odparłem. – Czasami pojawia się w moim sadzie.

– Zawsze widać tylko pysk – rzekł Ezra. – Uśmiechnięty pysk. Jeśli nawet ujrzało się zarys całego zwierzęcia, to w tej chwili jak gdyby reszta ciała przestawała się zupełnie liczyć. Nic mi nie wiadomo o jego wielkości czy kształcie. Ileż to razy biegłem za Rangerem i nagle wypadałem na

niego; gapił się z kępy krzaków na Rangera, a pies stał przed nim bez ruchu, całą postawą okazując przyjazne zamiary. Wie pani, co ja myślę?

– Co?

– Sądzę, że Kociopysk przychodzi tu specjalnie, żeby umówić się z Rangerem na nocne polowanie. Mówi do psa: „Co byś powiedział na to, żeby mnie pościgać dziś w nocy?” Na to Ranger: „Czemu nie, bardzo chętnie”. A Kociopysk: „Jak myślisz, dasz radę wyciągnąć Ezrę z chałupy?” Ranger odpowiada: „Pogadam z nim na ten temat”.

Rila zaśmiała się.

– To niesamowite – powiedziała. – Piękne i niesamowite.

– Może dla pani – oznajmił poważnie Ezra. – Ja uważam, że nie ma w tym nic niesamowitego. Wręcz przeciwnie, chyba tak właśnie powinno być. Sądzę, że to logiczne.

– Co to za stworzenie? Chyba ma pan jakąś hipotezę? Musiał pan wiele o nim myśleć.

– Pewnie, nieraz łamałem sobie głowę. Nie wiem niestety, co to może być. Tłumaczyłem sobie kiedyś, że być może jest to istota, która przeżyła do dziś od czasów prehistorycznych, albo też duch stworzenia z odległej przeszłości. Chociaż on ani trochę nie wygląda na ducha. Co ty o tym myślisz, Asa?

– To prawda, czasem widać go jak przez mgłę, jakby jego rysy się rozmywały. Sądzę jednak, że postać ducha widzielibyśmy zupełnie inaczej. Poza tym w jego wyglądzie nie ma nic upiornego.

– Proponuję, żebyście oboje zostali u mnie na kolację – powiedział Ezra. – Moglibyśmy posiedzieć i pogadać. Nie mam z kim po przyjacielsku porozmawiać, a istnieje wiele rzeczy, którymi chciałbym się podzielić z ludźmi. Mógłbym tak dyskutować godzinami. W kuchni stoi wielki gar pieczeni z żółwia; to porcja pięć razy większa od tego, co ja i Ranger damy

radę zjeść. Złapałem niedaleko stąd w dole strumienia, w niewielkiej sadzawce, kilka młodych żółwi. Stare są niesmaczne, mają łykowate mięso, za to młode to prawdziwy przysmak. Niewiele mogę zaproponować oprócz tej pieczeni, ale ręczę, że kiedy jej spróbujecie, nie będziecie chcieli jeść nic innego.

Rila popatrzyła na mnie.

– Możemy? – zapytała.

Pokręciłem głową.

– Bardzo bym chciał, ale musimy wracać. Trzy kilometry dzielą nas od miejsca, gdzie zostawiliśmy samochód, a nie chciałbym pokonywać tej drogi po zmroku. Ruszajmy teraz, póki jest jeszcze widno.

ROZDZIAŁ 7

Już w samochodzie, kiedy wracaliśmy do domu, Rila zapytała nagle:

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o Kociopysku?
– Wspominałem ci o nim, tylko nie rozwodziłem się nad tym, co to za stworzenie. Pewnie byś mi nie uwierzyła.

– Sądziłaś, że prędzej uwierzę w opowieść Ezry?

– A czyż tak się nie stało?

– Nie byłabym tego taka pewna. To brzmiało jak legenda puszczańska. W dodatku Ezra, pustelnik i filozof. W życiu nie myślałam, że istnieją jeszcze tacy ludzie.

– To unikat, wyjątkowy okaz wymierającego gatunku. Kiedy byłem młody, w okolicy mieszkało kilku takich jak on, a kiedyś musiało ich być znacznie więcej. Moja babcia nazywała ich zwykle starymi zakalcami, ponieważ żyli samotnie, nie żenili się i stronili od ludzi. Piekli swoje zakalcowate chleby, sami prali ciuchy, uprawiali przydomowe ogródki, co najwyżej trzymali psa lub kota dla towarzystwa. Najmowali się do pracy, pomagali na polach w okresie żniw, a zimą niekiedy zatrudniali się przy wyrębie lasu. Większość z nich zastawiała sidła; łapali tchórze, piźmaki i podobną zwierzynę. Do pewnego stopnia korzystali wyłącznie z darów przyrody, polowali, łowili ryby, zbierali jadalne owoce leśne. Żyli z dnia na dzień, ale jakoś im się wiodło, a w każdym razie byli szczęśliwi. Nie mieli kłopotów, ponieważ nie spoczywała na nich żadna odpowiedzialność. Na starość, kiedy stawali się nieporadni i nie mogli już zadbać o siebie, albo

wysyłano ich do przytułków dla bezdomnych, albo roztaczał nad nimi opiekę któryś z sąsiadów w zamian za drobne prace domowe, jeśli mogli je jeszcze wykonywać. Zdarzało się również, że ktoś zaglądał do chałupy i znajdował zimne już od dobrych kilku dni zwłoki. Zwykle niewiele było z takich ludzi pożytku. Gdy któremuś udało się zarobić parę groszy, zaraz szedł do miasteczka i przepijał wszystko. po czym wracał do swojej chaty, a po kilku miesiącach, jeśli znowu wpadło mu trochę forsy, ponownie urządzał popijawę.

– Mnie takie życie w ogóle by nie pociągało – stwierdziła Rila.

– Mało kogo by kusiło, według obecnych standardów – odparłem. – Do tego trzeba mieć naturę pioniera. Niemniej są młodzi ludzie, którym podoba się taka egzystencja. Nazywają to szumnie życiem w zgodzie z naturą. Co zresztą wcale nie musi być takie złe.

– Mówiłeś, że widywałeś to stworzenie, o którym opowiadał Ezra. Wspominałeś też o ostrzeżeniach przed panterami. Wynikałoby stąd, że inni ludzie także mogli je widzieć.

– Tylko w ten sposób mogę wyjaśnić opowieści o panterach. Stworzenie to rzeczywiście sprawia wrażenie dużego kota.

– Uśmiechająca się pantera!

– Kiedy ludzie stykają się z panterą albo z czymś, co według nich jest panterą, nie mają czasu, by obserwować wyraz pyska. Oblatuje ich strach. Poza tym uśmiech mogą traktować jako groźne szczyrzenie kłów.

– Nie wiem, co o tym myśleć – mruknęła. – Cała ta sprawa jest za bardzo fantastyczna. Do tego jeszcze twoje wykopaliska i ostrze z kultury folsomskiej, którym ugodzono Bowsera. A także świeże kości dinozaura.

– Chciałabyś znać wytłumaczenie niezwykłych przypadków – powiedziałem. – Ale ja nie umiem ci tego wyjaśnić, Rila. Naturalnie, chciałoby się powiązać to wszystko razem, ale nie jestem pewien, czy owe

zagadki mają ze sobą coś wspólnego. W ogóle niczego nie jestem pewien. Nie miałbym do ciebie za grosz żalu, gdybyś teraz wyjechała. Na pewno zetknęłaś się tu z czymś niezbyt przyjemnym.

– To nie jest nieprzyjemne, lecz ekscytujące i chyba ważne – zaoponowała. – Gdybym usłyszała te wszystkie rewelacje od kogoś innego, pewnie bym szybko wyjechała. Ale znam cię. Wiem, że zawsze stawiasz sprawy uczciwie, choćby cię nawet miano poćwiartować. Jest to jednak odrobinę przerażające. Mam wrażenie, że stanęłam właśnie przed czymś, czego nie potrafię pojąć, a co może być niezwykle doniosłe; to może być coś, co zmusi nas do spojrzenia innym wzrokiem na cały wszechświat.

Zaśmiałem się, lecz wypadło to trochę sztucznie.

– Nie angażujmy się w to wszystko zbyt poważnie – powiedziałem. – Spróbujmy posuwać się krok po kroku, tak będzie znacznie łatwiej.

– Tak, to prawda – przyznała, jak gdyby nieco rozluźniona. – Ciekawa jestem, jak się czuje Bowser.

Kiedy w kilka minut później zajechaliśmy przed dom, okazało się, że Bowserowi prawie nic nie dolega. Hiram siedział na schodkach werandy, a pies leżał rozciągnięty na trawie, niemal przyklejony do jego nogi. Na nasz widok zabębnił ogonem o ziemię.

– Jak on się czuje? – zapytała Rila.

– Bardzo dobrze. Spędziliśmy razem wspaniały dzień. Siedzieliśmy sobie, przyglądaliśmy się drozdowi i gawędziliśmy. Przemyłem mu to miejsce, gdzie został trafiony strzałą. Wygląda nieźle. Rana przestała krwawić i zaczyna się zablizniać na brzegach. Bowser to dobry pies. Leżał bez ruchu, gdy mu zmieniałem opatrunek. Nawet nie drgnął. Wiedział, że nie zrobię mu nic złego.

– Wzięliście sobie coś do jedzenia? – wtrąciłem.

– W lodówce był kawał pieczeni, którym podzieliliśmy się na obiad. Niewiele tego zostało, więc resztę dałem Bowserowi na kolację, a sobie usmażyłem jajka. Zrobiliśmy sobie mały spacer i wybraliśmy jajka z kurnika. Było ich jedenaście. – Hiram wstał, powoli i ociężale, jak gdyby rozkładał się niczym wachlarz. – Jeśli już wróciliście – mruknął – to pójdę do domu. Wrócę rano i znów zajmę się Bowserem.

– Gdybyś miał coś innego do roboty, nie musisz przychodzić – odparłem. – Będziemy jutro w domu i możemy się nim zaopiekować.

– Owszem, mam robotę – stwierdził dumnie Hiram. – Zawsze jest coś do zrobienia. Ale obiecałem Bowserowi, przyrzekłem mu, że będę się nim opiekował do czasu, aż zupełnie wyzdrowieje. – Zszedł ze schodków i ruszył ścieżką ku bramie, po chwili jednak stanął. – Byłbym zapomniał – rzekł. – Nie zamknąłem drzwiczek kurnika, a po okolicy kręci się mnóstwo skunksów i lisów.

– Możesz iść – odparłem. – Ja zamknę kurnik.

ROZDZIAŁ 8

W środku nocy obudził mnie jakiś hałas.

– Co się stało? – spytała Rila zasnianym głosem.

– To kury.

Poruszyła się, urażona.

– Czy tu kiedykolwiek można spokojnie przespać całą noc? Wczoraj Bowser, a dziś znowu kury.

– Przeklęty lis – mruknąłem. – Podebrał mi już trzy nioski. Ten kurnik jest dziurawy jak sito.

Wrzask przerażonych ptaków rozbrzmiał ze zdwojoną siłą.

Wysunąłem nogi spod kołdry, namacałem przy łóżku kapcie, wsunąłem w nie stopy i wstałem.

Rila usiadła.

– Co masz zamiar zrobić?

– Tym razem go dostanę – odparłem. – Nie włączaj światła, bo go spłoszysz.

– Jest noc, jak chcesz zobaczyć tego lisa?

– Księżyc jest w pełni. Jeśli to lis, na pewno go zauważę.

Z szafki na miotły w kuchni wyciągnąłem strzelbę i pudełko naboju. Wyjąłem dwa i załadowałem do obu komór. W kącie zaskomlał Bowser.

– Zostań tutaj – powiedziałem – i bądź cicho. Nie chcę, żebyś się kręcił koło kurnika i spłoszył mi lisa.

– Bądź ostrożny, Asa – ostrzegła Rila, stając w drzwiach sypialni.

– Nie martw się, nic mi nie grozi.

– Powinieneś założyć coś na siebie – dodała. – Nie będziesz chyba biegał po podwórku w samych kapciach i spodniach od piżamy.

– Jest ciepło – odparłem.

– Ale może być rosa. Przemoczysz nogi.

– Nic mi nie będzie – mruknąłem. – To nie potrwa długo.

Na zewnątrz było prawie tak jasno jak w dzień, olbrzymi złotawy księżyc wisiał wprost nad głową. Podwórze, obmywane delikatnym blaskiem, nabrało ulotnego charakteru japońskiego malowidła na jedwabiu. Nocne powietrze było aż ciężkie od zapachu bzów.

Od strony kurnika nadal dobiegał przeraźliwy wrzask. Przy bocznej ścianie szopy rósł duży, gęsty krzew róży centyfolii i kiedy skradałem się na palcach po zimnej, mokrej od rosy trawie – tu Rila miała absolutną rację – odniosłem dziwne wrażenie, że lisa wcale nie ma w kurniku, że przyczaił się właśnie w krzaku róży. Wymierzyłem strzelbę i mszyłem w tamtą stronę. To głupie – pomyślałem. Na zdrowy rozum, lis powinien albo jeszcze być w kurniku, albo już umykać ze zdobyczą; czemu miałby ukrywać się w krzaku róży? Coś mi jednak podpowiadało, że on tam jest. Zastanowiło mnie, skąd też, u licha, to bezpodstawne przekonanie, wręcz pewność obecności lisa.

Niemal w tym samym momencie wszystkie moje myśli i rozważania za jednym zamachem diabli wzięli. Z gęstwiny krzaka róży gapiła się na mnie mordka – koci pysk, długie wąsy, sowie oczy, uśmiech. Wpatrywała się we mnie nieruchomym wzrokiem; nigdy dotąd nie miałem okazji przyjrzeć się jej aż tak dokładnie, nigdy mi się nie ukazywała aż na tak długo. Większość dotychczasowych obserwacji stanowiły ledwie uchwytnie spostrzeżenia. Za to teraz mogłem się przyjrzeć tkwiącemu nieruchomo w krzaku róży Kociopyskowi – księżycowy blask rysował wszelkie szczegóły jego fizjonomii głębokimi cieniami, widać było wyraźnie każdy sterczący wąs.

Przemknęło mi przez myśl, że oto po raz pierwszy zauważyłem obecność kocich wąsów. Do tej pory jedynie zdawało mi się, że one istnieją, ale nigdy nie miałem okazji ich ujrzeć.

Przejęty, i złękniiony, zdecydowanie bardziej jednak zafrapowany, zapomniawszy całkowicie o lisie grasującym w kurniku, ruszyłem powoli z gotową do strzału dubeltówką, choć wiedziałem z całą pewnością, że z niej nie skorzystam. Zbliżałem się coraz bardziej, mimo że coś mi podpowiadało, iż nie powinienem podchodzić tak blisko. Zrobiłem jeszcze krok i wtedy się potknąłem. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało.

Kiedy odzyskałem równowagę, nie było już przede mną krzaka róży. Zniknął także kurnik. Stałem na łagodnie wznoszącym się zboczu, zarośniętym niską trawą i mchem, dalej na szczycie rosła kępa brzozy. Noc zmieniła się w dzień, świeciło dające niewiele ciepła słońce. Zniknął również koci pysk.

Usłyszałem za plecami głośny szelest i dudnienie, obróciłem się na pięcie. Stworzenie, którego ciężkie stapania zwróciły moją uwagę, miało ponad trzy metry wysokości. Spomiędzy błyszczących kłów zwieszała się długa trąba, majestatycznie kołysząc się na boki niczym olbrzymie wahadło. Zwierzę powoli szło prosto na mnie, dzieliło nas zaledwie kilkanaście metrów.

Rzuciłem się do ucieczki, pogałem pod górę jak spłoszony królik. Mastodont bez wątpienia byłby mnie. stratował; nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, nie raczył nawet spojrzeć. Po prostu maszerował noga za nogą, z wyszukaną precyzją odmierzając słoniowate kroki.

Mastodont – powtórzyłem w myślach. Na miłość boską: mastodont!

Zakotłowało mi się w głowie – mastodont, mastodont – nie było tam już miejsca na nic innego, tylko to jedno słowo kołatało się stukrotnym echem. Wpadłem między rosnące gęsto brzozy i stanąłem jak wryty. Igła mojego

umysłu odtwarzała w kółko z płyty jedno jedyne słowo. Stworzenie wykonało jeszcze kilka posuwistych kroków, po czym zawróciło i podreptało w dół ku widocznej w oddali rzece.

Zebrałem wreszcie myśli. Najpierw Bowser wrócił do domu ze sterczącym z zadka oszczepem, a teraz to przytrafiło się mnie; jakimś sposobem, tak samo jak Bowser, przeniosłem się w czasie – choć brzmiało to wręcz idiotycznie.

Fajnie musiałem wyglądać: cudak, mający na sobie jedynie spodnie od piżamy i parę znoszonych kapci, ściskający pod pachą dubeltówkę.

Widocznie trafiłem na wylot tunelu czasowego, na jakąś ścieżkę przez epoki czy jakkolwiek by to nazwać; niewątpliwie maczał w tym palce Kociopysk, podobnie jak musiał mieć coś wspólnego z przenoszeniem w czasie Bowsera. Najdziwniejsze wydało mi się to, że nie dostrzegłem żadnego śladu istnienia owego tunelu czasowego, nic nie wskazywało na to, że się w nim zanurzam. Czego należało oczekiwać? – pomyślałem. Jakiegoś migotania czy falowania powietrza? Nie, byłem pewien, że nic takiego nie zauważyłem.

Dopiero teraz poraziła mnie straszliwa myśl. Kiedy znalazłem się tutaj, powinienem był oznaczyć jakoś miejsce, w którym stałem, żeby zachować przynajmniej nikłą szansę odnalezienia drogi powrotnej do właściwej epoki. Przekonałem siebie jednak, że prawdopodobnie nie jest to tak proste, jak wyglądało na pierwszy rzut oka – odszukanie miejsca, w którym się pojawiłem, wcale nie musiało być równoznaczne z odnalezieniem wylotu tunelu. Tak czy inaczej, wszelkie szanse oznaczenia miejsca zniknęły bezpowrotnie. Rzuciłem się do ucieczki na widok mastodonta i teraz nie umiałbym już znaleźć tamtego punktu.

Pocieszałem się tylko myślą, że Bowser także przeniósł się w przeszłość, a przecież wrócił do domu. Odnalezienie drogi powrotnej nie mogło być

zatem niewykonalne. Jeśli dokonał tego pies, tym bardziej powinno się to udać mnie. Nie potrafiłem jednak pozbyć się natrętnych wątpliwości. Bowser mógł odszukać wylot tunelu posługując się węchem, ja na to nie miałem najmniejszych szans.

Stwierdziłem w końcu, że stojąc tu i rozmyślając, na pewno nie rozwiążę problemu i nie wymyślę nic sensownego. Doszedłem do wniosku, że gdybym nie mógł wrócić do swojej epoki i musiał zostać tu przez jakiś czas, należało przynajmniej rozejrzeć się trochę po okolicy.

Popatrzyłem w stronę rzeki. O jakieś półtora kilometra pasło się stado mastodontów, cztery dorosłe i jedno cielę. Ten, który o mało mnie nie stratował, zmierzał powoli w ich kierunku.

Plejstocen – stwierdziłem w duchu. Nie umiałem jednak ocenić, jak głęboko znalazłem się w tej epoce.

Ukształtowanie terenu nie zmieniło się specjalnie, natomiast krajobraz był zupełnie inny. Przede wszystkim nie było lasów. Jak okiem sięgnąć rozciągała się trawiasta kraina przypominająca tundrę, usiana tu i ówdzie kępami krzaków oraz skupiskami wiecznie zielonych drzewek, natomiast nad brzegami rzeki rosły żółte, karłowate wierzby.

Brzoźki, za którymi się ukryłem, obsypane były małymi, jakby nie w pełni rozwiniętymi wiosennymi listkami. Pod nimi rozciągał się dywan wątrobowców – mszaków o drobniutkich, wielobarwnych kwiatach, zakwitających wczesną wiosną, zaraz po stopnieniu śniegów. Tylko one sprawiały, że miałem wrażenie czegoś znanego, bliskiego mi. W dzieciństwie z każdej wyprawy do lasu przynosiłem pełne garście tych kwiatków, a matka robiła z nich bukiet, wkładała do małego, pękatego, brązowego wazonika i ustawiała na środku stołu w kuchni. Wydawało mi się, że z miejsca, gdzie stałem, czułem tę niezwykłą, charakterystyczną, niezapomnianą woń małych, kwiatków.

Doszedłem do wniosku, że musi tu panować wiosna; mimo świecącego słońca było jednak dość zimno, przenikały mnie dreszcze. Epoka lodowcowa – pomyślałem. Faktycznie, na północnym horyzoncie dostrzegłem połyskującą krawędź czołową lodowca. A ja miałem na sobie jedynie spodnie od piżamy i kapcie. Pod pachą ścisnąłem dubeltówkę z dwoma zaledwie nabojami w komorach. Nic więcej, zupełnie nic. Nie miałem noża, zapalek – niczego. Spojrzałem w niebo: słońce zbliżało się do zenitu. Jeśli aż tak zimno było w samo południe, to jak mroźna musiała być noc? Pomyślałem o ognisku – ale czym miałem je rozpaścić? Mogłem się tylko łudzić, że znajdę jakiś krzemień. Wytężyłem pamięć, próbując sobie przypomnieć, czy gdzieś w okolicy można było znaleźć krzemienie. Cóż mi zresztą przyjdzie z samych krzemieni? Iskry powstające przy uderzaniu kamieniem o kamień mają zbyt niską temperaturę, żeby rozniecić ogień. Trzeba uderzać krzemieniem o stal, by iskra miała temperaturę wystarczającą do zapalenia hubki. Dubeltówka była wykonana ze stali, jednak po chwili stwierdziłem, że nigdzie w okolicy nie występowały krzemienie. Może dałbym radę rozebrać jeden z naboji, wysypać śrut, zmieszać trochę prochu z roztartym suchym mchem, a następnie wypalić otwartym nabojem w podpałkę. Teoretycznie rozżarzony proch strzelniczy zmieszany z mchem, który wyleciałby z lufy, powinien zapalić taką samą mieszankę. A jeśli się nie uda? – zadałem sobie w duchu pytanie. Poza tym gdzie szukać uschniętego mchu? Może lepsze byłoby próchno, o ile udałoby mi się znaleźć jakąś zbutwiałą kłodę, rozbić ją i wydobyć ze środka suchy materiał. Pomyślałem też o dokładnie rozdrobnionej korze brzozej. Może to by wystarczyło? Rozważałem różne możliwości, nie mogąc zdecydować, która z nich będzie najpewniejsza.

Stałem, bijąc się z myślami, ogarniał mnie powoli strach. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie obecność ptaków. Był to, po kwiatkach,

drugi znajomy element. Musiałem słyszeć śpiew ptaków przez cały czas, lecz mój mózg, zajęty roztrząsaniem ważkich problemów, nie dopuszczał do świadomości ich szczebiotu. Na ogołoconej przez zimę łądydze, chyba dziewanny, siedział modrak[1]. Usiłowałem sobie przypomnieć, czy dziewanna jest rośliną rosnącą na terenie Ameryki, bo jeśli została przywieziona, to owa łądyga nie mogła należeć do dziewanny. W każdym razie ptak siedział na bujającej się łądydze i śpiewał. Nieco dalej z trawy wzbił się w niebo wojak[2], rozsiewając głośne, radosne trele. W koronach brzózek buszowało stadko drobnych ptaszków podobnych do wróbli, które ćwierkały i przeskakiwały z gałązki na gałązkę. Wszędzie dokoła po prostu roiło się od ptaków.

W miarę jak przyglądałem się okolicy, zaczynałem rozpoznawać znajome punkty krajobrazu. Oczywiście, znacznie różnił się od tego, który znałem, ale wciąż były to tereny Willow Bend. Rzeka płynąca z północy skręcała na zachód, a potem zataczała łuk i kierowała się na wschód. Na całej długości jej brzegi znaczyły żółtawe skupiska wierzb.

Mastodonty zaczęły oddalać się, wędrując w głąb doliny. Poza tym stadem oraz wszechobecnym ptactwem nie dostrzegałem żadnych oznak życia. Musiały tu być jednak również inne zwierzęta: tygrysy szablozębne, wilki, a może nawet niedźwiedzie jaskiniowe. Przez jakiś czas mogłem się bronić przed drapieżnikami, ale niezbyt długo. Gdy wystrzele oba naboje, zostanę bezbronny, a dubeltówkę będę mógł wykorzystać co najwyżej jako maczugę.

Ruszyłem powoli, zwracając baczną uwagę na każdy przejaw życia, w dół zbiega w stronę rzeki, jak się okazało tak szerokiej i rwącej, jakiej nigdy dotąd nic widziałem. Prawdopodobnie płynęły nią wody z topniejącego czoła lodowca.

Skupiska wierzb, widoczne z dala jako żółte plamy, zawdzięczały swą barwę obsypanym pyłkiem baziom oraz wielkim puchatym kwiatostanom, grubo pokrytym złotym nalotem. Wody rzeki były przejrzyste do tego stopnia, że widziałem toczące się po dnie kamienie oraz olbrzymie ławice ryb o błyszczących łuskach. Oto źródło pożywienia – stwierdziłem w duchu. Nawet nie mając żyłki i haczyka, mogłem posłużyć się siecią splecioną z witek wierzbowych i powiązaną paskami wierzbowej kory. Pewnie taka sieć, wykonana wielkim nakładem pracy, byłaby strasznie nieporęczna, niemniej stanowiłaby realną perspektywę przetrwania – wierzyłem, że potrafiłbym ją spleść i nałowić za jej pomocą ryb. Jednocześnie przyszło mi na myśl, że przejście na stałą dietę z surowych ryb może spowodować pewne komplikacje żołądkowe. Już sama ta myśl wywołała drobne sensacje.

Postanowiłem, że jeśli musiałbym tu zostać, nie znalazłszy sposobu na odszukanie drogi powrotnej do ojczywej epoki, powinienem w pierwszej kolejności, taką czy inną metodą, ponownie nauczyć się rozniecać ogień, dzięki któremu miałbym ciepło i mógłbym gotować posiłki.

Stałem nad brzegiem rzeki, próbując ocenić sytuację, w jakiej się znalazłem. Patrząc na nią realistycznie, musiałem przyznać, że szanse na powrót do Willow Bend są znikome. To z kolei oznaczało, że mam przed sobą wiele poważnych zadań. Trzeba było zacząć od rzeczy najważniejszych, a w tym momencie znalezienie odpowiedniego schronienia wydawało mi się ważniejsze od zdobycia żywności. Gdyby zaszła konieczność, mogłem nawet głodować przez jakiś czas. Ale przed zapadnięciem zmroku musiałem znaleźć jakieś miejsce dające osłonę od wiatru, choćby niewielką kryjówkę, pozwalającą na utrzymanie ciepłoty ciała. Zdawałem sobie sprawę, jak niezwykle ważne jest zachowanie zimnej krwi. Do tej pory nie uległem panice i nie wolno mi było do tego dopuścić.

Schronienie, żywność i ogień – to były trzy najpilniejsze potrzeby. Najpierw schronienie, potem żywność; rozpalenie ognia mogło na razie poczekać. Gdybym zdołał upleść sieć, ryby zapewniłyby mi pożywienie, choć na pewno mogłem znaleźć także inny pokarm, taki jak bulwy i korzenie, czy nawet liście albo korę, tyle że nie miałem żadnego rozeznania, które z nich były jadalne. Może należało podejrzeć, czym żywią się niedźwiedzie i inne zwierzęta, a następnie podjąć ryzyko, że to samo będzie również nieszkodliwe dla człowieka. Mogłem też, w ograniczonym zakresie, spróbować łowów, ale do tego potrzebowałem broni, choćby maczugi. Gdybym nie znalazł czegoś odpowiedniejszego, w ostateczności służyłaby mi za nią strzelba, choć była ciężka i nieporęczna. Lepszy byłby duży konar. Chyba istniała szansa natrafienia na grubą, dobrze leżącą w ręku gałąź, w dodatku dostatecznie twardą, żeby nie pękła przy pierwszym uderzeniu. Zdecydowanie najlepszy byłby łuk i strzały – miałem nadzieję, że z czasem zdobędę tego typu broń. Musiałbym poszukać ostrego kamienia albo takiego, który dałby się rozłupać na kawałki z ostrymi krawędziami. Za ich pomocą mógłbym sporządzić łuk. W młodości wiele ćwiczyłem się w strzelaniu z łuku. Potrzebowałbym też cięciwy, a mogły za nią posłużyć odpowiednio mocne i sprężyste korzenie. Czy to nie cedrowych korzeni używali Indianie do wiązania swoich łodzi? Wiele już lat minęło od czasu, kiedy czytałem „Pieśń Hiawathy”, byłem jednak pewien, że któryś jej ustęp mówił o stosowaniu korzeni cedru do wiązania łodzi. Prawdopodobnie wśród dostrzeżonych tu wiecznie zielonych drzewek występowały także cedry, mogłem więc dokopać się do ich korzeni.

Pogrążony w myślach, odwróciłem się od rzeki i ruszyłem z powrotem w stronę kępy brzoź. Później skręciłem w prawo i zacząłem wspinać się na wzgórze górujące nad brzozowym zagajnikiem, doszedłem bowiem do

wniosku, że powinienem bezzwłocznie przystąpić do szukania jakiegoś schronienia na noc. Idealna byłaby jaskinia. W ostateczności, gdybym nie znalazł jaskini, mógłbym wczołgać się pod gęstwinę niskopiennych drzewek iglastych. Przeważająca część wiecznie zielonych miała zwieszające się nisko ku ziemi gałęzie, które – jeśli nawet nie stanowiły wystarczającego zabezpieczenia przed nocnym chłodem – mogły być dobrą osłoną od wiatru.

Dotarłem do szczytu wzgórza i zacząłem schodzić w dół, rozglądając się cały czas za jakąś nierównością terenu, która mogłaby posłużyć mi za kryjówkę. Omalże nie stanąłem na krawędzi sporych rozmiarów zagłębienia, nim je dostrzegłem. Zatrzymałem się i popatrzyłem w dół, minęło jednak dobrych kilka sekund, zanim dotarło do mnie, na co się natknąłem;

Miałem przed sobą jamę, w której prowadziłem wykopaliska. Była nieco większa od tamtej, którą znałem z mojej epoki, ale równie stara. Ściany porastała trawa, a przy przeciwległej krawędzi chyliła się pod zwariowanym kątem karłowata brzoźka.

Kucnąłem i zacząłem przyglądać się uważnie. Ogarnęło mnie niebywałe przerażenie – poczucie straszliwie przytłaczającego czasu. Gdyby ten lej był stosunkowo świeży, niedawno utworzony, prawdopodobnie przyjąłbym to wszystko ze spokojem. Ale z jakiegoś powodu, którego nie potrafiłem zrozumieć, świadomość wieku zagłębienia podziałała na mnie niesamowicie przygnębiająco.

Coś zimnego dotknęło moich nagich pleców. Przerażony, poderwałem się na nogi i wrzasnąłem ze strachu. Poleciałem w dół i stoczyłem się aż na dno zagłębienia, wypuszczając z dłoni dubeltówkę.

Obracając się na plecy, zerknąłem w górę na zwierzę, które dotknęło mnie zimnym nosem. Nie był to ani tygrys szablozębny, ani wilk. Na

krawędzi leja stał Bowser – spoglądał na mnie z głupkowskim uśmieszkiem i energicznie wymachiwał ogonem.

Pełznąąc na czworakach wdrapałem się z powrotem na górę, rozłożyłem szeroko ręce i objąłem psa, który chlasnął mnie po twarzy szorstkim jęzorem. W końcu podniosłem się na nogi i pociągnąłem go za ogon.

– Bowser, do domu! – zawołałem.

Pies, kulejąc, powłóczył nieco usztywnioną z powodu rany łapą, posłusznie zawrócił w stronę domu.

ROZDZIAŁ 9

Siedziałem w kuchni owinięty kocem i próbowałem wygnać z kości wspomnienie zimna. Rila krzątała się przy kuchni, smażąc gofry.

– Mam nadzieję, że się nie przeziębilesz – powiedziała.

Zatrzęsło mnie; nie mogłem opanować dreszczy.

– Tam było cholernie zimno – odparłem.

– Tak się kończy ganiecie po dworze w samych spodniach od piżamy.

– Na północy widziałem lód – powiedziałem. – Czułem jego bliskość. Mógłbym przysiąc, że znajdowałem się nie dalej jak trzydzieści kilometrów od czoła lodowca. Tych terenów nie objęło żadne zlodowacenie. Schodziły kolejne lodowce i sięgały dalej na południe, ale zawsze omijały te ziemie. Nikt nawet nie umie powiedzieć dlaczego. Natomiast trzydzieści czy czterdzieści kilometrów na północ stąd mógł już sięgać lodowiec.

– Miałeś strzelbę. Co się z nią stało?

– Kiedy Bowser zaszedł mnie z zaskoczenia od tyłu, przeraziłem się śmiertelnie. Podskoczyłem i upuściłem dubeltówkę, a gdy ujrzałem psa, na śmierć o niej zapomniałem. Nie potrafiłem wówczas myśleć o niczym innym jak tylko o tym, żeby pokazał mi drogę do domu.

Postawiła na stole tacę pełną gofrów i usiadła naprzeciw mnie.

– To niesamowite – rzekła. – Rozmawiamy o twojej wyprawie w przeszłość, jakby to było coś zupełnie powszedniego.

– Dla mnie to nowość, ale nie dla Bowsera – odparłem. – Problem w tym, że on za każdym razem musi wędrować do innej epoki. Nie mógł

zostać ugodzony w zadek oszczepem w tej samej erze, w której natknął się na padlinę dinozaura i z której przyniósł sobie kość.

– Biorąc pod uwagę, że ostrze oszczepu pochodziło z kultury folsomskiej, musiał się cofnąć w czasie nie dalej jak o dwadzieścia tysięcy lat, a prawdopodobnie nawet znacznie mniej. Czy jesteś pewien, że nie widziałeś tam żadnych śladów człowieka?

– Jakich śladów? Odcisków stóp? Walających się połamanych strzał?

– Myślałam przede wszystkim o dymie.

– Nie zauważyłem dymu. Jediną wskazówką co do epoki, w jakiej się znalazłem, był cholerny mastodont, który o mało mnie nie stratował.

– A może w ogóle nie byłeś w przeszłości? Może tylko nabijasz się ze mnie? Nie wymyśliłeś sobie tego wszystkiego?

– Pewnie. Pobiegłem do lasu, ukryłem dubeltówkę, potem zagwizdałem na psa, chwyciłem go za ogon...

– Przepraszam, Asa. Nigdy byś tego nie zrobił. Sądzisz, że stworzenie o kocim pysku może mieć z tym coś wspólnego? Proszę, poczęstuj się goframi, zanim zupełnie wystygną. Napij się gorącej kawy, musisz się rozgrzać.

Nałożyłem sobie na talerz kilka gofrów, posmarowałem je masłem i polałem syropem.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że być może natrafiliśmy na coś doniosłego – powiedziała Rila.

– Na pewno. Trafiliśmy na dom, z którego niebezpiecznie jest wychodzić w celu przepłoszenia lisa.

– Mówię poważnie. To może być coś bardzo znaczącego. Pomyśl o możliwych konsekwencjach, gdybyś naprawdę odkrył sposób przenoszenia się w czasie.

– Nic z tego. Mam dosyć, wystarczył mi ten jeden wypadek. Kiedy znowu ujrzę Kociopyska, odwrócę się na pięcie i po prostu ucieknę. Przecież mogłem tam zostać na zawsze. Trudno się spodziewać, że za każdym razem Bowser będzie mnie przyprowadzał z powrotem.

– A gdybyś potrafił kontrolować podróże?

– Jak ty sobie to wyobrażasz?

– Mógłbyś dogadać się z Kociopyskiem.

– Do diabła! Nie mam pojęcia, jak się z nim porozumieć.

– Może Hiram mógłby to zrobić? Rozmawia przecież z Bowserem, prawda?

– Tylko mu się tak wydaje. Tak samo prowadzi dyskusje z drozdami.

– A skąd wiesz, że nie?

– Do cholery, Rila, bądź rozsądna.

– Właśnie się staram. Skąd możesz mieć pewność, że on nie rozmawia z Bowserem? Jako naukowiec...

– Podrzędny naukowiec.

– Niech ci będzie. Ale nawet jako podrzędny naukowiec powinieneś pamiętać, że nie wolno ci wypowiadać kategoriycznych sądów, czy to negatywnych, czy pozytywnych, dopóki nie znajdziesz dowodów. A przypomnij sobie, co mówił Ezra o umawianiu się Kociopyska z Rangerem na nocne polowania.

– Stary Ezra jest stuknięty. Niegroźny, ale jednak wariat.

– Hiram także?

– Nie, on jest normalny. To tylko wiejski głupek.

– Może właśnie niegroźni wariaci, głupki i psy mogą wspólnie dokonać tego, czego my nie potrafimy. Może oni dysponują pewnymi zdolnościami, których my nie posiadamy...

– Rila, nie mamy prawa wystawiać Hiram na sztuczki Kociopyska...

Skrzypnęły drzwi kuchenne. Odwróciłem się. Do środka wkroczył Hiram.

– Słyszałem – oznajmił. – Mówiliście o mnie i o Kociopysku.

– Zastanawialiśmy się, czy kiedykolwiek rozmawiałeś z Kociopyskiem – odparła Rila. – Podobnie, jak rozmawiasz z Bowserem.

– Mówi pani o tym stworzeniu, które czasami pojawia się w sadzie?

– Widziałeś je?

– Wiele razy. Wygląda trochę jak kot, ale to nie jest kot. Ma tylko głowę, nigdy nie można zobaczyć reszty ciała.

– Czy rozmawiałeś z nim kiedyś?

– Dawniej próbowałem, ale on gada bez sensu. Mówi o sprawach, których w ogóle nie rozumiem.

– Chcesz powiedzieć, że używa nie znanych ci słów?

– To też. Niektórych nie znam. Ale myślę przede wszystkim o pojęciach w ogóle mi nie znanych. Najdziwniejsze jest to, że on wcale nie porusza wargami i nie wydaje żadnych dźwięków, ja jednak słyszę słowa. Zresztą, na dobrą sprawę, podobnie jest z Bowserem. On także nie otwiera pyska i nic szczeka, a ja słyszę jego słowa.

– Przysuń sobie krzesło, Hiramie – odezwałem się. – Może zjesz coś z nami?

Przestąpił z nogi na nogę w zakłopotaniu.

– Nie wiem, czy powinienem. Jadłem już śniadanie.

– Zostało jeszcze ciasto – dodała Rila. – Zaraz usmażę świeże gofry.

– Nigdy nie przepuszczałeś okazji, żeby zjeść ze mną śniadanie, nawet jeśli jadłeś już coś z rana. Nie krępuj się Rilą, to moja przyjaciółka, przyjechała z wizytą. Zostanie tu przez jakiś czas, więc nie musisz się jej wstydzic.

– Skoro tak... – mruknął Hiram. – Muszę przyznać, pani Rilo, że mam słabość do gofrów z dużą ilością syropu.

Rila podeszła do kuchni i wylała ciasto na gofrownicę.

– Prawdę mówiąc, nie czuję się swobodnie przy tym stworzeniu o kocim pysku – stwierdził Hiram. – Czasem nawet się go boję. To jakiś cudak, śmieszny znikacz z wielkim, kulistym łbem i tułowiem, którego nie widać. Ta jego głowa wygląda tak, jakby ktoś nadmuchał duży balon i namalował na nim kocie rysy. Nigdy nie odwraca oczu od człowieka, nawet nie mrugnie.

– Rila sądzi – wyjaśniłem – że rozmowa z nim mogłaby okazać się dla nas niezwykle ważna, my jednak nie umiemy się z nim porozumieć. Tylko ty to potrafisz.

– Czy to znaczy, że nikt inny nie umie z nim rozmawiać?

– Owszem. Podobnie jak tylko ty umiesz porozumieć się z Bowserem.

– Gdybyś zgodził się porozmawiać z Kociopyskiem – wtrąciła Rila – musiałbyś zachować wszystko w tajemnicy. Tylko my dwoje możemy wiedzieć, o czym z nim rozmawiałeś.

– A Bowser? – sprzeciwił się Hiram. – Nie potrafiłbym niczego zataić przed Bowserem. To mój najlepszy przyjaciel, musiałbym opowiedzieć mu o wszystkim.

– W porządku – stwierdziła Rila. – Myślę, że nic złego się nie stanie, jeśli wtajemniczysz Bowsera.

– Obiecuję, że on nie pnie nikomu ani słówka. Jeśli go o to poproszę, będzie milczał jak grób.

Rila spojrzała na mnie bez cienia uśmiechu.

– Nie masz nic przeciwko temu, żeby włączyć Bowsera do sprawy?

– Nic, o ile Bowser dochowa tajemnicy.

– Na pewno nikomu nie powie – obiecał Hiram. – Poproszę go o to. – To rzekłszy, skierował całą swą uwagę na gofry. Nakładał je na talerz garściami, wysmarował sobie twarz lanym bez umiaru syropem.

Po dziewięciu gofrach gotów był podjąć dalszą rozmowę.

– Mówiliście, że powinienem porozmawiać z tym Kociopyskiem o czymś ważnym.

– To prawda – odparta Rila – ale dość trudno wyjaśnić, w czym rzecz.

– Chcecie, żebym porozmawiał z nim o tym czymś ważnym, a potem przekazał to wam. Tylko nasza czwórka miałaby wiedzieć...

– Czwórka?

– Zapomniała pani, że czwarty jest Bowser.

– Ach, tak – mruknęła Rila. – Nie wolno mi zapominać o starym Bowserze.

– A zatem ma to być sekret znany jedynie naszej czwórce? – upewniał się Hiram.

– Tak, właśnie o to chodzi.

– Lubię sekrety – stwierdził uszczęśliwiony Hiram. – Dzięki nim mogę się czuć kimś ważnym.

– Ty wiesz, Hiramie, co to jest czas, prawda? – zapytała Rila.

– Czas to jest to, co widać, kiedy się patrzy na zegarek. Można się dowiedzieć, czy jest północ, czy trzecia godzina, czy szósta.

– Owszem, ale czas to znacznie szersze pojęcie – wyjaśniła Rila. – Wiesz chyba, że to, co dzieje się wokół nas dzisiaj, to teraźniejszość, a z upływem czasu staje się to przeszłością.

– Jak na przykład wczoraj – wtrącił Hiram. – Wczoraj to przeszłość.

– Właśnie, masz rację. Przeszłość to również to, co było sto lat temu albo milion lat temu.

– Nie widzę specjalnej różnicy. Wszystko to po prostu przeszłość.

– Czy nie myślałeś nigdy, jak ciekawie byłoby odwiedzić przeszłość? Cofnąć się do czasów sprzed przybycia białego człowieka, kiedy żyli tu tylko Indianie. Albo jeszcze dalej, gdy w ogóle nie było ludzi.

– Nigdy o tym nie myślałem – odparł Hiram. – Nie myślałem o czymś takim, bo nie sądzę, żeby to było możliwe.

– Uważamy, że Kociopysk wie, jak tego dokonać. Chcielibyśmy z nim porozmawiać, żeby dowiedzieć się, jak to zrobić i czy on mógłby nam w tym pomóc.

Hiram nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Siedział ze zmarszczonym czołem, chłonąc usłyszane rewelacje.

– Chcecie się przenieść w przeszłość? – zapytał w końcu. – Po co mielibyście to robić?

– Czy wiesz, co to jest historia?

– Pewnie, sporo wiem o historii. Próbowali mnie jej nauczyć, kiedy jeszcze chodziłem do szkoły, ale nic z tego nie wyszło. Nigdy nie mogłem spamiętać tych wszystkich dat. To było o wojnach, kto był prezydentem, o takich różnych rzeczach.

– Są ludzie zwani historykami, którzy zajmują się badaniem historii – wyjaśniła Rila. – Wielu rzeczy nie są pewni, ponieważ inni, którzy opisywali zdarzenia, zrobili to źle. Gdyby mieli oni możliwość cofnąć się w czasie, zobaczyć na własne oczy, co się wydarzyło, i porozmawiać z ludźmi, którzy wtedy żyli, lepiej zrozumieliby wszystko i dokładniej opisali.

– Chce pani powiedzieć, że moglibyśmy się cofnąć i po prostu zobaczyć, co się zdarzyło dawno, dawno temu? Tak zwyczajnie cofnąć się i zobaczyć?

– Właśnie tak. Czy mógłbyś nam w tym pomóc, Hiramie?

– Cóż, sam nie wiem. Możecie wpaść w poważne kłopoty.

– Jeśli chodzi o ścisłość – wtrąciłem – ty wcale nie musiałbyś przynosić się w czasie, chyba że miałbyś na to ochotę. Chcemy tylko, żebyś dowiedział się, jeśli możesz, czy Kociopysk wie, jak tego dokonać, i czy gotów byłby nauczyć nas tego.

Hiram wzruszył ramionami.

– Będę musiał czuwać tu po nocach, może nawet siedzieć w sadzie. On czasami pojawia się w ciągu dnia, ale zwykle można go spotkać tylko nocą.

– Czy to znaczy, że zgadzasz się? – spytałem. – Mógłbyś spać w dzień.

– Dobrze by było, gdyby Bowser chciał mi towarzyszyć. Nocami czuję się bardzo samotny, ale z Bowserem mógłbym czuwać.

– Myślę, że on się zgodzi. Założymy mu obrozę, żebyś mógł trzymać go przy sobie. I jeszcze jedno: kiedy zobaczysz Kociopyska, porozmawiaj z nim, ale stój w miejscu. Nigdy nie zbliżaj się do niego.

– Dlaczego nie miałbym się do niego zbliżać, panie Steele?

– Nie mogę ci powiedzieć. Musisz mi uwierzyć na słowo. Znamy się chyba dość dobrze, wiesz, że nigdy nie poradziłem ci źle.

– Tak, wiem – odparł szczerze Hiram. – Nie musi mnie pan o tym przekonywać. Niech i tak będzie. Ani ja, ani Bowser nie zbliżymy się do Kociopyska.

– A zatem zrobisz to dla nas? Porozmawiasz z nim? – Rila chciała się upewnić.

– Zrobię co w mojej mocy – obiecał Hiram. – Nie umiem powiedzieć, czy coś z tego wyjdzie, ale będę się starał.

ROZDZIAŁ 10

Willow Bend to małe miasteczko, całe centrum handlowe rozciąga się na przestrzeni kilkuset metrów. Przy głównym skrzyżowaniu mieści się niewielki dom handlowy, a naprzeciwko apteka. Dalej znajduje się sklep z różnorodnym sprzętem, potem salon fryzjerski, sklep obuwniczy, piekarnia, salon odzieżowy, agencja handlu nieruchomościami wraz z biurem podróży, sklep elektryczny, stacja obsługi samochodów, poczta, kino, bank, a na końcu piwiarnia.

Udało mi się znaleźć miejsce do zaparkowania przed apteką. Wsiadłem, obszedłem samochód i otworzyłem drzwi od strony Rili. Przez ulicę podążył truchtem powitać nas Ben Page.

– Asa! zawołał. – Od tak dawna cię nie widziałem. Rzadko zagładasz do sklepów.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Przyjeżdżam tylko wtedy, kiedy muszę – odparłem, po czym zwróciłem się do Rili: – Panno Elliot, przedstawiam Bena Page'a. Ben jest naszym burmistrzem i bankierem.

Ben wyciągnął rękę do Rili.

– Witamy w naszym mieście – rzekł. – Czy zostanie pani tu przez jakiś czas?

– Z Rilą łączy nas stara przyjaźń – wtrąciłem. – Pracowaliśmy razem na Bliskim Wschodzie przy wykopaliskach wiele lat temu.

– Jeszcze nie zdecydowałam, jak długo tu zostanę – odparła Rila.

– Przyjechała pani z Nowego Jorku? – zapytał Ben. – Ktoś mi chyba mówił, że pani jest z Nowego Jorku.

– Jakim sposobem mógł ci ktoś o tym mówić? – zdziwiłem się. – Jesteś pierwszą osobą, którą spotkaliśmy.

– Chyba Hiram. Powiedział, że samochód ma tablice rejestracyjne Nowego Jorku i że ktoś postrzelił Bowsera z łuku. Czy to prawda?

– Owszem – przytaknęła Rila.

– Stale powtarzam, że trzeba coś zrobić z tymi dziećmi. Zawsze coś zmalują. Nie mają szacunku dla nikogo. Po prostu dziczeją.

– Może wcale nie zrobił tego żaden dzieciak?

– A zatem kto? To bardzo do nich podobne. Zawsze mówiłem że to banda potworków. Któryś z nich spuścił wczoraj powietrze z wszystkich kół mego wozu. Wychodzę dziś na otwarcie wystawy malarstwa, a samochód stoi na czterech kapciach.

– Dlaczego mieliby to robić? – spytała Rila.

– Nie wiem. Przypuszczam, że nienawidzą wszystkiego. Kiedy ja i Asa byliśmy dziećmi, nie robiliśmy takich głupot. Pamiętam, że chodziliśmy razem na ryby, jesienią zastawialiśmy sidła. A pewnego razu namówiłeś całą naszą paczkę na kopanie w tym zapadlisku.

– Nadal prowadzę tam wykopy.

– Wiem o tym. Znalazłeś coś?

– Nic specjalnego.

– Muszę już iść, jestem umówiony z kilkoma osobami. Cieszę się, że panią poznałem, panno Elliot. Mam nadzieję, że miło spędzi pani tutaj czas. Przez chwilę spoglądaliśmy za nim, jak oddalał się chodnikiem.

– To twój kumpel z dawnych lat? – zapytała Rila. – Jeden z paczki?

– Tak, jeden z paczki.

Przeszliśmy przez ulicę. W domu towarowym wybrałem duży koszyk na wózek i pchając go przed sobą, wkroczyłem między regały.

– Musimy kupić ziemniaki i masło – stwierdziłem. – A także mydło i chyba wiele innych rzeczy.

– Nie zrobiłeś listy zakupów?

– Nie, prowadzę gospodarstwo w niezbyt zorganizowany sposób. Staram się o wszystkim pamiętać, ale zawsze zapominam czegoś kupić.

– Czy znasz wielu mieszkańców miasteczka?

– Nie. Mam grono znajomych jeszcze z dzieciństwa, mieszkających tu od lat. Poznałem też kilka osób, które sprowadziły się do Willow Bend po moim wyjeździe.

Powoli zapełnialiśmy koszyk. Zapomniałem o kilku rzeczach, lecz Rila, wymieniając po kolei towary, które mogłyby się nam przydać, uzupełniła braki. Wreszcie potoczyłem wózek w stronę wyjścia i natknąłem się na Herba Livingstona, który wykładał stos zakupów na ladę przy kasie.

– Asa – powiedział tym swoim charakterystycznym tonem, jakby nie mógł złapać oddechu z wrażenia na mój widok. – Miałem do ciebie zadzwonić i spytać o nowiny. Słyszałem, że masz gościa.

– Rila, poznaj Herba Livingstona – rzekłem. – To mój kolega z dawnej paczki. Teraz wydaje miejscowy tygodnik.

Herb rozpromienił się.

– Cieszę się, że odwiedziła pani nasze miasteczko – powitał Rilę. – Słyszałem, że przyjechała pani z Nowego Jorku. Rzadko pojawia się tu ktoś z samego Nowego Jorku. – Wyciągnął z kieszeni marynarki notatnik, a po chwili także króciutki ołówek. – Jak się pani nazywa, jeśli wolno zapytać?

– Elliot – odparła Rila. – Przez dwa „l” i jedno „t”.

– Przyjechała pani z wizytą do Asy, jak rozumiem?

– Jesteśmy przyjaciółmi z dawnych lat – stwierdziła oschle Rila. – Pracowaliśmy razem przy wykopaliskach archeologicznych w Turcji pod koniec lat pięćdziesiątych.

Herb energicznie skrobał w notesie.

– Czym się pani zajmuje?

– Pracuję w handlu zagranicznym.

– Rozumiem – mruknął, notując zawzięcie. – Zatrzymała się pani na farmie Asy?

– Owszem – przyznała Rila. – Po to tu przyjechałam. Mam zamiar z nim zostać.

Kiedy wracaliśmy do samochodu, Rila odezwała się do mnie:

– Niezbyt przypadli mi do gustu twoi przyjaciele.

– Nie przejmuj się specjalnie Herbem – powiedziałem. – Jak każdy dziennikarz nie jest zanadto taktowny.

– Nie rozumiem jednak, dlaczego tak bardzo zainteresował się moją osobą. Mój przyjazd nie jest żadną sensacją.

– Dla jego gazety stanowi sensację. Niewiele tu się dzieje, a Herb czuje się w obowiązku opisywać wszelkie wydarzenia. Jeśli pani Page urządza wieczorek karciany na trzy stoliki, to jest to wydarzenie towarzyskie wielkiej rangi, które Herb musi opisać w szczegółach, łącznie z listą gości i tabelą wygranych.

– Nie przejmujesz się tym, Asa? Może lepiej będzie, jak wyjadę?

– Skąd, coś ty! – zaprotestowałem. – Nic mnie to nie obchodzi. Uważasz, że jawnie występuję przeciw konwenansom? Przecież w tym miasteczku nie można nic zrobić, żeby nie narazić się ludziom. Teraz, kiedy rozpętałaś całą tę aferę z podrózkami w czasie, kiedy napuściłaś Hirama, żeby szukał kontaktu z Kociopyskiem, twój wyjazd byłby zwyczajną dezercją. Musisz mi pomóc dopilnować wszystkiego. Jesteś mi potrzebna.

Wsiadła do samochodu, a ja wsunąłem się za kierownicę.

– Miałam nadzieję, że usłyszę właśnie taką odpowiedź – przyznała. – Niewiele wiem o podróżach w czasie, ale chciałabym zostać. Z jednej strony przekonuję siebie, że podróże w czasie faktycznie mogą istnieć, z drugiej zaś tłumaczę sobie: przestań się wygłupiać, Rila... Zaciekawiał mnie Hiram. A propos, jak on się nazywa? Przecież musi mieć jakieś nazwisko.

– Nazywa się Hiram Biglow, mało kto jednak pamięta jego nazwisko. Dla wszystkich jest po prostu Hiramem. Urodził się w Willow Bend. Miał starszego brata, ale ten uciekł z domu i, z tego co wiem, wszelki śluch o nim zaginął. Korzenie jego rodziny sięgają czasów, w których powstało to miasteczko. Jego ojciec, Horacy, był wnukiem jednego z założycieli Willow Bend. Rodzina mieszkała w starym, wytwornym domu, stojącym pośrodku parku, za ogrodzeniem z żelaznych prętów. W późniejszych czasach ciąg handlowy oddzielił tę posiadłość od głównej ulicy.. Pamiętam, że jako mały chłopiec wtykałem głowę między pręty ogrodzenia i zastanawiałem się, jak to jest, kiedy mieszka się w takim dworku. Moja rodzina była stosunkowo uboga, mieszkaliśmy w zwyczajnej chacie, więc posiadłość Biglowów wydawała mi się istnym pałacem.

– Mówiłeś przecież, że Hiram mieszka w ruderze nad brzegiem rzeki.

– Owszem, właśnie do tego zmierzam. Ojciec Hiram był bankierem, współnikiem ojca Bena Page'a...

– Nie spodobał mi się Ben Page. Podobnie zresztą jak ten Herb.

– Większość ludzi nie lubi Bena – odparłem. – Nie należy on do tych, którzy wzbudzają powszechne zaufanie i szacunek, chociaż ostatnio zmienił się nieco. Ma teraz grono zagorzałych zwolenników. Wracając do sprawy, kiedy Hiram miał jakieś dziesięć lat, jego ojciec utonął podczas polowania na kaczki. Mniej więcej w tym samym czasie starszy o siedem czy osiem lat brat uciekł z domu, a Hiram został sam z matką. Starsza pani zamknęła

się w sobie, nigdy nie wychodziła z domu, nie odbierała telefonów. Hiram zawsze był dziwnym dzieckiem, ostatni w nauce, nie bawił się z innymi, ale też nikt się nim specjalnie nie przejmował. W miarę upływu lat matka musiała domyślić się, że chłopak nie jest całkiem normalny, zaczęła bowiem izolować go od ludzi. Duma bywa złym doradcą, a w środowisku małego miasta może przynieść fatalne skutki. Matka z synem całkowicie usunęli się w cień, a ludzie prawie zupełnie o nich zapomnieli. Zdaje się, że właśnie o to chodziło pani Biglow. W tym czasie nie było mnie tutaj, opowiadam ci to, co usłyszałem od znajomych po powrocie do Willow Bend.

Kiedy zaczęto regulować sprawy majątkowe, okazało się, że ojciec Hiram miał znikome udziały w zyskach banku. Posiadał zaledwie kilka akcji, żył ze skromnej pensyjki. Nikt nie dysponował dowodami, ale z moich późniejszych rozmów z ludźmi wynikało, że w powszechnej opinii ojciec Bena wykołował ojca Hiram z zyskowego interesu. W każdym razie zostało im tylko tyle pieniędzy, że wystarczyło na utrzymanie do chwili śmierci starszej pani. Hiram miał wtedy około dwudziestu pięciu lat. Kiedy z kolei doszło do regulacji spraw majątkowych nieboszczki, wyszło na jaw, że posiadłość Biglowów znajduje się pod zastawem hipotecznym. Właściciel banku, ogłosiwszy wszem i wobec, że łożył na utrzymanie rodziny nawet dłużej, niż powinien, pozbawił hipotekę prawa wykupu. Ben, który przejął w tym czasie bank po ojcu, ofiarował pewną sumę i nakłonił do tego samego kilku innych zamożnych obywateli, by z zebranych wspólnie pieniędzy pobudowano nad rzeką chałupę, w której Hiram mieszka do dziś.

– To znaczy, że miasto go zaadoptowało – powiedziała Rila – zapewniając mu warunki do życia. Inaczej byłby dzisiaj na zasiłku albo wegetował w jakimś przytułku.

– Myślę, że można to tak określić. Opiekuje się nim całe miasto, lecz bez specjalnych poświęceń. Większość ludzi odnosi się do niego w sposób właściwy, choć traktują go jak kozła ofiarnego, inni zaś wyśmiewają się i robią głupie dowcipy. Uważają, że Hiram nic nie rozumie i że można z niego bezkarnie drwić. Ale Hiram świetnie zdaje sobie sprawę, kto jest mu przyjazny, a kto robi z niego pośmiewisko. Na pewno jest dziwakiem, ale nie jest tak głupi, jak wydaje się to niektórym.

– Mam nadzieję, że położył się spać – stwierdziła Rila. – To przecież jego pierwsza noc oczekiwania na Kociopyska.

– Możliwe, że będzie musiał czekać kilka nocy pod rząd. Kociopysk nie pojawia się regularnie.

– Łapię się jeszcze na tym, że kiedy rozmawiamy tak jak teraz, potrafię myśleć logicznie, ale po chwili zadaję sobie pytanie, co my właściwie robimy. Przecież to czyste szaleństwo, Asa. Cała ta sprawa... Wielu ludzi myślałoby zupełnie inaczej niż my, inaczej by do tego podchodziło,

– Chyba wiem, co masz na myśli – odparłem – ale ja dysponuję dowodami. Sam znalazłem się w plejstocenie, gdzie omal nie stratował mnie mastodont. Bowser przytaszczył do domu kości.

– Owszem, ale to wszystko, do czego potrafimy się przyznać – przerwała mi Rila. – Pogodziliśmy się z autentycznością kości dinozaura, ostrza z kultury folsomskiej i mastodonta, ale boimy się zrobić choćby jeden krok dalej. Nie umiemy powiedzieć na głos, że Kociopysk musi być istotą pozaziemską, potrafiącą konstruować tunele czasowe, która jakimś cudem ocalała z katastrofy statku kosmicznego, mającej miejsce tysiące lat temu.

– Powoli dojdziemy i do tego – stwierdziłem. – Musimy zaczekać na wyniki rozmów Hiram.

ROZDZIAŁ 11

Po upływie trzech dni w środku nocy poderwało mnie z łóżka głośne łomotanie do drzwi sypialni. W półśnie nie potrafiłem zrozumieć, cóż to, do diabła, może być. Rila uniosła się na łokciu.

– Co się dzieje?! – wrzasnąłem. – Kto tam?

Po chwili dotarło do mnie, któż to może być.

– To ja, Hiram.

– Hiram – mruknąłem do Rili.

Łomotanie trwało nadal.

– Przestań wreszcie łomotać! – wrzasnąłem. – Już wstaję. Zaczekaj na mnie w kuchni.

Macając w pośpiechu po ciemku, odnalazłem kapcie, wsunąłem w nie stopy i zacząłem szukać szlafroka, ale nigdzie go nie było. Wyszedłem więc do kuchni w samych spodniach od piżamy.

– Co się stało, Hiramie? Mam nadzieję, że to coś ważnego.

– Pojawił się Kociopysk, panie Steele. Dogadałem się z nim, teraz chce rozmawiać z wami.

– Jakże ja mam z nim rozmawiać? Nie potrafię. Tylko ty masz takie zdolności.

– On twierdzi, że ja mówię bez sensu – poskarżył się Hiram. – Cieszy się, że chcemy z nim porozmawiać, ale mówi, że nie rozumie tego, o czym ja myślę.

– On jest tam cały czas?

– Tak, panie Steele. Obiecał czekać, aż wrócę z panem. Ma nadzieję, iż pana zrozumie.

– Myślisz, że poczeka, aż założę coś na siebie?

– Chyba tak, panie Steele. Obiecał poczekać.

– Zostań tu – przykazałem mu. – Nie wychodź z domu, dopóki nie będę gotów.

Wróciłem do sypialni i zacząłem się błyskawicznie ubierać. Rila siedziała na brzegu łóżka.

– To Kociopysk – wyjaśniłem. – Chce z nami rozmawiać.

– Zaczekaj na mnie – rzuciła.

Kiedy wybiegliśmy z sypialni, Hiram siedział spokojnie przy stole w kuchni.

– Gdzie jest Bowser? – zapytała Rila.

– Przy Kociopysku – odparł Hiram. – Oni są dobrymi przyjaciółmi. Zdaje mi się, że ich przyjaźń trwa już od dawna, tylko my o tym nie wiedzieliśmy.

– Opowiedz, jak to się odbyło – poprosiłem. – Czy trudno było ci się porozumieć z Kociopyskiem?

– To tak samo jak z Bowserem, a znacznie łatwiej niż z drozdem. Z ptakami czasem jest bardzo trudno, często w ogóle nie chcą rozmawiać. Ale Kociopysk mówi bardzo chętnie.

– Dobra. Chodźmy, porozmawiamy z nim – rzuciła Rila.

– A niby jak chcesz tego dokonać? – zapytałem.

– To proste – odparł Hiram. – Pan powie mi dokładnie, co mam mówić, a ja potem powtórzę to jemu. Najgorsze, że mogę nie zrozumieć wszystkiego, co on będzie mówił.

– Jakoś damy sobie radę – stwierdziła Rila.

– Siedzi na pierwszej jabłoni, zaraz za rogiem. Bowser go pilnuje.

Otworzyłem drzwi kuchenne i przepuściłem ich oboje przed sobą.

Kiedy tylko mineliśmy róg domu, bez trudu zauważyliśmy Kociopyska, spoglądającego na nas spomiędzy gałęzi jabłonki. Był doskonale widoczny w blasku księżyca, nawet jego wąsy rysowały się wyraźnie. Bowser, który siedział na nodze, żeby nie urazić skaleczonego zadu, z zadartym łbem wpatrywał się w zjawę.

– Powiedz mu, że jesteśmy – odezwałem się do Hirama. – Możemy zaczynać.

– On mówi, że też jest gotów – odparł Hiram.

– Zaraz, chwileczkę. Przecież nie miałeś czasu, żeby przekazać mu moje słowa.

– Nie musiałem. On świetnie rozumiał, słyszał pana, ale odpowiedział po swoim, a pan nie potrafi usłyszeć jego słów.

– Ach tak, racja. Zresztą tak będzie prościej. – Zwróciłem się do Kociopyska: – Hiram przekazał nam, że jesteś gotów porozmawiać o podróżach w czasie.

– Trudno będzie rozmawiać o podróżach w czasie – rzekł Hiram. – On powiedział jeszcze o wielu rzeczach, których nie rozumiem.

– Zaraz, nie komplikujmy sprawy – powiedziałem. – Tylko jedna myśl naraz. Najprościej jak potrafisz.

– Mówi: dobra – powtórzył Hiram. – Twierdzi, że tęsknił do organizowania podróży w czasie. Jest inżynierem, specjalistą od czasu. Czy tak dobrze?

– Tak może być.

– Mówi, że znudziło mu się otwieranie przejść w czasie tylko dla Bowsera.

– Otworzył je także dla mnie.

– To prawda, ale pan nie widział drogi, tylko potknął się i wpadł w tunel czasowy.

– Czy on potrafi otworzyć przejście do dowolnego miejsca i czasu na tej planecie?

– Mówi, że potrafi.

– Na przykład do starożytnej Grecji? Do Troi?

– Jeśli pan mu wyjaśni, co oznaczają te nazwy, to tak. Mówi, że to proste. W każdym razie na tej planecie.

– W jaki sposób mamy mu to wyjaśnić?

– Mówi o znakach na mapie, o jakichś liniach. Co to mogą być za linie na mapie, panie Steele?

– Pewnie chodzi o długość i szerokość geograficzną.

– Mówi, że tak.

– Czy on wie, jak my mierzymy czas? Czy wie, co to jest rok? Czy rozumie pojęcia stu lat, miliona lat?

– Mówi, że rozumie.

– Czy mogę go o coś zapytać? – wtrąciła Rila. – Czy jest obcym, przybyszem z jakiegoś innego świata?

– Tak, przyleciał z bardzo daleka.

– Jak dawno temu?

– Prawie pięćdziesiąt tysięcy lat.

– I żyje do dzisiaj?

– Twierdzi, że jest nieśmiertelny.

– Potrafi otwierać przejścia w czasie. Czy może sam nimi wędrować?

– Mówi, że tak.

– Ale widocznie sam z nich nie korzysta, gdyż jest tutaj z nami. Przybył na Ziemię pięćdziesiąt tysięcy lat temu, lecz żyje w normalnym czasie,

towarzyszy nam rok po roku. W przeciwnym razie raczej nie byłoby go tutaj.

– Mówi o ratunku.

– O jakim ratunku?

– Gdyby nie przebywał w jednym miejscu i czasie, istoty, które przybędą mu na ratunek, nie wiedziałyby, gdzie go szukać.

– Wciąż ma nadzieję na ratunek?

– Niewielką nadzieję, ale jeszcze nie rezygnuje. Zaczyna właśnie nowe życie wspólnie z nami, dlatego jest szczęśliwy.

– Musi przecież wiedzieć, gdzie znajduje się jego rodzinna planeta. Jeśli potrafi otwierać przejścia poprzez czas i przestrzeń, nie powinien mieć kłopotów z powrotem do domu.

– Mówi, że nie. Nie wie dokładnie, gdzie znajduje się jego ojczysta planeta. Gdyby ktoś mu powiedział, wtedy mógłby wrócić. Ale on nic nie wiedział o podróży na Ziemię. Szczegóły znał ktoś inny, kto już nie żyje. Zginął, kiedy rozbił się statek.

– A Kociopysk? Nie zginął dlatego, że jest nieśmiertelny?

– Mówi, że nieśmiertelny może zginąć tylko w wypadku, nie inaczej. On miał szczęście. Wydostał się, zanim statek uderzył w Ziemię.

– Jak się wydostał?

– W szalupie ratunkowej.

– Szalupa ratunkowa – powtórzyłem. – Kula? Pusta w środku kula, która otworzyła się i on mógł wyjść?

– Mówi, że tak. Pyta, skąd pan wie.

– Znalazłem tę szalupę – odparłem. – Mam ją tu, w stodole.

– Czy on będzie teraz otwierał dla nas przejścia w czasie? – zapytała Rila. – Do dowolnego miejsca i epoki na Ziemi? I utrzymywał je otwarte tak długo, jak długo będziemy chcieli?

– Kociopysk twierdzi, że dokładnie tak. Może otworzyć przejście do miejsca, które mu wskażecie, i utrzymać je do chwili, kiedy nie będzie już potrzebne.

– Czy może otworzyć więcej niż jedno przejście?

– Tyle, ile będzie potrzeba.

– Kiedy mógłby zacząć to robić?

– Od zaraz. Trzeba mu powiedzieć, kiedy i dokąd chcecie się udać.

– Przekaż mu, że nie jesteśmy jeszcze gotowi – odparła Rila. – Musimy mieć trochę czasu, żeby się przygotować. Wówczas będziemy chcieli znowu z nim porozmawiać. Może nawet skorzystamy kilkakrotnie.

– Mówi, że kiedykolwiek pani zechce. Zostanie tu w pobliżu i będzie czekał na rozmowę.

ROZDZIAŁ 12

Siedzieliśmy przy śniadaniu. Hiram kończył drugą dokładkę jajecznicy na szynce, a Bowser drzemał na kocu w rogu kuchni.

– Rodzi się zasadnicze pytanie – powiedziała Rila – czy możemy zaufać Kociopyskowi.

– Można mu zaufać, proszę pani – odparł Hiram. – Rozmawiałem z nim dość długo, zanim przyszedłem po was. To sympatyczne stworzenie, podobnie jak pani i pan Steele.

– Cóż, to wspaniale – stwierdziła Rila – ale musimy mieć na uwadze, że on nie jest człowiekiem. To obcy, w dodatku jakiś nietypowy...

– Daj spokój – wtrąciłem. – Nie wiemy, jakie istoty zamieszkują kosmos. Może w porównaniu z innymi nie ma w sobie niczego szczególnego.

– Och, przestań. Dobrze wiesz, o czym mówię. To tylko głowa, nie ma ciała. Albo może ukrywa swe ciało. W każdym razie widać tylko głowę wychylającą się z krzaków lub spomiędzy gałęzi drzewa.

– Ezra widział ciało. Tej nocy, kiedy Ranger zagnał Kociopyska na drzewo, a Ezra wziął go na muszkę, ale nie strzelił.

– Wtedy było ciemno – zaproponowała Rila. – Ezra nie mógł zbyt wiele zobaczyć, z wyjątkiem pyska, kiedy obcy popatrzył na niego. Poruszam sprawę zaufania tylko dlatego, że on może, a nawet na pewno hołduje innym normom moralnym, patrzy na sprawy w zupełnie odmiennym

świetle. To, co my uważamy za jednoznacznie złe, w jego ocenie wcale nie musi być naganne.

– Przebywa tu od setek lat, od czasu osiedlania się pierwszych rodzin. A wcześniej prawdopodobnie miał jakiś kontakt z Indianami. Przygląda się nam od bardzo dawna. Musi wiedzieć, jacy jesteśmy. Jest bystry, z pewnością zebrał wiele informacji. Wie, czego można po nas oczekiwać, i pewnie ma też jakieś pojęcie, czego my możemy spodziewać się po nim.

– Czyżbyś był gotów zaufać mu bez zastrzeżeń, Asa?

– Nie, mam pewne wątpliwości.

Hiram wstał zza stołu i nałożył czapkę na głowę.

– Pójdę na spacer z Bowserem – oznajmił.

– Nie chce ci się spać? – zapytałem. – Byłeś na nogach przez całą noc.

– Położę się później, panie Steele.

– Pamiętaj, nikomu ani słowa.

– Będę pamiętał, obiecuję.

Przez jakiś czas po jego wyjściu w milczeniu sączyliśmy kawę.

– Jeśli to się powiedzie – odezwała się w końcu Rila – jeśli wszystko się uda, będziemy górą.

– Chodzi ci o to, że będziemy mogli podróżować w czasie?

– Nie my, lecz inni ludzie, gotowi płacić za podobną przyjemność.

Otworzymy biuro podróży w czasie. Będziemy organizowali wycieczki w przeszłość.

– To może być niebezpieczne.

– Pewnie, że tak. Przygotujemy umowy zawierające klauzulę ograniczonej odpowiedzialności. To podróżnicy będą ponosili ryzyko, nie my.

– Przydałby się nam prawnik.

– Znam odpowiedniego człowieka z Waszyngtonu. Pomoże nam w rozmowach z rządem.

– Sądzisz, że władze będą chciały włączyć się w tę sprawę?

– Możesz być tego pewien. Jak tylko rozkręcimy interes, wszyscy będą chcieli się do niego podłączyć. Sam miałeś kiedyś obiekcje co do wtrącania się do twoich wykopalisk ludzi z uniwersytetu, pamiętasz?

– Owszem, mówiłem ci o tym.

– Nie możemy dopuścić, by ktokolwiek dyktował nam warunki. To nasze przedsięwzięcie.

– Sądzę, że moglibyśmy zainteresować niektóre placówki naukowe i muzea – zaproponowałem. – Z pewnością historycy chcieliby ujrzeć na własne oczy pewne wydarzenia z przeszłości, gotowi byliby zapłacić nawet duże pieniądze. Ale dostrzegam też pierwsze problemy. Musielibyśmy opracować odpowiednie przepisy i wytyczne. Czy uważasz, że mogłabyś pojawić się pod oblężoną Troją obładowana kamerami? Musiałabyś władać językiem tamtych czasów, by móc wtopić się w tłum; mieć na sobie odpowiednie ubranie i znać obyczaje epoki. Gdybyś w jakiś sposób się wyróżniała, znalazłabyś się w nie lada kłopotach; istniałoby nawet niebezpieczeństwo ingerencji w wydarzenie, które chciałabyś obserwować. Mogłabyś zmienić bieg historii,

– Poruszyłeś bardzo ważny problem – przyznała Rila. – Będziemy musieli opracować kodeks etyczny podróży w czasie. Zwłaszcza jeśli chodzi o kontakty podróżników z ludźmi. We wcześniejszych epokach nie powinno to mieć aż takiego znaczenia.

– Jak chociażby wielkie polowanie na prehistoryczne zwierzęta?

– Za tym się kryją olbrzymie pieniądze, Asa. Z uczelni nie wyciągniemy tyle forsy, żeby gra była warta świeczki. Im zawsze brakuje funduszy. Za to bogaci myśliwi stanowią ciekawą klientelę. Zwykle wypuszczali się na

safari do Afryki czy do Azji, skąd mogli przywozić spreparowane łby różnych zwierząt. Ale to się już skończyło. Jeśli teraz uda się wyjechać, dostaną tylko skromne pozwolenie na odstrzał. Dlatego wszyscy pchają się na tak zwane safari z kamerami, lecz dla zagorzałego myśliwego to żadna przyjemność. Wyobraź sobie, ile tacy ludzie gotowi byliby zapłacić za szansę zabicia mastodonta albo tygrysa szablozębnego.

– Albo dinozaura – dodałem.

– Właśnie do tego próbuję cię przekonać. Musimy starannie wybrać nasze cele. Nie ma konieczności ograniczania się do polowań, możemy zajmować się wieloma innymi rzeczami. Na przykład wyruszyć, albo też wysłać kogoś, w celu przywiezienia pewnej ilości ceramiki attyckiej. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak coś takiego by się sprzedawało. Kilka ateńskich monet dla numizmatyków. Albo też, z bliższej przeszłości, pierwsze znaczki pocztowe. Moglibyśmy udać się do Afryki Południowej i zbierać na ziemi diamenty. Na początku właśnie tak je znajdowano, na powierzchni.

– Niewiele ich było, zaledwie pojedyncze sztuki. W ten sposób natrafiono na Gwiazdę Afryki, ale to czysty przypadek. Można było całymi latami przeszukiwać powierzchnię gruntu...

– A może właśnie dlatego tak było, Asa, ponieważ my dotarliśmy tam pierwsi, o kilka lat wcześniej. Im zostało tylko to, co my przeoczyliśmy.

Zaśmiałem się głośno.

– Kieruje tobą głód pieniędzy, Rilo. Mówisz wyłącznie o forsie. Chcesz prehandlować podróże w czasie, sprzedać je klientowi oferującemu najwięcej. Ja natomiast uważam, że powinniśmy wykorzystać je w celach poznawczych. Istnieje tak wiele białych plam w historii, całe okresy geologiczne, o których bardzo mało wiemy.

– To może poczekać – stwierdziła. – Badania nie są takie pilne. Sądzę, że najpierw powinniśmy postarać się o sukces finansowy, zanim pozwolimy sobie na wyprawy badawcze. Twierdzisz, że kieruje mną głód pieniędzy. Możliwe. To przecież mój zawód. Poświęciłam wiele lat na robienie opłacalnych dla mnie interesów. A w to przedsięwzięcie, zanim cokolwiek zaczniemy, trzeba będzie zainwestować. Prawnik, o którym mówiłam, weźmie sporo forsy. Będziemy musieli wznieść ogrodzenie wokół całej posesji, a może nawet zatrudnić ludzi do ochrony przed tłumami zainteresowanych, które tu na pewno przybędą, kiedy tylko wieść się rozniesie. Będziemy musieli postawić budynek administracyjny, zaangażować personel, znaleźć odpowiednich doradców.

– Skąd mielibyśmy wziąć na to pieniądze, Rila?

– Ja mam pieniądze.

– Rozmawialiśmy już o tym kilka dni temu, pamiętasz?

– Ale to co innego. Wtedy oferowałam ci pomoc w wykopaliskach, a teraz otwieramy biuro podróży. Tylko my dwoje. Do ciebie należy ziemia, będziesz założycielem fundacji. Ja wniosę kapitał na rozkręcenie interesu.

Z uwagą wbijała we mnie wzrok.

– A może nie życzysz sobie tego wszystkiego? Może wtrącam się w nie swoje sprawy? Jeśli tak, to powiedz. To twoja farma, twój Kociopysk, twój Hiram. Ja jestem tylko nachalną dziwką.

– Może i jesteś nachalną dziwką – odparłam – ale chcę, żebyś została ze mną. Nie wolno nam zaprzepaścić takiej szansy, a bez ciebie na pewno wszystko schrzanię. Po prostu byłem poruszony tym, że zaczęłaś mówić wyłącznie o przehandlowaniu podróży w czasie. Rozumiem twoje stanowisko, lecz żeby wyśrodkować nasze dążenia, powinniśmy w jakimś stopniu poświęcić się także badaniom naukowym.

– Czy nie wydaje ci się dziwne, że tak łatwo zaakceptowaliśmy wstępne założenia? – spytała. – Przecież podróże w czasie należą do tych rzeczy, które każdy automatycznie uzna za nierealne. A my snujemy tak daleko idące plany oparte tylko na zaufaniu do Kociopyska i Hiram.

– Dysponujemy dowodami – przypomniałem jej. – Ja odbyłem podróż w czasie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nie uległem złudzeniu. Byłem tam mniej więcej przez godzinę... chociaż nie umiem dokładnie określić, ile czasu spędziłem w plejstocenie. W każdym razie wystarczająco dużo, by dojść stąd nad rzekę i wrócić. Dowodami są: ostrze z kultury folsomskiej, którym zraniono Bowsera, oraz świeże kości dinozaura. I chociaż ciągle tkwi we mnie przekonanie, że to niemożliwe, muszę jednak przyznać, że wydarzyło się to naprawdę.

– Naszym najsłabszym ogniwem jest Hiram. Jeśli nie powiedział nam prawdy, pokręcił coś...

– Myślę, że mogę za niego ręczyć. Odnosiłem się do niego z szacunkiem, podczas gdy ludzie z miasteczka stroili sobie z niego żarty. Poza tym on uwielbia Bowsera. Chyba nie było jednego dnia przed twoim przyjazdem, żeby nie zajrzał do mnie. Ponadto nie wydaje mi się, żeby był zdolny do wymyślenia jakiegoś oszustwa.

– A jeśli się wygada, zanim jeszcze będziemy gotowi kogokolwiek o tym powiadomić?

– Nie zrobi tego umyślnie. Możliwe, że ktoś będzie go wypytywał i coś z niego wydusi, albo też wymknie mu się coś podczas rozmowy. Na pewno nie jest błyskotliwy.

– Myślę, że mimo wszystko powinniśmy zaryzykować. Póki co, nie ma większego znaczenia, czy on dochowa tajemnicy.

Wstała od stołu i zaczęła zbierać talerze.

– Chciałabym skorzystać z telefonu – powiedziała. – Muszę skontaktować się z kilkoma osobami z Nowego Jorku oraz z prawnikiem z Waszyngtonu. A jutro lub pojutrze wyjadę na kilka dni. Chciałabym, żebyś mi towarzyszył.

Zaprzeciłem ruchem głowy.

– Te sprawy zostawiam tobie. Ktoś powinien tu zostać, żeby bronić twierdzy.

ROZDZIAŁ 13

Zmywałem talerze po kolacji, kiedy kuchennymi drzwiami wszedł, pukając, Ben Page.

- Widzę, że znowu jesteś sam – rzekł.
- Rila wyjechała na wschód na kilka dni. Niedługo wróci.
- Mówiłeś, że przed laty pracowaliście razem przy wykopaliskach.
- Owszem, w Turcji, w małych ruinach datowanych na epokę brązu. Niewiele tam wykopaliśmy, nic nowego, nic znaczącego. Nasi sponsorzy byli rozczarowani.
- Tak to bywa, można kopać i kopać i niczego szczególnego nie znaleźć.
- To prawda – przyznałem. Odłożyłem ostatnie talerze, wytarłem ręce i usiadłem przy stole naprzeciwko Bena. Leżący w kącie Bowser zaskomlał cicho i poruszył łapami, widocznie gonił za wyśnionym zającem.
- A te wykopaliska na farmie przyniosły jakiś rezultat? – spytał Ben.
- Jeszcze nie, w każdym razie nic znaczącego.
- Ale to nie jest naturalne zapadlisko?
- Nie. Sam nie wiem, co to jest. Może lej po meteorycie? Znalazłem trochę dziwnych odłamków metalowych.
- Asa – powiedział Ben oskarżycielskim tonem. – Nie jesteś ze mną szczerzy. Przecież tu się coś dzieje.
- Cóż cię skłania do takiego wniosku?
- Hiram. Zachowuje się tajemniczo, jakby znał twoje zamiary i coś go z tobą łączyło. Twierdzi, że nie wolno mu o tym mówić, że obiecał milczeć.

Żartował nawet, żeby zapytać Bowsera.

– Hiram myśli, że umie rozmawiać z Bowserem.

– Wiem, rozmawia ze wszystkimi zwierzętami.

– Hiram jest w porządku, ale nie można na nim polegać. Gada, co mu ślina na język przyniesie.

– Nie sądzę. Na pewno nie w tym przypadku. Cała sprawa wydaje się dziwna. Ty wracasz do miasta, kupujesz farmę i zaczynasz kopać w zapadlisku. Potem przyjeżdża Rila, która tak samo jak ty jest archeologiem.

– Gdyby było cokolwiek do wyjaśniania, Ben, uczyniłbym to. Ale niczego nie znalazłem. Możliwe, że nie ma tu nic szczególnego.

– Posłuchaj – nalegał Ben. – Jako burmistrz, mam prawo wiedzieć, czy szykuje się coś, co może mieć wpływ na losy miasta. Powinienem zostać uprzedzony, byśmy mieli czas się przygotować.

– Nie wiem, do czego zmierzasz, Ben.

– Dam ci przykład. Posiadam dziesięć akrów ziemi przy wjeździe do miasta. Kupiłem ten kawałek już dawno temu i tylko płacę za niego podatki. To świetne miejsce na motel. Wiesz, że w okolicy nie ma motelu, z wyjątkiem starego zajazdu, w którym nie chciałby nocować żaden szanujący się człowiek. Motel to duże pieniądze, o ile odznacza się odpowiednim standardem i znajduje się we właściwym miejscu. Gdyby miało się tu wydarzyć coś, co ściągnęłoby do miasta mnóstwo ludzi, wówczas motel stałby się świetnym źródłem dochodów.

– Czy Hiram powiedział coś, co nasuwa ci przypuszczenie, że może tu przyjechać mnóstwo ludzi?

– No cóż, w zasadzie nic nie powiedział, Zachowuje się cholernie tajemniczo, chodzi nadęty. Jest tak dumny z siebie, że stwierdziłem, iż szykuje się coś poważnego. Raczej wbrew jego woli zdołałem wyciągnąć z

niego tylko jedno. Powiedz mi szczerze, Asa, czy to możliwe, że zagłębienie powstało wskutek rozbicia się statku kosmicznego?

– Przypuszczam, że tak – odparłem. – To jedna z moich teorii. Ale jak do tej pory nie mam nic na jej potwierdzenie. Jeśli znajdę dowód, wtedy będę mógł stwierdzić to na pewno. W każdym razie dotyczyłoby to statku pilotowanego przez inteligentne stworzenia z kosmosu, z innej planety. Gdyby udało mi się znaleźć nie zostawiające żadnych wątpliwości szczątki statku, wówczas byłoby to niezwykle ważne odkrycie. Pojawiłby się pierwszy dowód istnienia we wszechświecie innych istot rozumnych, które w zamierzchłej przeszłości odwiedziły Ziemię.

Ben gwizdnął cicho.

– Wtedy zjawiłaby się tu masa ludzi, prawda? Naukowców czy poszukiwaczy przygód, wracających co rok. Pojawiłaby się atrakcja turystyczna, przyciągająca ludzi przez wiele lat.

– Chyba tak – przyznałem.

– Trudno coś z ciebie wydusić – westchnął. – Kopiesz tutaj sam, w tajemnicy. Co byś powiedział, gdybym zebrał paru chłopców i przysłał ci ich do pomocy?

– Dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam. Praca przy wykopaliskach wymaga wprawy, trzeba wiedzieć, czego szukać. Należy kopać bardzo ostrożnie, zaznaczać i opisywać miejsce znalezienia każdego okrucha. Nie można tak zwyczajnie wybierać ziemi. Gdyby zjawiła się tu grupa ludzi z łopatami, narobiliby tylko szkody. Drobne odłamki, które dla nich nie miałyby żadnej wartości, mogłyby się okazać cenne dla doświadczonego kopacza.

Ben smętnie pokiwał głową.

– Tak, chyba rozumiem, co masz na myśli. Zamierzałem ci tylko pomóc.

– Dziękuję. Chciałbym cię także prosić, Ben, żebyś zachował wszystko w tajemnicy. Znalazłbym się w nie lada kłopotcie, gdyby rozeszła się wieść, że odkryłem szczątki statku kosmicznego. Ludzie z miasta sądziliby, że zwariowałem, a gdyby plotka dotarła do kręgów akademickich, natychmiast zwałiby się tu mnóstwo typków sypiących dobrymi radami, część na pewno chciałaby dokładnie zapoznać się ze stanem prac, a wszyscy bez wyjątku urządziliby z nas pośmiewisko.

– Jasne – odparł Ben. – Będę milczał jak grób, nic pisnę ani słowa. Czy sądzisz jednak, że naprawdę.

– Niczego nie mogę być pewien. To tylko teoria oparta na pewnych znaleziskach, ale to jeszcze żaden dowód. Możliwe, że ogłaszając ją, wyszedłbym jedynie na głupca. Masz ochotę na piwo?

Kiedy Ben poszedł, siedziałem przez dłuższy czas przy stole w kuchni i zastanawiałem się, czy mądrze postąpiłem, mówiąc mu o tym. W wypadku Bena trudno było liczyć na to, że nie wróci do sprawy. To chciwy łajdak. Mogłem jedynie liczyć, że zachowa to w tajemnicy, gdyż będzie chciał jak najwięcej zdobyć dla siebie, być pierwszym, zbudować ten swój motel, a pewnie poczynić także inne kroki, o których nie wspomniał ni słowem.

Z drugiej strony musiałem go w jakimś stopniu wtajemniczyć, żeby przynajmniej zbić z tropu. Gdybym wszystkiemu zaprzeczał, jedynie rozbudziłbym ciekawość. Podejrzliwość Bena wynikała z tajemniczego zachowania Hirama oraz z zasłyszanych od niego informacji. Stwierdziłem w duchu, że nie okłamałem go przecież – zapadlisko naprawdę powstało wskutek katastrofy statku kosmicznego.

Przypuszczalnie zamknąłem mu usta, przynajmniej na jakiś czas. A to w tej chwili było najważniejsze, zależało mi bowiem na ograniczeniu do minimum plotek i spekulacji ludzi z miasteczka. Kiedy zaczniemy wznosić

ogrodzenie, z pewnością znajdziemy się w centrum zainteresowania. Rila miała rację, powinniśmy zbudować parkan.

Wyjąłem z lodówki kolejną butelkę piwa.

Na Boga – pomyślałem. – Przy piwie można dojść tylko do jednego wniosku: to wszystko jest czystym szaleństwem. Przez większość czasu, dopóki jeszcze mogłem jasno myśleć, przekonywałem siebie, że człowiek nie może przenosić się w czasie. Byłem tego całkowicie pewien. A przecież na trwałe, chyba najsilniej spośród wszystkich wspomnień tkwił w mej pamięci obraz olbrzymiego mastodonta podążającego rytmicznym, niemal posuwistym krokiem w stronę stada. Miałem przed oczyma trąbę kiwającą się na boki niczym wahadło między błyszczącymi kłami. Nie mogłem zapomnieć przerażenia, jakie mnie ogarnęło, kiedy zrozumiałem, gdzie się znalazłem – poczucia zagubienia i wyobcowania.

Raz jeszcze przebiegłem myślami wstępny plan, który ustaliłem z Rilą przy kuchennym stole. Odniosłem wrażenie, że jest zdumiewająco nierealny i ogarnęły mnie obawy. Istniało bardzo wiele nie dających się przewidzieć czynników, słabych punktów, które doprowadziły do ruiny znacznie lepiej skonstruowane plany. Zastanawiałem się, co mogliśmy przeoczyć, jakie niespodziewane okoliczności mogły się pojawić, niwecząc nasze zamierzenia.

Martwiły mnie zwłaszcza cele, do jakich mielibyśmy wykorzystywać podróże w czasie. Gdyby mnie samemu w ogóle przyszło do głowy coś podobnego, nigdy nie potraktowałbym tego tak jak Rila. Z wielkim trudem przychodziło mi zrezygnować z przeświadczenia, że przenoszenie się w czasie powinno być użyte wyłącznie do celów naukowych i poznawczych, że to nie jest towar, który na podobieństwo innych artykułów można oferować na rynku.

Rila miała jednak rację, twierdząc, że gdyby ktoś inny poznał tajemnicę i posiadał możliwości techniczne, z pewnością wykorzystałby je w pierwszym rzędzie do osiągnięcia osobistych korzyści. Jej zdaniem, głupotą byłoby odrzucenie możliwości zarobienia pieniędzy, gdyż tylko solidne podstawy ekonomiczne umożliwiały wykorzystanie podróży w czasie do celów naukowych.

Śpiący w rogu kuchni Bowser zaskomlał głośno – widocznie dopadł wreszcie ściganego we śnie zająca. Dopilem piwo, wrzuciłem butelkę do pojemnika na śmieci i poszedłem do sypialni.

Nazajutrz miała wrócić Rila. Musiałem wstać wcześniej rano i pojechać po nią na lotnisko do Minneapolis.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy ujrzałem Rilę wysiadającą z samolotu, na jej obliczu gościł posepny wyraz determinacji, lecz na mój widok uśmiechnęła się i przyspieszyła kroku. Chwyciłem ją w objęcia i powiedziałem:

– Cieszę się, że wróciłaś. Minione trzy dni przypomniały mi, co to samotność.

Uniosła głowę do pocałunku, a później wtuliła twarz w moje ramię.

– Jak to dobrze być znowu z tobą, Asa, wrócić do domu. To były koszmarne dni!

– Coś się stało?

Odsunęła się i spojrzała mi prosto w oczy.

– Wszyscy mnie olewali – rzuciła. – Jestem zła, jestem wściekła. Nie chcieli mi uwierzyć.

– Kto ci nie chciał uwierzyć?

– Po pierwsze, mecenas McCallahan, ten prawnik, o którym ci mówiłam. Znamy się od bardzo dawna. Nigdy nie przypuszczałam, że może mnie tak potraktować. Położył ręce na biurku, ukrył w nich twarz i śmiał się tak, że mało nie spadł z fotela. Gdy w końcu podniósł głowę, musiał zdjąć okulary i wytrzeć łzy, był do tego stopnia rozbawiony, że ledwie mógł cokolwiek powiedzieć. Dławiąc się i krztusząc oświadczył: „Znamy się wiele lat, Rilo, ale nie sądziłem, że jesteś zdolna do czegoś podobnego. Nie myślałem, że potrafisz coś takiego zrobić”. „Co takiego?” – zapytałam, a on na to: „Dowcip, tak znakomity dowcip”. Dodał jeszcze, że mi wybacza, ponieważ

sprawiłam mu wyjątkową radość. Wtedy wyskoczyłam na niego, powiedziałam, że to wcale nie żart, że naprawdę chcę, aby nas reprezentował, bronił naszych interesów i osłaniał nas. Zapytałam, czy według niego nie potrzebujemy specjalisty prawnika, a on odparł, że gdyby to wszystko, co mu przedstawiłam, było prawdą, wówczas rzeczywiście przydałby się nam adwokat. Tyle że on nie potrafi w to uwierzyć. Nie sądzę, żeby wciąż jeszcze myślał, że to był tylko żart. Sama zresztą nie wiem, co myślał. Ale bez względu na to, jakich używałam argumentów, nie chciał mi uwierzyć. Zaprosił mnie na obiad i nawet zamówił butelkę szampana, nie potrafię mu jednak wybaczyć tego, jak mnie potraktował.

– Czy mimo wszystko będzie nas reprezentował?

– Gotowa jestem się założyć, że tak. Stwierdził, że gdybym mogła przedstawić mu jakiś dowód, nie odmówiłby za nic w świecie. W jednej chwili rzuciłby wszystko, przekazał swoje sprawy wspólnikom i poświęcił się wyłącznie naszym interesom. Oceniał zresztą, że w takiej sytuacji musielibyśmy zatrudnić prawnika na pełny etat. Ale nawet odprowadzając mnie do hotelu i żegnając się ze mną, nieustannie chichotał.

– Ależ, Rila, dowód...

– Zaczekaj chwilę, to jeszcze nie wszystko. Pojechałam do Nowego Jorku i rozmawiałam w firmie Safari Inc. Oczywiście, okazali mi zainteresowanie, nie śmiali się nawet, ale byli nieufni. Dali mi jasno do zrozumienia, że kłamię, że nabieram ich na jakiś szwindel. Czułam, że zafrapowałam ich, a jednak nie mogli wyzbyć się podejrzeń. Ich szef, stary Anglik, sztywny, formalny, ale bardzo grzeczny, powiedział mi na pożegnanie: „Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, panno Elliot, ale jeśli opowieść pani nie jest tylko wytworem fantazji, mogę zapewnić, że będziemy w najwyższym stopniu zainteresowani współpracą”. A potem

dodał jeszcze: „Gdybyśmy nie znali pani wcześniej, nie poświęcilibyśmy pani nawet minuty uwagi”.

– Miałaś z nim wcześniej do czynienia?

– Nie z tym starym Anglikiem, z jego pracownikami. Kilka lat temu kupiłam od nich większą ilość towaru, który zawałał im magazyn i nie wiedzieli, co z nim zrobić. Wyroby z kości słoniowej, statuetki afrykańskie, strusie pióra i temu podobne. Znacznie wyprzedziłam ich wtedy w rozeznaniu gustów klienteli i nieźle zarobiliśmy na tym towarze. Tamci od safari dowiedzieli się jakimś sposobem o naszej transakcji i moje akcje szybko poszły u nich w górę. Nachodzili mnie potem i dopytywali się, czy nie jestem zainteresowana kolejnymi dostawami ich artykułów. Rozumiesz, oni sami nie zajmują się dystrybucją, zależało im więc na jakimś pośredniku...

– Domyślam się – przerwałam jej – że oni także chcieliby dowodów, podobnie jak twój znajomy, stary mecenas.

– To prawda – przyznała. – A najdziwniejsze, że zainteresowali się wyłącznie dinozaurami. Wręcz ślinili się, kiedy zapytałam, czy znajdują klientów na polowanie na dinozaury. Nie interesowały ich ani mastodonty, ani mamuty, tygrysy szablozębne, niedźwiedzie jaskiniowe, czy nawet tytanoterusy. Wyłącznie dinozaury. Najlepiej olbrzymie i drapieżne. Spytałam przy okazji, jaką bronią musieliby dysponować myśliwi, żeby zabić takiego giganta. Nie mieli pewności, czy nie największą z dotychczas wyprodukowanych. Chciałam zobaczyć taką broń i okazało się, że mają kilka nigdy dotąd nie używanych sztuk. Powiedzieli, że chyba już zaprzestano ich produkcji. To sztucery na słonie. Teraz, kiedy osiąga się znacznie większe szybkości pocisków, można polować na słonie przy użyciu broni o mniejszym kalibrze. Rzecz jasna, obecnie tylko w wyjątkowych wypadkach strzela się do słoni. Po krótkich targach zgodzili

się sprzedać mi dwa takie sztucery, uznawszy chyba, że już na dobre postradałam zmysły. Wyciągnęli ode mnie po tysiącu za sztukę, zaklinając się, że tylko tracą na tym, musieli bowiem dorzucić kilka pudełek amunicji. Możliwe, że nie zarobili na tej sprzedaży, ale za to pozbyli się mało atrakcyjnego towaru. To istne armaty, każdy sztucer waży dobre dziesięć kilogramów, a naboje są wielkości bananów.

– Posłuchaj – wtrąciłem. – Jeśli sądzisz, że wyprawię się w przeszłość i urządzę obławę na parkę karnozaurów tylko po to, żeby dostarczyć dowodów, to lepiej dajmy sobie spokój. Od biedy radzę sobie z moją dwudziestką dwójką, ale to zupełnie co innego. Trzeba być nie lada osiłkiem, żeby używać sztucera na słońce.

– Nie jesteś przecież ułomkiem – odparła. – Może nawet nie będziesz musiał strzelać. Ale powinieneś go wziąć dla obrony, na wypadek, gdyby jakiś karnozaur nabrał na mnie ochoty, gdy będę go filmowała. Kupiłam też porządną kamerę. Zdjęcia w kolorze, z dźwiękiem. Do tego teleobiektyw i dodatkowe wyposażenie, które może nam się przydać.

– Ale po co dwa sztucery? Chyba nie sądzisz, że dam radę unieść oba naraz. Przecież ty będziesz zajęta kamerą.

– Kupiłam dwa, gdyż nie mam zamiaru puścić cię samego. Nie wiemy, co nas tam czeka, ale na pewno będzie to ryzykowna wyprawa. Dlatego wolałam kupić dwa sztucery. Pomyślałam, że może uda się namówić któregoś z twoich starych przyjaciół...

– Przecież musimy zachować całą sprawę w tajemnicy przez jakiś czas, Rilo. Już pojawiły się przecieki. Ben Page przycisnął Hirama i zaczął coś podejrzewać, kiedy ten zachowywał się tajemniczo...

– Owszem, musimy dochować sekretu, ale musimy leż wrócić stamtąd żywi, inaczej wszelkie możliwe dowody na nic się nam nie zdadzą.

Nie podobało mi się to wszystko, ale rozumiałem logikę jej wywodów.

– Może Ben zgodzi się nam towarzyszyć – odparłem. – Byłby chyba dobrym partnerem w wyprawie. Przedstawia siebie jako wytrawnego myśliwego, zresztą naprawdę jest dobry. Każdej jesieni w sezonie polowań na zwierzynę płową wyjeżdża na północ, do Kanady, na Alaskę. Strzela do łośi, muflonów, niedźwiedzi. Kiedyś ustrzelił kodiaka[3], a także karibu[4]. Do dziś jeszcze opowiada o tym karibu. Zawsze marzył o wyprawie do Afryki, ale nigdy się nie wybrał, a teraz nie ma już możliwości...

– Myślisz, że zgodzi się wziąć udział w wyprawie i zachowa wszystko w tajemnicy?

– Chyba tak. Musiałem mu częściowo zdradzić sekret, powiedziałem o statku kosmicznym, który rozbił się tworząc zapadlisko, i prosiłem o dyskrecję. Jest mu to zresztą na rękę, gdyż chciałby przy okazji uszczknąć coś dla siebie.

– Musimy znaleźć drugiego mężczyznę. Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądała kraina dinozaurów, ale...

– Ja też nie – wpadłem jej w słowo. – Może tam być albo strasznie, albo stosunkowo bezpiecznie. Większość roślinożerców, jak się domyślam, powinna mieć spokojne usposobienie. Ale spotkamy także drapieżniki. Nie mam pojęcia, na ile były one głupie i złośliwe.

– Chciałabym zrobić zdjęcia przynajmniej kilku gatunków drapieżnych, na użytek speców od safari. Jeszcze nie wiem dokładnie, ile da się z nich wycisnąć, ale oczekuję dużej forsy. Jak myślisz, ile taki prawdziwy, zagorzały myśliwy gotów byłby zapłacić, żeby jako pierwszy zdobyć możliwość strzelania do szarżującego krwiożerczego dinozaura?

Doszliśmy do ruchomych schodów, prowadzących do sali odbioru bagaży.

– Daj mi kwit, zajmę się twoimi walizkami – powiedziałem.

Otworzyła torebkę i wyjęła książeczkę biletową.

– Lepiej rozejrzę się za jakąś pomocą – rzekła, wręczając mi książeczkę.
– Nie dasz rady unieść tego wszystkiego.

– Dwóch sztuczerów?

– I kamery z wyposażeniem.

– Znajdziemy kogoś do pomocy.

– Największy problem polega na tym – wyjaśniła – że nie mogłam im powiedzieć o maszynie czasu. Gdybym stwierdziła, że skonstruowaliśmy urządzenie do podróżowania w czasie, z pewnością szybciej by mi uwierzyli. Ludzie darzą maszyny wielkim zaufaniem, traktują je wręcz jak źródła magii. Równie dobra byłaby też jakaś karkołomna teoria poparta skomplikowanymi równaniami. Ale nie mogłam tego zrobić. Gdybym zaś powiedziała prawdę o Kociopysku, tylko pogorszyłabym sytuację. Stwierdziłam po prostu, że odkryliśmy sposób podróżowania w czasie, mając nadzieję, że oni odbiorą to jako informację o maszynie. Nie uzyskałam jednak, jak się wydaje, odpowiedniego efektu. Zresztą spytali o maszynę, a moje zaprzeczenie niemalże zważyło ich z nóg.

– W takiej sytuacji mogłaś polegać wyłącznie na przekonaniu, że uwierzą ci na słowo.

– Dokąd moglibyśmy się udać, Asa, żeby zrobić jak najlepszy film?

– Zastanawiałem się już nad tym – odparłem. – Trudno powiedzieć. Może do późnej jury albo do wczesnej kredy. W obu tych erach powinniśmy znaleźć wielką różnorodność gatunków, chociaż niczego nie można przesądzać. Skamieliny wskazują na oba te okresy, ale opieram się wyłącznie na rekonstrukcjach, które mogą niezbyt wiernie opisywać prehistorię. Zwykle staramy się sprawić wrażenie, że wiemy znacznie więcej niż w rzeczywistości. A przecież odkopaliśmy tylko jakieś szczątki i fragmenty, na podstawie których trudno jest stworzyć spójny obraz. Gdybyśmy wybrali wczesną kredę, moglibyśmy nie napotkać jeszcze tego z

dinozaurów, którym myśliwi byliby chyba najbardziej zainteresowani: dobrze znanego tyranozaura...

– Wspominali o nim – wtrąciła Rila.

– Tyranozauury pojawiły się dość późno, w każdym razie taka panuje opinia. Możliwe, że istniały jeszcze większe i groźniejsze od nich dinozauury, tyle że nie mieliśmy do tej pory szczęścia trafić na ich szczątki. W każdym razie byłoby czystą głupotą próbować stanąć tyranozaurowi na drodze. Sześć metrów wysokości, siedemnaście metrów długości, waga osiem ton, a w dodatku nieposkromiona żądza mordy. Nie mamy pojęcia, ile mogło być tych drapieżników, ale prawdopodobnie nie były zbyt liczne. Przypuszczam, że niezbyt łatwo będzie je odnaleźć. Przy tych rozmiarach każdy z nich musiał żerować na wielkim obszarze, by zapewnić sobie odpowiednią ilość pożywienia.

– Później podejmiemy decyzję – zakończyła Rila.

ROZDZIAŁ 15

Późnym popołudniem zadzwoniłem do Bena.

– Naprawdę chcesz rozpocząć prace nad budową motelu? – zapytałem.

– Rozumiem, że dokonałeś odkrycia – odparł – i możemy zaczynać. Znalazłeś to, czego szukałeś?

– Jestem już blisko, tylko o krok. Rila i ja chcielibyśmy z tobą porozmawiać. Czy mógłbyś wpaść do mnie? W ten sposób byłaby to całkowicie prywatna rozmowa.

– Tak się składa, że nie mam już dziś nic do roboty. Zaraz przyjadę.

Odłożyłem słuchawkę i zwróciłem się do Rili:

– Nie podoba mi się to. Ben prawdopodobnie wyrazi zgodę. W końcu chciałby tylko odpowiednio wcześniej zająć się budową motelu. Możliwe też, że ma jeszcze na uwadze inne przedsięwzięcia. Ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że jest zdecydowanie za wcześnie na wprowadzanie kogokolwiek w sprawę.

– Nie możemy już dłużej utrzymywać całkowitej tajemnicy – stwierdziła Rila. – Kiedy tylko zaczniemy wznosić ogrodzenie, ludzie odgadną, że coś się dzieje. Nie stawia się trzymetrowej wysokości parkanu wokół czterdziestoakrowej działki ot, tak sobie. Potrzebujemy Bena, albo kogoś innego, do dźwigania drugiego sztucera. Zdecydowaliśmy już przecież, że szaleństwem byłoby znaleźć się w epoce dinozaurów z jednym karabinem. Sam wskazałeś na Bena.

– On jest najlepszy. To myśliwy; wie, jak posługiwać się bronią. Jest krzepki i wytrzymały, nie ulegnie panice w trudnej sytuacji. Ale wszystko

może jeszcze spalić na panewce, powinniśmy na razie mocno zaciskać kciuki.

Podszedłem do kredensu, wyciągnąłem butelkę i postawiłem ją na stole. Potem rozstawiłem trzy kieliszki i upewniłem się, czy jest świeży lód w kostkach.

– Masz zamiar przyjąć go tutaj, przy stole kuchennym? – zapytała Rila.

– Do diabła, nie wiedziałaby, jak się zachować, gdybym poprosił go do salonu. Takie formalne spotkanie natychmiast by go zmroziło. A tu będzie się czuł swobodnie.

– Jeśli tak, to w pełni popieram. Ja też to lubię: atmosferę tawerny.

Na zewnątrz rozległy się pospieszne kroki na wysypanej żwirem ścieżce, wyraźnie zbliżające się do drzwi kuchennych.

– Spieszyło mu się – mruknęła Rila.

– Gotów byłby wyjść z siebie. Czuje zapach pieniędzy.

Otworzyłem drzwi na powitanie Bena. Na jego twarzy gościł wyraz jednoznacznie kojarzący się z psem, który właśnie złapał trop zająca.

– A więc dokonaliście odkrycia? – zapytał.

– Siadaj, Ben. Musimy przedyskutować pewną sprawę.

Usiedliśmy przy stole i napełniłem kieliszki.

– O co ci chodzi, Asa? – niecierpliwił się Ben.

– Przede wszystkim muszę ci się do czegoś przyznać – zacząłem. – Okłamałem cię kilka dni temu, a ściślej, częściowo okłamałem. Ujawniłem ci tylko część prawdy, w dodatku nie tę najważniejszą.

– Mam rozumieć, że nie rozbił się tu żaden statek kosmiczny?

– Och, nie, rozbił się. To akurat jest prawdą.

– Wyjaśnij więc, co miałeś na myśli, mówiąc o połowicznej prawdzie.

– Chodzi o to, że statek kosmiczny jest tylko jednym z elementów całej sprawy, drobnym elementem. Najważniejsze jest to, że odkryliśmy sposób

na podróżowanie w czasie. Możemy przenieść się w przeszłość, a może i w przyszłość. Nie pytaliśmy się o przyszłość! Byliśmy tak zaaferowani, że nie przyszło nam do głowy zapytać o przyszłość.

– Kogo zapytać? – Ben siedział z na wpół otwartymi ustami, jakby dostał właśnie czymś ciężkim po głowie.

– Może lepiej zacznij od początku – zaproponowała Rila. – Opowiedz mu po kolei o wszystkim, co się zdarzyło. Metodą pytań i odpowiedzi nie osiągniemy wiele.

Ben jednym haustem opróżnił kieliszek i sięgnął po butelkę.

– Dobra – rzucił. – Opowiadaj wszystko, po kolei.

Nie wierzył ani jednemu słowu.

– Może ty opowiedz – zwróciłem się do Rili. – Ja nie mogę tracić czasu, już zostaję w tyle przy opróżnianiu butelki.

Opowiedziała o wszystkim precyzyjnie i zwięźle, nie używając niepotrzebnych słów, począwszy od kupienia przeze mnie farmy, a skończywszy na ostatnich zdarzeniach, uwzględniając swoją wyprawę do Waszyngtonu i Nowego Jorku.

Przez cały czas Ben nie odezwał się nawet słowem. Siedział sztywno, gapiąc się szklistymi oczyma. Nawet przez jakiś czas po zakończeniu relacji trwał jeszcze w milczeniu. Wreszcie drgnął.

– Jedna rzecz mnie szokuje – powiedział. – Według was Hiram potrafi rozmawiać z tym stworzeniem o kocim pysku. Czy to znaczy, że potrafi też rozmawiać z Bowserem?

– Tego nie wiemy – odparła Rila.

Pokręcił głową.

– To wszystko jest strasznie trudne do przełknięcia. Nie ma przecież sposobu na podróżowanie w przeszłość.

– Wszyscy tak mówią – oznajmiła Rila. – Musimy zdobyć dowód. Powinniśmy udać się w przeszłość, najlepiej do takiej ery, której żaden człowiek nie mógł widzieć na oczy, po czym wrócić z nakręconym tam filmem. O jednej rzeczy jeszcze ci nie powiedzieliśmy, Ben. Otóż Asa i ja mamy zamiar cofnąć się do epoki dinozaurów i chcielibyśmy, żebyś nam towarzyszył.

– Ja? Chcecie, żebym udał się tam z wami? Do epoki dinozaurów?

Wstałem od stołu i poszedłem do salonu, gdzie złożyliśmy rzeczy przywiezione przez Rilę samolotem. Wróciłem po chwili z jednym ze sztucerów i położyłem go przed Benem.

– Wiesz, co to jest? – zapytałem.

Podniósł broń, zaczął ją oglądać i ważyć w dłoniach. Następnie odwrócił się na krześle w stronę okna, złamał sztucer i popatrzył przez lufy.

– To sztucer na słońce – powiedział. – Słyszałem o takich, ale nigdy nie widziałem. Dwie lufy... A spójrzcie na ten kaliber! Z czymś takim można by na miejscu powalić słońca. – Spojrzał na mnie zaintrygowany. – Czy można tym zabić dinozaura? Któregoś z tych największych?

– Kto to może wiedzieć? Celnym strzałem można by zatrzymać, może powalić z nóg, nie mam pojęcia. Mamy dwa takie sztucery. Wyruszając do epoki dinozaurów, ja wezmę jeden z nich. Rila będzie obładowana sprzętem filmowym. Mamy nadzieję, że zgodzisz się wziąć drugi. Nie wiemy, co może nas tam czekać, ale w każdym razie dwa sztucery to nie jeden.

Ben uniósł wysoko brwi.

– Dinozaury! – rzekł. – Dajecie mi szansę wyruszenia w przeszłość? Z takim sztucerem?

– Odwróciłeś pojęcia – zauważyła Rila. – My nie dajemy ci szansy, ale prosimy, byś wyruszył z nami.

– Nie trzeba mnie prosić – odparł Ben. – Musielibyście mnie związać, żeby powstrzymać. Afryka... Zawsze marzyłem o wyprawie do Afryki. A to zapowiada się jeszcze lepiej niż safari.

– Może być niebezpiecznie. Jak powiedział Asa, niczego nie jesteśmy pewni.

– A jednak się zdecydowaliście?

– Ja będę obsługiwała kamerę – oświadczyła radośnie Rila.

– I jeszcze film! – wykrzyknął Ben. – Na Boga, chłopcy z branży pozabijają się nawzajem, byle zdobyć choć kilka kadrów. Milion dolców, pięć milionów, będzie można zażądać dowolnej ceny.

– Tym zajmiemy się w drugiej kolejności – zgasła go Rila. – Może filmowcy będą chcieli sami się tam udać i zrobić profesjonalne zdjęcia.

– Ale będziesz mogła sprzedać im prawa – poradził Ben. – Na dogodnych warunkach.

– Na pewno nie sprzedamy ich tanio.

– A ja poświęcę się wyłącznie mojemu małemu, przytulnemu motelikowi – oświadczył Ben. – Swoją drogą, będę musiał zainwestować kupę forsy już na samym początku. Jak wy stoicie? Nie chcielibyście kupić kilku akcji po przystępnej cenie? Daję niewielki procent.

– O tym również możemy porozmawiać później – odparła Rila. – Najpierw postarajmy się o jakieś dowody z epoki dinozaurów. Jeśli ich nie zdobędziemy, wtedy wszystko weźmie w łeb. Nie będzie dla nas żadnej przyszłości.

– Jak daleko macie zamiar cofnąć się w czasie?

– Jeszcze nie rozpatrzyliśmy do końca wszelkich możliwości – wtrąciłem. – Ale co najmniej siedemdziesiąt milionów lat, może nieco dalej.

– Cieszymy się, że wyraziłeś zgodę na wspólną wyprawę – powiedziała Rila. – Będziemy potrzebowali człowieka obeznanego z bronią, kogoś, kto ma doświadczenie myśliwego, kogoś zaradnego, wiedzącego, na co należy zwracać uwagę.

Ben popatrzył na mnie.

– Czy posługiwałeś się kiedykolwiek tego typu bronią?

Pokręciłem głową.

– Jeśli nie będziesz prawidłowo trzymał sztucera – wyjaśnił – może urwać ci głowę. Odrzut tej broni musi być straszliwy. Powinniśmy ją wypróbować przed podróżą.

– Nie ma tu odpowiedniego miejsca do wypróbowania jej. Jesteśmy na zbyt gęsto zaludnionym terenie, nie wolno nam ryzykować. Na pewno wzbudzilibyśmy sensację, ludzie zaczęliby zadawać pytania. Nie możemy do tego dopuścić. Na razie musimy zachować ścisłą tajemnicę.

– Macie naboje?

– Niewiele, ale powinno nam wystarczyć.

– I uważacie, że pocisk z tego sztucera może zatrzymać dinozaura?

– To zależy od wielkości zwierzęcia. Niektóre były tak wielkie, że musielibyśmy zabrać haubicę. Ale takimi nie musimy się martwić; dopóki nie wejdziemy im w drogę, nie przysporzą nam kłopotów. Obawiamy się jedynie gatunków drapieżnych.

Ben raz jeszcze popatrzył przez lufy.

– Są w dobrym stanie – oświadczył. – Te drobiny to pewnie kurz, nie ma śladu rdzy. Nie zaszkodziłaby im odrobina oleju. Powinniśmy dokładnie je przeczyszczyć przed pierwszym użyciem. W takim środowisku, w jakim się znajdziemy, musimy dysponować niezawodną bronią.

Uderzył otwartą dłonią w lufy.

– Dobra stal – powiedział. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Musiały was nieźle kosztować.

– Wytargowałam je od ludzi zajmujących się urządzaniem safari – wyjaśniła Rila. – Są bardzo zainteresowani ubiciem z nami interesu, jeśli nam się powiedzie. O ile, rzecz jasna, zaproponujemy im coś, na czym będą mogli zarobić.

– Chciałbym podkreślić jedną rzecz związaną z naszą wyprawą – wtrąciłem. – Nie udajemy się na polowanie, nie zamierzamy przywieźć dinozaura. Naszym podstawowym zadaniem będzie nakręcenie dobrego filmu, który przekona ludzi organizujących safari oraz prawnika, przyjaciela Rili. Nie będziemy szukać żadnych kłopotów. My dwaj będziemy uzbrojeni tylko na wypadek, gdyby wyniknęły jakieś problemy. Chciałbym, żebyś to zrozumiał, Ben.

– Jasne, rozumiem – odparł. – Może w innym terminie...

– Jeśli uda nam się wszystko załatwić, wtedy zorganizujemy specjalnie dla ciebie wyprawę myśliwską – obiecałem.

– To uczciwe postawienie sprawy – rzekł. – Ale gdy znajdziemy się na miejscu, będziemy musieli wypróbować te karabiny, poznać ich donośność, siłę przebicia pocisków. Wolałbym wiedzieć, czego mogę się spodziewać po sztucerze, nim stanę przed koniecznością jego użycia.

– Zrobimy to – odparła Rila. – Niestety tu nie ma ich gdzie wypróbować. Ben położył sztucer na stole.

– Kiedy macie zamiar wyruszyć? – zapytał.

– Jak najszybciej – odpowiedziała Rila. – Jutro, pojutrze.

– Rozumiem, że ta wyprawa to zaledwie pierwsza faza, początek. Będziecie musieli zająć się także innymi sprawami. Kiedy wieść się rozniesie, przybędą tu tłumy. Powinniście pomyśleć o jakimś zabezpieczeniu. Nie wolno wam dopuścić, by wszędzie kręcili się

ciekawscy i wpadali w tunele czasowe, czy jak też to nazywacie. Musicie zarezerwować jakąś przestrzeń dla siebie.

– Planujemy ogrodzić te czterdzieści akrów parkanem – odparła Rila. – Na tyle wysokim, na ile będzie to możliwe. Oświetlimy go w ciągu nocy, a przez całą dobę będą czuwali strażnicy.

Ben gwizdnął.

– To pochłonie kupę forsy. Ogrodzenie czterdziestu akrów to już poważny wydatek.

– Poza tym chcemy postawić budynek administracyjny i zatrudnić personel, na razie kilka osób.

– Zaproponuję wam coś – powiedział Ben. – Otworzę wam kredyt w banku. Powiedzmy, na początek pięćdziesiąt tysięcy, z możliwością powiększenia. Będziecie korzystali z niego tylko w takim zakresie, w jakim zajdzie potrzeba. Będziecie wypisywali czeki, a my będziemy je honorować.

– To bardzo szlachetne z twojej strony, Ben – stwierdziłem. – Gdzie się podziało kamienne serce bankiera?

– Chciałem zaznaczyć, że możemy tak zrobić, jeśli nasza wyprawa zakończy się powodzeniem. Rozumiecie chyba, że chciałbym być pewien waszych atutów.

– Czyżbyś nadal miał jakieś obiekcje?

– Nie chodzi o obiekcje. Kiedy wyjdę stąd i wsiądę do samochodu, zaraz zacznę się zastanawiać, w co też dałem się wrobić. Przez całą noc będę tłumaczył sobie, że wyszedłem na głupca, słuchając waszych bajeczek, że nie istnieją żadne podróże w czasie. Ale w tej chwili, dopóki siedzimy przy flasce, a ja słucham tego wszystkiego, nie mam żadnych wątpliwości. Wręcz świerzbią mnie ręce, żeby mieć w tym swój udział. Gdyby powiedział mi to ktoś inny niż ty, Asa, nie uwierzyłbym ani jednemu słowu.

Pamiętam czasy, kiedy byliśmy chłopakami. Co prawda należałem do paczki, ale jako syn bankiera nie cieszyłem się zbytnim zaufaniem. Wszyscy uważali, że moim rodzicom powodzi się lepiej od innych, choć nie była to prawda. Nikt nie miał nawet odwagi mi przyłożyć. Bankierzy z małych miasteczek nie są lubiani, chyba tak samo jak wszyscy bankierzy na świecie, a mój ojciec, mówiąc szczerze, nie zasługiwał na szczególną sympatię. To samo spotkało mnie. Zmierzam do tego, że nigdy mnie nie stłukłeś, nie dopuszczałeś nawet, by robili to inni, choć przecież nieraz kłóciliśmy się ze sobą. Traktowałeś mnie jak wszystkich pozostałych chłopaków.

– Do diabła, uważasz to za wielką cnotę? – wykrzyknąłem. – Byłeś taki sam jak inni. Wszyscy stanowiliśmy gromadę przeciętnych chłopaczków z małego miasteczka, wszyscy byliśmy do siebie nawzajem podobni.

– Widzisz? – Ben zwrócił się do Rili. – Czy wiesz już, dlaczego mu ufam?

– Cieszę się z tego powodu. Będziemy ci wdzięczni za wszelką formę pomocy. Nas dwoje czeka strasznie dużo pracy.

– Czemu nie mielibyście zdać się na mnie z załatwieniem tego ogrodzenia? Mogę się popytać tu i tam, skrzyknąć do roboty paru chłopców, którzy nie będą zadawali pytań. Rozpowiem, dajmy na to, że działałam w imieniu kogoś, kto chciałby założyć tu hodowlę nerek, ale w ten sposób, żeby wszyscy sądzili, że to ja coś knuję. I tak uważają mnie za szczwanego lisa. Mogę wszystko przygotować, a budowę zacząć, kiedy będziecie chcieli. Myślę, że znajdę odpowiednich ludzi do tej pracy. Rzecz w tym, że trzeba postawić to ogrodzenie szybko, by nikt nie miał czasu na rozsiewanie plotek. Teraz, kiedy żniwa dobiegły końca, synowie farmerów powinni się ucieszyć z okazji zarobienia forsy. Przypuszczam, że przed rozpoczęciem budowy trzeba będzie wykonać dokładne pomiary gruntów.

Nie warto ryzykować konfliktów z sąsiadami. A jeśli chodzi o strażników, może być z tym nieco kłopotów, ale i to da się chyba załatwić. Ostatnio policji w Minneapolis obcięto budżet i dwudziestu czy trzydziestu policjantów zostało bez pracy. Przypuszczam, że niektórzy z nich będą chcieli się zaangażować. Porozmawiam z szeryfem z Lancaster, może on podsunie jakieś propozycje. Nie zdradzę mu tajemnicy, rzecz jasna. Będą wam potrzebne również porządne, duże tablice z napisem „Wstęp wzbroniony”. Istnieją chyba jakieś przepisy regulujące ich wielkość i określające ściśle słownictwo. Będę musiał się im przyjrzeć.

– Myślisz o wszystkim – powiedziała Rila. – Jesteś w tym lepszy od nas.

– Jeśli się do czegoś zabieram – stwierdził Ben – staram się to zrobić jak najlepiej. A szczegółowe plany mogą tylko zaoszczędzić masy kłopotów. – Spojrzał na zegarek. – Dobry Boże! Spóźnię się na kolację i Myra zmyje mi głowę. Zaplanowała dla mnie jakąś robótkę na dzisiejszy wieczór i dlatego mieliśmy zjeść wcześniej kolację.

Wstał od stołu.

– Będziemy w kontakcie – dodał. – Dajcie mi znać, kiedy chcielibyście wyruszyć. Będę musiał wymyślić coś na usprawiedliwienie kilkudniowej nieobecności. Wytłumaczę się podróżą.

– Sądzę, że dwa dni wystarczą na zrobienie tego wszystkiego, co planujemy – rzekła Rila.

– Nie powinienem mieć żadnych kłopotów z załatwieniem sobie dwóch dni wolnych.

Kiedy wyszedł, Rila mruknęła:

– On mi przywodzi na myśl walec drogowy.

– Zwróciłaś uwagę na wydźwięk jego wszystkich propozycji? – zapytałem. – Ma zamiar wyciągnąć z nas, ile się da.

- Możemy się z nim umówić na pięć procent zysków – zaproponowała Rila. – Czy on dysponuje większą gotówką?
- Ma jakieś oszczędności. Poza tym majątek rodzinny, może niezbyt wielki, ale na pewno wystarczający.

ROZDZIAŁ 16

Hiram pełnił odpowiedzialną funkcję i był z tego niesamowicie dumny.

– Widzicie te paliki? – Wskazał wbite w ziemię rządkiem, jeden za drugim, pomalowane na czerwono trzy kolki. – Znaczą wejście do dziury w czasie. Musicie iść po znakach, a na pewno traficie.

Wręczył mi wiązkę tak samo pomalowanych kołków.

– Kiedy znajdzie się pan na miejscu – poinstruował – proszę nie odchodzić, ale powtykać paliki w ziemię, tak jak wsadziłem te trzy. W taki sposób zaznaczy pan wejście do tunelu i będzie pan mógł wrócić.

– Ale ty masz tylko trzy paliki – powiedziałem.

– Przygotowałem ich więcej, na wypadek gdyby pan chciał dokładniej zaznaczyć miejsce. Tam dokąd się wybieracie, coś może zniszczyć paliki, a tutaj nie ma takiej możliwości. Tamte zrobiłem dłuższe i grubsze, żeby można je głęboko wbić w ziemię.

– Czy ty sam wymyśliłeś ten sposób, Hiramie? – zapytała Rila.

– Pewnie, to nic wielkiego. I proszę się nie martwić: jeśli nie wrócicie w ciągu kilku dni, wyślę Bowsera waszym śladem. On będzie umiał przyprowadzić was do domu. Pamiętaj pan, panie Steele, jak odnalazł pana w przeszłości?

– Tak, pamiętam – odparłem. – Bardzo ci dziękujemy, Hiramie.

– A ty masz tutaj czekać – przykazał mu Ben. – Nigdzie się nie oddalaj, pilnuj wszystkiego. Asa zostawił pełną lodówkę jedzenia, więc nie będziesz musiał nigdzie chodzić.

– Czy będę mógł skorzystać z toalety?

– Tak, oczywiście – przyzwolił Ben. – Ale masz się spieszyć. I nie mów nikomu, co się tutaj dzieje. Nawet gdyby ktoś cię wypytywał. Może się zjawić Herb. Zwąchał, że coś się szykuje, i pewnie zechce tu pomyszkować. Gdyby ktoś przyszedł i pytał, co znaczą te paliki, masz odpowiadać, że nie wiesz.

– Kiedy wyruszymy, będzie można wyciągnąć je z ziemi – zauważyła Rila.

– Lepiej nie – odparł Hiram. – Gdybym musiał wyprawić się za wami na ratunek...

– Nie będzie nam potrzebny żaden ratunek – przerwał mu Ben. – Nawet gdybyśmy się nieco spóźniali, masz się nie przejmować. Nie wysyłaj za nami Bowsera i sam nie chodź.

– Jeśli będę musiał – odparł Hiram z dumą w głosie – ściągnę cały oddział policji.

– Nie, do cholery! – wrzasnął Ben. – Masz w ogóle nic nie robić. Po prostu czekaj tu na nas.

– W porządku, panie Page.

Powiodłem wzrokiem po ich twarzach i doszedłem do wniosku, że powinniśmy wreszcie ruszać. Rila była obładowana sprzętem fotograficznym, natomiast Ben i ja taszczyliśmy plecaki oraz sztucery. Ben miał dodatkowo przewieszoną przez ramię swoją sześciostrzałową trzydziestkę. Stwierdził, że musi zabrać ją, żeby ustrzelić jakąś zwierzynę.

– Nigdy nie wyruszam na wyprawę łowiecką – powiedział – jeśli nie mam możliwości zdobycia świeżego mięsa. W czasie tej eskapady też będziemy musieli coś jeść.

– Ale tam będą jedynie jaszczurki – powiedziałem. – Nie chcesz chyba żywić się mięsem dinozaurów albo jaszczurek?

– A kto powiedział, że jaszczurki są niejadalne? Albo dinozaury? Mnóstwo ludzi żywi się mięsem jaszczurek. Czytałem gdzieś o tym. Podobno przypominają w smaku kurczęta.

Ustawiliśmy się w szeregu – ja na czele, Rila w środku, Ben natomiast zamykał tyły.

– Ruszamy – powiedziałem, i Przypominam o jednej rzeczy: możemy się tam zjawić w nocy. W ciągu milionów lat długość dnia ulegała nieznacznym zmianom. Poza tym Kociopysk nie może działać z dużą dokładnością. Przy takiej odległości w czasie, na jaką się przenosimy, musi wystąpić pewien błąd. Przeskakujemy o siedemdziesiąt milionów lat, a dopuszczalny błąd wynosi plus minus kilka lat, więc sami rozumiecie...

– Skończ ten wykład, Asa – wtrącił Ben. – Ruszajmy.

Uczyniłem pierwszy krok i chociaż nie oglądałem się za siebie, miałem pewność, że oni poszli dokładnie moimi śladami. Trzymałem się linii wytyczonej przez czerwone paliki, a kiedy dotarłem do ostatniego, odniosłem wrażenie, że coś mnie podcięło. Przy następnym kroku odzyskałem równowagę, znajdowałem się już jednak w innej epoce.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście – rzuciłem przez ramię. – Za nic się nie odwracajcie. Musimy oznaczyć przejście palikami, a trzeba to zrobić jak najdokładniej.

Dopiero gdy skończyłem mówić, pozwoliłem sobie rozejrzeć się. Musiałem im o tym przypomnieć, zanim cokolwiek się stanie. Obawiałem się, że moglibyśmy pomylić kierunki i stracić orientację. Pamiętałem jeszcze swoje przerażenie, kiedy nie wiedziałem, jak wrócić do domu z plejstocenu.

Pomimo moich obaw zjawiliśmy się nie nocą, ale w pełnym blasku dnia. Nawet gdybym nie wiedział, dokąd się wybieramy, chyba rozpoznałbym krajobraz późnej kredy.

Okolica do złudzenia przypominała tereny Willow Bend, które przed chwilą opuściliśmy. Rzecz jasna, było tu więcej lasów, ale dominowały znane nam gatunki: klon, brzoza i dąb, przemieszane z drzewami iglastymi. Prosto przede mną rosnęło coś na kształt olbrzymiego ananasa, ozdobionego na szczycie wachlarzem rozłożonych kuliście paprociowatych liści. Sagowiec – co prawda jeszcze prymitywniejszy gatunek, niż spodziewałem się tu zastać, za to potwierdzający, że tylko w kredzie i tylko w tych szerokościach geograficznych można było natrafić na sagowce przemieszane z dobrze znanymi nam gatunkami drzew.

– W porządku – odezwał się Ben. – Zaczniemy wbijać te paliki.

Odwrociłem się na wprost, wręczyłem mu jeden kółek, potem odpiąłem zawieszony u pasa toporek i zacząłem wbijać w ziemię drugi. Uszedłem następnie kilka kroków i wbiłem kolejny palik. Wkrótce rozmieściliśmy sześć sztuk – Ben szedł za mną i wbijał każdy następny palik nieco głębiej w ziemię niż poprzedni.

– Teraz będziemy dokładnie znali kierunek – oświadczył na koniec. – Im wyższy palik, tym bliżej domu.

– Sagowce – odezwała się Rila. – Zawsze mnie fascynowały. Kilka lat temu kupiłam całą kolekcję skamieniałych szczątków tych roślin.

– Co takiego? – zapytał Ben.

– Sagowiec, ten zwariowany ananas z wiechą na czubku.

– Ach, to. Rzeczywiście. To naprawdę ananas?

– Nie, skądże.

Ben i ja zdjęliśmy plecaki i postawiliśmy je na ziemi. Rila chyba nie chciała się uwolnić od dźwiganego sprzętu.

– Popatrzcie tylko – mruknął Ben. – Oszukaliście mnie. Gdzie są te dinozaury?

– Wszędzie dookoła – odparła Rila. – Spójrz chociażby w stronę tamtego wzgórza. Na stoku pasie się całe stado.

Ben popatrzył we wskazanym kierunku.

– Ale tamte są małe – rzekł. – Chyba nie większe od owiec.

– Dinozaury były różnej wielkości – wyjaśniła Rila. – Od takich jak kurczęta do olbrzymów. To roślinożercy, ale są za daleko, bym mogła dokładniej określić gatunek.

Oboje musieli mieć lepszy wzrok niż ja, gdyż ledwie dostrzegałem zarysy zwierząt. Gdyby nie poruszały się, spokojnie żerując między drzewami, chyba w ogóle bym ich nie zauważył.

Słońce stało niemal w zenicie. Było ciepło, ale nie za gorąco, a z zachodu wiał lekki wiatr. Pogoda przywodziła na myśl początek czerwca, kiedy letnie słońce nie praży jeszcze bezlitosnym żarem.

W pierwszej chwili zauważyłem znajome drzewa, potem sagowca. Teraz zacząłem dostrzegać inne rzeczy. Ziemię pokrywały miejscami karłowate wawrzyny, sasafzany i tym podobne krzewinki. Tu i ówdzie widniały nieliczne splechcie trawy – twardej i ostrej, w niczym nie przypominającej trawy z plejstocenu, która zachłannie pokrywała każdy centymetr gruntu. Zdumiała mnie jej obecność. Zgodnie z podręcznikami, nie powinno jej tu być, miała pojawić się znacznie później, za dobrych kilka milionów lat. Miałem oto przykład, jak błędne były nasze informacje. Gdzieniedzie, pomiędzy widocznymi w oddali skupiskami znajomych drzew, rosły kępy karłowatych palm. Stanowiły one dowód, że znaleźliśmy się w okresie przejściowym, we wczesnym stadium rozwoju współczesnych nam, zrzucających liście na zimę drzew, przemieszanych tu ze skazanymi na wymarcie starszymi i prymitywniejszymi okazami flory. Ziemia nie była porośnięta tak bujną roślinnością, jaka miała pojawić się w odległej o kilka milionów lat przyszłości, kiedy rozwiną się i rozplenią setki gatunków traw.

Miejscami widniały łysiny nagiej gleby, pociętej drobnymi kanalikami, które odprowadzały nadmiar wody z ulewnych letnich deszczów – o ile w tym klimacie istniało jakiegokolwiek zróżnicowanie pór roku. Ten typ podłoża nie dawał pewnego oparcia stopom, musieliśmy bez przerwy uważać na każdy krok. Dywan krzewinek opóźniał marsz, natomiast odkryta ziemia stanowiła niepewny grunt

Ben schylił się, podniósł plecak i zarzucił go na ramiona.

– Lepiej rozejrzyjmy się za jakimś miejscem na obozowisko – powiedział. – Najlepiej w pobliżu wody. Powinniśmy gdzieś niedaleko znaleźć strumień. Pamiętasz, Asa? Kiedy byliśmy mali, w okolicy płynęło wiele strumieni. Teraz, gdy wycięto drzewa i większość nieużytków zamieniono w pastwiska, prawie wszystkie wyschły.

Skinąłem głową.

– Sądzę, że bez trudu go znajdziemy. Próbuję porównać okolicę ze znanymi nam terenami. Rzeka płynie tak samo, na zachód, a dalej na południe, ale jej koryto jest zmienione. Spójrz, nie ma zakola, płynie prosto przez to miejsce, gdzie będzie stało Willow Bend.

– Widzę – przyznał Ben. – Wszystko jest tu trochę pomieszane, ale mam wrażenie, że wzgórza i kotliny znajdują się na swoich miejscach. Powinniśmy się w tym rozeznać.

– Niewiele się tu zmieniło – wtrąciła Rila. – Aż do naszych czasów nie działo się tu nic, co mogłoby zmienić ukształtowanie terenu. Nie sięgały tu ani morza śródlądowe, ani lodowce. Morze Kansas znajduje się pewnie o wiele kilometrów stąd na zachód. Poza ewentualnymi jeziorami nie mamy chyba szans odnaleźć większych zbiorników wodnych i dlatego chyba nie natkniemy się na sauropody.

Dźwignąłem z ziemi swój plecak i zarzuciłem go na ramiona. Rila ułożyła sobie wygodniej torby ze sprzętem fotograficznym. Ben ruszył

przodem, tym razem ja zamykałem tyły. Po prawej stronie coś pisnęło wśród krzewinek i rzuciło się do ucieczki. Chyba jakiś mały ssak – pomyślałem. Powinno ich być tutaj mnóstwo, wielkości od myszy do zająca. Zresztą mógł to być zając, lub raczej opos, a może nawet wiewiórka. Wszystkie one musiały się ukrywać przed wielkimi drapieżnymi bestiami, które przemierzały setki kilometrów, nie mogąc zaspokoić głodu. Dopiero za jakieś dziesięć milionów lat owe małe stworzonka będą mogły wyjść z ukrycia i przejąć po gigantycznych gadach we władanie całą Ziemię.

Ben prowadził w stronę rzeki skręcającej na zachód. Ciężko było iść. Musieliśmy cały czas mieć się na baczności. Z trudem opanowywałem instynktowną chęć ustawicznego spoglądania pod nogi, wybierania odpowiedniego miejsca do postawienia stopy. Gdybym poświęcił uwagę tylko temu, nie mógłbym rozglądać się dookoła, a przecież znajdowaliśmy się w środowisku, gdzie należało uważać na wszystko, co działo się wokoło.

Sztucer z minuty na minutę ciążył mi coraz bardziej. Żadnym sposobem nie mogłem go tak ułożyć na ramieniu, żeby mi nie przeszkadzał. W myślach rozważałem dziesiątki sposobów zachowania, na wypadek gdyby w zasięgu wzroku pojawił się jakiś drapieżnik i ruszył na nas. Plecak był wystarczająco nieporęczny, a co dopiero mówić o sztucerze.

Z odległej od nas o kilkadziesiąt metrów kępki brzołek wysunęła się wielka jak beczka głowa żółwia – olbrzymiego żółwia. Zwierz wytknął głowę, znieruchomiał, popatrzył na nas, po czym zaczął wyłazić. Na widok wysuwającego się spomiędzy brzoł olbrzyma zamarliśmy w bezruchu. Ben powoli zsunął z ramienia sztucer.

Zwierzę z pozoru tylko przypominało żółwia, gdyż nim nie było. Zamiast skorupy miało na sobie pancerną płytę. Pełzło uparcie w naszym

kierunku, łypiąc ślepiami, skrywającymi się rytmicznie za błoniastymi powiekami. Kołysało się na boku a krótkie nogi powodowały, że nieomal sunęło brzuchem po ziemi.

Przy moim prawym ramieniu zaterkotała kamera Rili, ale nic obejrzałem się. Nie spuszczałem zwierzka z oczu.

– Wszystko w porządku – mruknąłem, żywiąc głęboką nadzieję, że naprawdę jest w porządku. – To ankylozaur, nie jest drapieżny.

Potwór wylazł wreszcie cały z kępy drzew – miał dobre pięć metrów długości. Ciągnął za sobą maczugowato zakończony ogon, najeżony kościanymi wyrostkami.

Kamera terkotała bez przerwy. Opancerzony gad zatrzymał się w końcu. Ryknął głośno na nas, uniósł maczugowaty ogon i huknął nim o ziemię.

– Niech mnie kule biją – syknął Ben. – On nas odstrasza!

– Nie boi się – odparłem. – On nie ma się czego bać. Gdyby zaatakował go jakiś karnozaur, po prostu wetknąłby ten ogon napastnikowi między zęby.

Ankylozaur z ociąganiem odwrócił się i ruszył z powrotem. Rila opuściła kamerę.

– Chodźmy dalej szukać miejsca na obóz – polecił Ben.

W pół godziny później stanęliśmy nad strumieniem – toczył swe wody w dół zbocza, a wypływał z kępy olbrzymich dębów i klonów, przywodzących na myśl wigę staroangielskiej puszczy, wykorzystaną przez rysownika jako ilustrację do antykwarycznego wydania Tennysona.

– Znakomite miejsce – oświadczył Ben. – Będziemy mieli świetną osłonę. Żaden z wielkich drapieżników nie dostanie nas łatwo wśród tych drzew.

– Możliwe, że przeceniamy krwiożerczość karnozaurów – rzekłem. – Niewykluczone, że w ogóle nie miałyby na nas ochoty. Powinniśmy wydać

im się czymś dziwnym, niepodobnym do łowionych przez nie zwykle zwierząt. Może nawet spłoszą się na nasz widok. Poza tym nie były to wcale tak powszechnie występujące zwierzęta.

– Mimo wszystko – rzekł Ben z naciskiem – nie wolno nam podejmować ryzyka. Musimy się trzymać razem, żadnych samotnych wycieczek. Przecież niczego nie wiemy na pewno. Kiedy tylko przygotujemy obozowisko, przetestujemy sztucery.

Dość szybko zorganizowaliśmy obóz. Nie było to nic specjalnego – dwa małe namioty rozstawione między drzewami i okopane palenisko. Narąbaliśmy też suchego drewna, ułożyliśmy je w stos, po czym rozpakowaliśmy plecaki.

– Będziemy obaj na zmianę trzymali wartę w nocy – zarządził Ben. – Nie możemy dać się zaskoczyć.

Kiedy wreszcie obóz był gotowy, postanowiliśmy sprawdzić sztucery.

– Przede wszystkim trzeba pamiętać, żeby się rozluźnić – instruuwał Ben. – Nie naprężaj się. Przyłóż kolbę do ramienia, ale nie przyciskaj jej za mocno. Postaraj się jak najbardziej rozluźnić, trzymaj ją zarazem na tyle mocno, by nie zsunęła ci się z ramienia i nie uderzyła w policzek. Pochyl głowę wzdłuż kolby, przygarb się trochę, ale też nie za bardzo.

Ben nie miał żadnych kłopotów. Posługiwał się już przedtem bronią dużego kalibru, chociaż nie tak wielką jak te sztucery. Ja nigdy nie strzelałem z niczego cięższego od mojej małej dwudziestki dwójki. Wziąłem jednak do serca uwagi Bena i wcale nie poszło tak źle. Przy pierwszym strzale kolba omal nie złamała mi obojczyka, a ja poleciałem o dwa kroki do tyłu, nie upadłem jednak. Za drugim razem było już znacznie lepiej, a za trzecim zupełnie dobrze. Oddając czwarty i ostatni strzał, niemal w ogóle nie poczułem odrzutu. Gruba, stojąca samotnie brzoza, której użyliśmy jako tarczy, została podziurawiona pociskami.

– Świetnie – rzekł Ben z aprobatą. – Chyba dasz sobie jakoś radę ze sztucerem. Jeśli kopnie cię za mocno, gdy nie będziesz go dobrze trzymał, zaczniesz się bać i wzdragać przed oddaniem strzału. W takim wypadku mógłbyś równie dobrze go odrzucić w obliczu zagrożenia. Nie umiałbyś trafić we wrota stodoły z odległości trzydziestu kroków.

– Asa – odezwała się cicho Rila, która została nieco z tyłu.

Odwróciłem się. Siedziała na ziemi po turecku i oparłszy łokcie na kolanach, przyciskała lornetkę do oczu.

– Chodź tu i popatrz – powiedziała. – Tam jest mnóstwo zwierząt, całe stada i pojedyncze osobniki, tyle że zlewają się z tłem i trudno je dostrzec. Spójrz, trochę na lewo od tej grupy czterech drzewek na stoku wzgórza opadającym po przeciwnej stronie rzeki.

Wręczyła mi lornetkę, ale ta była zbyt ciężka, bym mógł ją utrzymać nieruchomo w pozycji stojącej. Usiadłem więc i oparłem łokcie na kolanach, wzorem Rili.

Przez dłuższą chwilę szukałem miejsca, które mi wskazała, w końcu dostrzegłem zwierzę i zacząłem obracać kółkiem, ustawiając ostrość. Siedziało na ziemi, odpoczywając, z ugiętymi tylnymi łapami, wsparte na potężnym ogonie. Olbrzymie cielsko było wyprostowane, a odrażający łeb obracał się powoli na boki, penetrując wzrokiem najbliższą okolicę.

– Jak sądzisz? – zapytała Rila. – To tyranozaur?

– Nie wiem, trudno ocenić.

Problem polegał na tym, że niczego nie można było określić jednoznacznie. Do tej pory stykaliśmy się jedynie z kośćmi dinozaurów, a w paru wypadkach z fragmentami zmumifikowanej skóry. Nasze wyobrażenia o tych zwierzętach z konieczności pokrywały się z wyobrażeniami rysowników, którzy – choćby byli nie wiem jak doskonali – nie mogli oddać wielu wątpliwych szczegółów.

– Na pewno nie jest to *Tyranosaurus rex* – odparłem. – Ma za długie przednie łapy. Może to trionychid, a może inny gatunek tyranozaura, którego nie znamy na podstawie skamieniałości. Nie możemy przecież powiedzieć, że znaleźliśmy szczątki wszystkich gatunków tyranozaurów. Tak czy owak, wygląda na wielkiego drapieżnika. Siedzi sobie i odpoczywa, spokojnie rozgląda się dokoła, wypatrując jakiejś ofiary, dla której warto by się podnieść.

Przez jakiś czas przyglądałem się potworowi. Tkwił nieruchomo, bez ustanku obracając głową.

– Mnie też zdumiały tak dobrze rozwinięte przednie łapy – powiedziała Rila. – Gdybyśmy wylądowali o kilka milionów lat głębiej w przeszłości, twierdziłabym stanowczo, że to allozaur. Ale tutaj allozaury nie powinny już występować, wymarły chyba dawno temu.

– Może i nie – odparłem. – Nie zachowujemy się, jakbyśmy na podstawie skamieniałości poznali w szczegółach całą historię dinozaurów. Jeśli znajdujemy szczątki zwierzęcia w starych osadach, a nie występują one w młodszych warstwach, osądzamy wówczas, że gatunek musiał wymrzeć. A może po prostu przeszukiwaliśmy młodsze osady w niewłaściwym miejscu? Niewykluczone, że allozaury przetrwały aż do końca epoki dinozaurów.

Przekazałem lornetkę Benowi, wskazując mu kępę drzew.

– Tam, nieco bardziej na lewo.

– Chciałabym go sfilmować, Asa – oświadczyła Rila. i To pierwsze większe stworzenie, na jakie trafiliśmy.

– Załóż teleobiektyw. Powinnaś go uchwycić.

– Próbowałam, ale i tak obraz jest niewyraźny. W każdym razie w wizjerze, a na taśmie może być jeszcze gorszy. Jeśli chcemy mieć

przekonujący dowód dla tych od safari, jeśli chcemy ich oszołomić, musimy sfilmować coś z bliska, wyraźnie.

– Możemy spróbować podejść do niego – zaproponowałem. – To dość daleko, ale chyba warto spróbować.

– Małeństwo ruszyło – oznajmił Ben. – Idzie w górę stoku. Dość szybko. Pewnie wypatrzył tam coś ciekawego.

– Cholera – syknęła Rila. – Wszystko przez was i wasze próbne strzelanie. Spłoszyliście go.

– Wcale nie wyglądał na spłoszonego – sprzeciwiłem się. – Siedział sobie spokojnie. Przy tej odległości huk strzału musiał być ledwie słyszalny.

– Ale ja muszę sfilmować jakieś duże zwierzę – nalegała Rila.

– Znajdziemy coś – uspokoiłem ją.

– Widziałam również mnóstwo mniejszych stworzeń. Dinozaury strusie i całe stada jeszcze mniejszych, o rozmiarach indyka. Kilka ankylozaurów, kilka niedużych gatunków rogaty. Całą gamę odmian jaszczurek, a także parę gigantycznych żółwi na brzegu rzeki. Kogo jednak mogą interesować gigantyczne żółwie? Widziałam też jakieś gady latające, pewnie pterozaurowy, oraz nieliczne ptaki. Ale nie było wśród nich nic oszałamiającego.

– Nie miałyby sensu podążać śladem tego olbrzyma – wtrącił Ben. – Pobiegnął dość szybko, jak gdyby wiedział dokładnie, dokąd zmierza. Zanim dotarlibyśmy w tamto miejsce, on, poruszając się z niezmienną szybkością, już dawno zniknąłby za horyzontem. Niemniej moglibyśmy pójść na mały spacer, jeśli już o tym mowa. Może uda się trafić na coś ciekawego. Ale nie odchodźmy zbyt daleko, jest już dosyć późne popołudnie, a powinniśmy być na miejscu długo przed zapadnięciem zmroku.

– Prawdopodobnie w nocy będziemy bardziej bezpieczni niż w ciągu dnia – powiedziałem. – Wątpię, żeby jakieś gady wyruszały na łowy po

zachodzie słońca. Zapadają wówczas w letarg, a przynajmniej tak się nam wydaje. To zimnokrwiste zwierzęta i mają dość niską tolerancję na wahania temperatury. W południe, kiedy słońce mocno przygrzewa, zwykle szukają schronienia, a wśród chłodów nocy odznaczają się bardzo małą ruchliwością.

– Chyba masz rację – stwierdził Ben. – Na pewno masz rację. Ty się na nich znasz. Ale ja będę o wiele spokojniejszy, jeśli spędzimy noc w obozie, przy ognisku.

– Wcale nie mamy pewności, że dinozaury nie wyruszały nocą na łowy – zaproponowała Rila. – Jeśli chodzi o ścisłość, nie możemy nawet stwierdzić, jak dużej powinniśmy się spodziewać różnicy temperatur między dniem i nocą. I jeszcze jedno: nie ma żadnych dowodów na to, że dinozaury były zimnokrwiste. Na podstawie pewnych faktów niektórzy paleontolodzy uważają nawet, że były to zwierzęta ciepłokrwiste.

To prawda, miała rację. Istniały przesłanki co do ciepłokrwistości dinozaurów. Czytałem coś na ten temat, ale argumenty nie trafiły mi do przekonania. Gotów byłem się spierać. Rila widocznie pogodziła się z tą opinią, ja zaś uznałem, że nie jest to odpowiednie miejsce na toczenie akademickich sporów.

Z północy doleciał głośny ryk jakiegoś zwierzęcia. Stanęliśmy nasłuchując. Głos nie przybliżał się, ale też i nie cichł – rozlegał się w równych odstępach czasu. Niespodziewanie umilkły wszystkie inne dźwięki, między kolejnymi rykami panowała martwa cisza. Do tej pory chyba nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z dźwiękowego tła, dopiero teraz uderzyła nas całkowita nieobecność innych odgłosów – cichego warczenia, pohukiwania i całej gamy rozmaitych pisków.

– Ciekaw jestem, czy to nie nasz przyjaciel, którego obserwowaliśmy – mruknął Ben.

– Niewykluczone – stwierdziła Rila. – Ale równie dobrze może to być inne zwierzę.

– Nie wiedziałem, że dinozaury potrafią wydobywać dźwięki.

– Nikt nie wiedział. Zdaje się, że wszyscy uważali je za nieme. Teraz wiemy, że potrafiły nieźle hałasować.

– Gdybyśmy weszli na szczyt tamtego wzgórza – Ben wskazał dłonią – być może dostrzeglibyśmy tego ryczy woła.

Poszliśmy w tamtą stronę, lecz nawet ze szczytu nie zauważyliśmy zwierzęcia. Ryk zresztą ucichł, zanim dotarliśmy do punktu obserwacyjnego. Przeszukiwaliśmy teren za pomocą lornetki, nie ujrzeliśmy jednak żadnego na tyle dużego stworzenia, by mogło wydawać z siebie aż tak ogłuszający głos.

Nie dostrzegliśmy ryczącego dinozaura, za to poznaliśmy wiele tutejszych form życia. Niewielkie grupki dinozaurów strusich, przypominających do złudzenia dwumetrowej wysokości pozbawione piór ptaszyska, rozpierzchały się na nasz widok. Gromadka pochrząkujących rogatych stworzeń, mierzących nieco ponad pół metra w kłębie, spokojnie opuszczała żerowisko – pas ziemi zrytej rogami w poszukiwaniu jadalnych korzeni i bulw. Spod stóp umykały nam węże. Spłoszyliśmy stadko niesamowitych, karykaturalnych ptaków, nieco większych od głuszca, które uniosło się w powietrze z głośnym łopotem skrzydeł. Wyglądały bardzo śmiesznie. Odnosiło się wrażenie, że miały pióra przytwierdzone do ciała odwrotną stroną, latały zresztą bardzo niezgrabnie. W pewnej odległości zauważyliśmy grupę iguanodonów, mierzących około dwa metry wysokości. Powinny być dużo większe, nie mówiąc już o tym, że według wszelkich danych w ogóle nie występowały w tej erze. Otwarte paszcze złowrogo wyglądających bestii o pomarszczonej skórze ukazywały szeregi gęsto ustawionych zębów. Nie ulegało wątpliwości, że są to drapieżniki –

podobne kły były typowe dla wszystkich mięsożernych. Podeszliśmy do nich dosyć blisko, zachowując jak najdalej posuniętą ostrożność. Obawiałem się, iż rzucają się na nas, ale chyba w niczym nie zakłóciliśmy im spokoju. Przez jakiś czas mierzyły nas podejrzliwymi spojrzeniami mętnych ślepiów, wreszcie odwróciły się i powoli podreptały swoją drogą.

Przez całe popołudnie Rila niemal bez przerwy terkotała kamerą. Zużyła mnóstwo filmu, od czasu do czasu zmieniając jedynie kasety. Z wyjątkiem iguanodonów nie zdołała jednak sfilmować żadnych większych zwierząt.

– Spójrzcie. – Ben wskazał na niebo, kiedy wracaliśmy już do obozu.

Wysoko przesuwało się duże, liczące około setki sztuk stado ptaków. Z ziemi wyglądały jak chmura muszek powoli wędrująca na wschód.

Popatrzyłem na nie przez lornetkę i chociaż znajdowały się dość daleko, zidentyfikowałem je bez trudu.

– Pterozaurowy – powiedziałem. – Gdzieś tam musi być większy zbiornik wodny.

Słońce wisi już nisko nad horyzontem, kiedy postanowiliśmy wracać do obozu. W połowie drogi wyszliśmy prosto na grupę strusich dinozaurów. Na nasz widok zawahały się przez chwilę, w końcu rzuciły do ucieczki. Ben wyciągnął w moim kierunku sztucer na słońce.

– Potrzyj go przez chwilę – poprosił.

Zdjął z ramienia swój karabinek i wycelował – lufa przesuwała się powoli w ślad za umykającymi szybko, kiwającymi się na boki stworzeniami. Strzał rozbrzmiał suchym, nieprzyjemnym dźwiękiem. Jeden z dinozaurów przekoziołkował i legł na plecach z wyciągniętymi w górę, kopiącymi jeszcze powietrze łapami.

– Kolacja – oznajmił Ben uśmiechając się. Przerzucił pas strzelby przez ramię i odebrał z powrotem z moich rąk sztucer. – Sfilmowałaś to? – zwrócił się do Rili.

– Owszem – odparła ponuro. – Uwieczniłam ciebie i pierwszego w historii zastrzelonego dinozaura.

Ben uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Co ty możesz o tym wiedzieć!

Podeszliśmy do zwierzęcia. Ben oparł o nie sztucer i z futerału przy pasie wyciągnął nóż.

– Chwyć za tylną nogę – powiedział – i ciągnij.

Nie wypuszczając z ręki sztucera, drugą dłonią objąłem łapę i zacząłem ciągnąć. Szybkimi, wprawnymi cięciami Ben oddzielił udziec wraz z szynką.

– Dobra – rzekł.

Chwycił oburącz za nogę i skręcił ją energicznie. Staw chrupnął, ale jakieś ścięgna wciąż trzymały. Po dwóch dalszych szarpnięciach ćwiartka mięsa została oddzielona od reszty.

– Ja ją poniosę – zaofiarowałem się. – Ty weź oba sztucery.

– Mhm – zgodził się. – Moglibyśmy odciąć też drugą nogę, ale jedna nam wystarczy. Nie ma sensu robić zapasów mięsa. Popsuje się.

– Skąd masz pewność, że to mięso nadaje się dojedzenia? – zapytałem.

– Na pewno się nie otrujemy – zawyrokował. – Jeśli będzie niesmaczne, wyrzucimy je i usmażymy bekon.

– Nie będziemy musieli go wyrzucać – wtrąciła Rila. – Na pewno jest dobre.

– A ty skąd możesz o tym wiedzieć? – zwróciłem się do niej.

– Jemy przecież kurczaki, prawda?

– Może jestem głupi, ale zupełnie nie mam pojęcia, co tu mają do rzeczy kurczaki – odezwał się Ben.

– Kury są spokrewnione z dinozaurami, są im najbliższe spośród współczesnych nam zwierząt. To potomkowie w prostej linii, jeśli

uwzględnimy jedno czy dwa ogniwa pośrednie.

Jedno czy dwa ogniwa pośrednie, dobre sobie – pomyślałem. Nie odezwałem się jednak, ponieważ trudno było dyskutować z podobnym twierdzeniem. Nie kłóciłem się na temat ciepłokrwistości dinozaurów, więc i teraz, w imię zachowania przyjaznej atmosfery, również nie protestowałem.

Nie wyrzuciliśmy mięsa, było bardzo smaczne. Przypominało nieco cielęcinę, chociaż wyraźnie różniło się od niej. Było słodkie i soczyste, zjedliśmy go bardzo dużo.

Po kolacji rozpaliliśmy ognisko i zasiedliśmy przy nim. Ben wyciągnął z plecaka butelkę whisky i rozlał do trzech filizanek po kawie.

– Toast myśliwski – powiedział. – Po troszeczkę, tylko tyle, żeby się rozgrzać, podtrzymać nastroje i poprawić krążenie.

Rozdał nam filizanki, a butelkę schował.

Siedzieliśmy, sącząc whisky i tuląc się do siebie przy ogniu. Mieliśmy zdjęcia i w ogóle wszystko układało się jak najlepiej. Nie rozmawialiśmy specjalnie. Po forsownym marszu byliśmy zbyt zmęczeni.

W otaczających nas niskich zaroślach rozbrzmiewały szelesty i popiskiwanie.

– To ssaki – powiedziała Rila. – Biedne, małe zwierczaczki. Muszą się ukrywać całymi dniami.

– Nie ma ich co żałować – wtrącił Ben. – Świetnie dadzą sobie radę. Zostaną tu, kiedy dinozaury i cała reszta tego świata przestanie istnieć.

– Można spojrzeć na to i w ten sposób – mruknęła Rila.

– Powinniśmy położyć się spać. Ja pierwszy obejmę wartę – zwrócił się Ben do mnie. – Obudzę cię o... – Spojrzał na zegarek. – Do diabła, jest czwarta godzina. Nasz czas zdecydowanie nie odpowiada czasowi tego świata. W każdym razie obudzę cię mniej więcej za cztery godziny.

- Jest nas troje – zauważyła Rila.
- Śpij spokojnie, ja i Asa zajmujemy się czuwaniem.

Namioty stały rozstawione, ale było tak ciepło, że nie musieliśmy z nich korzystać. Rozwinęliśmy śpiwory i ułożyliśmy się na powietrzu. Minęło sporo czasu, zanim zasnąłem, chociaż odczuwałem zmęczenie. Czekał nas ciężki dzień. Ben dość długo siedział jeszcze przy ognisku, w końcu wziął sztucer i poszedł w stronę brzegu lasku.

Szelesty i piski dobiegające ze wszystkich stron z podszycia zagajnika nie milkły nawet na chwilę. Stwierdziłem w duchu, że musiało tu być o wiele więcej różnych drobnych ssaków, niż ktokolwiek przypuszczał.

- Śpisz, Asa? – zapytała Rila.
- Powinniśmy wypocząć – odparłem. – Czekają nas jutro męczący dzień.

Nie odzywała się więcej. Leżałem w półśnie, próbując zmusić się do zaśnięcia. W końcu widocznie usnąłem, gdyż obudził mnie Ben potrząsając za ramię. Odrzuciłem koc i podniosłem się na nogi.

- Wszystko w porządku? – zapytałem.
- Nic się nie działo. Już niedługo będzie świtać.
- To znaczy, że czuwałeś dłużej, niż powinienieś.
- Nie chciało mi się spać – odparł. – Jestem zbyt podekscytowany, mimo że odczuwam zmęczenie. Może teraz zasnę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, skorzystam z twojego śpiwora nie chce mi się rozkładać mojego.

Zrzucił buty, wsunął się do śpiwora i przykrył kocem. Podeszedłem do ogniska, które strzelało jasnym płomieniem. Widocznie Ben dołożył kilka drewna na krótko przedtem, zanim mnie obudził.

Szelesty i popiskiwanie przycichły zdecydowanie, dokoła zalegała cisza. Było jeszcze ciemno, ale w powietrzu już się czuło nadciągający świt. Na zewnątrz lasku zaczęło szczebiotać jakieś zwierzę. Doszedłem do wniosku,

że to ptak, a raczej stadko ptaków, gdyż po chwili dołączyły do niego inne szczebioczące głosy.

Wsunąłem sztucer pod pachę i ruszyłem ku krawędzi lasu. Całą krainę zalewała blada poświata sierpowatego księżyca.

Wszędzie panował spokój. Nagle w wąskiej kotlinie doliny rzeki coś się poruszyło. Nie mogłem dojrzeć, cóż to takiego. Ruch ustał, lecz po chwili dostrzegłem go ponownie. Stwierdziłem, że muszę bardziej przyzwyczać oczy do ciemności, a wówczas zdołam rozpoznać zwierzę.

Mniej więcej po dziesięciu minutach odniosłem wrażenie, że mogę w głębi mrocznej doliny wyróżnić kilka ciemniejszych kształtów. Wyteżądałem wzrok, żeby dostrzec jakieś szczegóły, ale nadal były to tylko niewyraźne, masywne cienie, z których blask księżyca wyławiał od czasu do czasu jakieś refleksy w trakcie ich poruszania się. Przez cały czas rozlegał się chóralny szczebiot. Teraz z kolei odniosłem wrażenie, że dolatuje on z tamtej kotlinki i staje się coraz głośniejszy. Bardzo trudno było zlokalizować źródło owego dziwaczного odgłosu. A jednak mógłbym przysiąc, że to właśnie te wielkie cienie tak szczebiotały.

Kucnąłem i przyglądałem się dalej. Niewiele się jednak zmieniło – nadal widziałem tylko niewyraźne zarysy, które od czasu do czasu poruszały się, chociaż ruch ten nie był związany z ich wędrówką.

Nie wiem, jak długo tak kuciałem, musiało minąć jednak sporo czasu. Coś trzymało mnie na miejscu i kazało wbijać wzrok w poruszające się cienie. Niebo na wschodzie zaczęło się w końcu rozjaśniać, za mną, w lasu, zaczął jakiś rozbudzony ptak. Odwróciłem się i spoglądałem przez chwilę w gęstwinę drzew, a gdy popatrzyłem z powrotem w kotlinkę, wydało mi się, że zdecydowanie lepiej rozróżniam zarysy zwierząt. Były o wiele większe, niż początkowo sądziłem. Przesuwały się bardzo powoli, przy czym nie wszystkie naraz – jeden czy dwa robiły krok do przodu,

przystawały, za chwilę powtarzały ten ruch inne. Sprawiały wrażenie skubiącego trawę stada dzikiego bydła. Doszedłem do wniosku, że w rzeczywistości nie mogły robić nic innego – miałem przed sobą stado pasących się roślinożernych dinozaurów.

Nie wiem, czy to wskutek skoncentrowania moich myśli na zwierzętach, czy też z powodu niezauważalnego rozjaśnienia – mimo że słońce wciąż jeszcze było niewidoczne – nagle rozpoznałem olbrzymy. Miałem przed sobą stado triceratopsów. Teraz, kiedy już je zidentyfikowałem, mogłem dostrzec połyskujące wielkie kołnierze kostne w tyle czaszki oraz błyszczące bielą dwa wielkie rogi wyrastające tuż powyżej oczu.

Powoli, ostrożnie podniosłem się na nogi – zachowywałem chyba nawet większą ostrożność, niż była konieczna, bowiem przy dzielącej nas odległości niewielkie były szanse na spłoszenie zwierząt – i zawróciłem do obozu.

Klęknąłem i potrząsnąłem ramieniem Rili.

– Co się stało? – mruknęła zaspanym głosem.

– Obudź się – szepnąłem. – Wstań powoli, po cichutku. Zbliżyło się stado triceratopsów.

Wysunęła się spod koca, nie do końca jeszcze rozbudzona.

– Triceratopsów? Rogatych – i w ogóle?

– Cała gromada. Żerują w głębi doliny niczym stado bizonów. Nie mam pojęcia, ile ich może być.

Ben poruszył się, usiadł w śpiworze i zaczął obiema pięściami przecierać oczy.

– Co się dzieje, do diabła? – zapytał.

– Triceratopsy – rzuciła Rila. – Asa je namierzył.

– Takie olbrzymie czworonogi z rogami wyrastającymi na szczycie łba?

– Właśnie – odparłem.

– Wielkie bydłeta – stwierdził Ben. – Szkielet jednego z nich stoi w Muzeum Nauki w Saint Paul, oglądałem go wiele lat temu. – Zerwał się na nogi i sięgnął po sztucer. – Chodźmy je zobaczyć – powiedział.

– Jest jeszcze za ciemno – wtrąciłem. – Musimy poczekać do świtu. Może zjedzmy na razie śniadanie.

– Sama nie wiem – zawahała się Rila. – Nie chciałabym przepuścić takiej okazji. Mówisz, że jest ich całe stado? Nie przesłyszałam się, prawda? I są to normalne triceratopsy, a nie jakieś małe rogate kundły, które spotykaliśmy wczoraj?

– Olbrzymy – odparłem. – Trudno mi ocenić ich wielkość, ale to giganty. Jeśli chcecie podejść i popatrzeć na nie, to sam zajmę się jajecznicą na bekonie. Przygotuję śniadanie i przyniosę je wam.

– Bądź ostrożny – ostrzegła Rila. – Staraj się nie hałasować i nie dzwoń garnkami.

Odeszli oboje. Wyciągnąłem z plecaka bekon i jaja, nasypałem do dzbanka kawy i zacząłem szykować jedzenie. Kiedy zaniósłem im talerze z jajecznicą i filiżanki napełnione kawą, świtało już. Triceratopsy wciąż spokojnie skubały trawę w dolince nad rzeką.

– Czy widziałeś w swoim życiu coś równie pięknego? – zapytała Rila.

Faktycznie, stado przedstawiało sobą imponujący widok. Na odcinku kilku kilometrów w górę i w dół rzeki zwierzęta dosłownie wypełniały całą dolinę. Pracowicie skubały trawę i niskopienne krzewinki porastające ziemię. Były wśród nich także młode, niewiele większe od świni, oraz pewna liczba trochę starszych, które oceniłem na jednoroczne, ale większość stanowiły osobniki dorosłe. Z tej odległości szacowałem, że dorosłe miały średnio metr sześćdziesiąt lub więcej wysokości, a wliczając potężne ogony, dochodziły do siedmiu metrów długości. Olbrzymie kostne

kołnierze sprawiały, że ich łby wydawały się nieproporcjonalnie wielkie. Nadal szczebiotały z ukontentowania.

– W jaki sposób możemy je podejść? – zapytałem.

– Po prostu pójdziemy powoli w ich kierunku – rzekł Ben. – Bez gwałtownych ruchów i jak najciszej. Jeśli któryś uniesie łeb, zatrzymamy się, a gdy przestanie na nas zwracać uwagę, pójdziemy dalej. To będzie wymagało nie lada cierpliwości. Rila w środku, my dwaj po bokach. Gdyby któryś chciał się na nas rzucić, Rila musi biegiem uciekać, a my spróbujemy go powstrzymać.

Skończyliśmy śniadanie i zostawiliśmy talerze oraz filiżanki na skraju zagajnika, nie zwracając sobie głowy odnośnieniem ich do obozu. Zaczęliśmy się podkradać, jeśli coś takiego można nazwać podkradaniem.

– To nie ma sensu – powiedziałem. – Mamy im się tak po prostu pokazać w otwartym terenie?

Ben uciszył mnie ruchem dłoni.

– Gdybyśmy padli na ziemię i zaczęli się czołgać, na pewno byśmy je spłoszyli. A w ten sposób będą miały nas cały czas na oku. Prawdopodobnie nie wyglądamy nazbyt groźnie.

Poruszaliśmy się bardzo wolno. Robiliśmy tylko po kilka kroków, po czym musieliśmy zatrzymać się, gdy któreś ze zwierząt unosiło łeb i obrzucało nas uważnym spojrzeniem. Wszystko wskazywało jednak na to, że Ben miał rację. Nie zwracały na nas specjalnej uwagi.

Kilkakrotnie przystawaliśmy na dłużej, by umożliwić Rili wykonanie zdjęć. Wodziła obiektywem kamery w górę i w dół doliny. Zdołaliśmy podejść zwierzęta na jakieś pięćdziesiąt metrów, nim nasza obecność poważnie je zaniepokoiła. Kilka olbrzymich samców przestało skubać trawę. Obróciły się w naszą stronę i uniosły łby, mierząc w nas groźnie nastawionymi rogami. Kłapnęły raz i drugi pyskami, osłoniętymi ściętą,

zakrzywioną w dół, dziobopodobną tarczą. Stanęliśmy. Przy moim lewym ramieniu zaterkotała kamera, ja jednak nie spuszczałem oczu ze zwierząt, trzymając sztucer w pogotowiu. Jednym ruchem mogłem go unieść do ramienia. To dziwne – podczas marszu wydawał się taki ciężki, a teraz miałem wrażenie, że prawie nic nie waży.

Szczebiot umilkł. Zapadła martwa cisza. Olbrzymy stojące dalej również unosiły łby i gapiły się na nas. Jakimś sposobem w jednej chwili zostało zaalarmowane całe stado.

– Wycofujemy się – rzekł cicho Ben. – Powolutku, krok po kroku. Stawiajcie pewnie nogi, żeby się nie potknąć.

Zaczęliśmy się wycofywać.

Jeden z olbrzymich samców zrobił kilka kroków w naszym kierunku. Uniosłem już sztucer do ramienia, ale po kilku metrach gigant się zatrzymał. Energicznie potrząsnął łbem. Cofaliśmy się spokojnie.

Kolejny samiec podbiegł kilka kroków i stanął, podobnie jak poprzedni.

– To bluff – stwierdził Ben. – Ale nie lekceważmy ich, wycofujemy się powoli.

Znów zaterkotała kamera.

Dwa wielkie samce tkwiły nieruchomo, mierząc nas wzrokiem. Kiedy oddaliliśmy się o jakieś sto metrów, zawróciły i niespiesznie dołączyły do stada. Wszystkie triceratopsy zaczęły znowu skubać trawę.

Ben odetchnął głośno.

– Byliśmy blisko – rzekł. – Chyba nawet za blisko.

Rila opuściła kamerę.

– Ale mam za to świetny film. Tego właśnie było nam potrzeba.

– Wystarczy tych zdjęć? – zapytałem.

– Myślę, że tak.

– W takim razie wracajmy.

– Wycofujmy się przez jakiś czas – rzekł Ben. – Nie chciałbym jeszcze odwracać się do nich plecami.

Kilkadziesiąt dalszych metrów przebyliśmy tyłem, po czym odwróciliśmy się i poszliśmy w stronę obozu.

Towarzyszył nam przybierający na sile szczebiot, oznaczający, że stado spokojnie podjęło wypas. Wszystko wróciło do normy. Natarczywi intruzi zostali odegnani i triceratopsy mogły znów poświęcić się skubaniu trawy.

– Skąd wiedziałeś, że możemy zbliżyć się do nich w ten właśnie sposób? – zapytałem Bena. – Czyżbyś był pewien zachowania się dinozaurów?

– Skądże. Podejmowałem ryzyko. Skalkulowałem, że powinny reagować podobnie jak zwierzęta z naszych czasów.

– Ale w naszych czasach nie podszedłbyś w ten sposób stada łośi czy kozic.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Prawdopodobnie w ogóle nie dałbyś rady aż tak zbliżyć się do nich, ale te zwierzęta nas znają i dlatego nie pozwoliłyby nam się zbliżyć. W dawnych czasach, kiedy nie musiały się jeszcze obawiać ludzi, mógłbyś podejść dowolne stado. Pierwsi łowcy kłów w Afryce w ten sposób zbliżali się do słoni. Pierwotnie na zachodzie Ameryki, nim zaczęto masowo strzelać z ukrycia, ludzie podkradali się do stad bizonów. Myśliwi wiedzieli o istnieniu niewidzialnej linii, której nie wolno im było przekroczyć. Większość wytrawnych łowców potrafiła bezbłędnie ocenić położenie tej granicy.

– A my teraz przekroczyliśmy granicę?

Ben pokręcił głową.

– Sądzę, że nie. Zbliżyliśmy się do niej, zwierzęta dały nam to odczuć. Gdybyśmy ją przekroczyli, rzuciłyby się na nas.

Rila syknęła ostrzegawczo. Stanęliśmy w miejscu.

– Szczebiot – powiedziała. – Przestały szczebiotać.

Obróciliśmy się równocześnie i w jednej chwili spostrzeżliśmy powód umilknięcia zwierząt.

Jakieś czterysta metrów od nas w dół zbocza w kierunku stada posuwał się potwór, na widok którego instynktownie wstrzymałem oddech – stary rex we własnej osobie. Nie było mowy o pomyłce. Różnił się co prawda od wizerunku stworzonego przez dwudziestowiecznych rysowników, ale różnice były na tyle nieznaczne, że nie można go było pomylić.

Żałośnie skręcone, nadzwyczaj krótkie przednie łapy przyciskał do piersi. Olbrzymie muskularne tylne nogi, zakończone szerokimi, szponiastymi stopami, które potwór stawiał z niesłychaną regularnością, dosłownie połykając przestrzeń, nadawały tej krwiożerczej bestii charakter rozpędzonego buldożera. Autentyczne przerażenie wzbudzał wygląd jego łba. Zawieszony około sześciu metrów nad ziemią, składał się głównie ze szczęk, w których połyskiwały w ukośnych promieniach słońca piętnastocentymetrowej długości zębiska. Pod dolną szczęką dyndało obszerne wole, którego nie mógł odtworzyć żaden rysownik, a okrywająca je skóra mieniła się wspaniałą gamą kolorów. W promieniach wschodzącego słońca zdawała się mienić wszystkimi barwami tęczy: purpurą, żółcią, błękitem, czerwienią i zielenią – nieustannie zmieniającymi się odcieniami, które przywiodły mi na myśl złożony z maleńkich wielobarwnych szkiełek olbrzymi witraż, który podziwiałem kiedyś w jednym z zabytkowych kościołów, chociaż w tej chwili nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie to było.

Zaterkotała kamera w rękach Rili. Uczyniłem dwa kroki do przodu, żeby znaleźć się między nią a galopującym potworem. Kątem oka dostrzegłem, że Ben również wysunął się nieco.

– Tyranozaur – przemówiła Rila sama do siebie pełnym nabożnej czci szeptem. – Prawdziwy, najprawdziwszy, cudowny tyranozaur.

Stojące w głębi doliny triceratopsy przestały skubać trawę. Na czoło stada wysunął się szereg olbrzymich samców. Stały niemal jeden przy drugim, zwrócone ku nadbiegającemu drapieżnikowi, tworząc istne ogrodzenie z połyskujących kostnych kołnierzy i nastawionych rogów.

Tyranozaur zbiegał ukosem do tej tyraliery, zbliżając się jednocześnie do nas – dzieliło nas już teraz mniej niż czterysta metrów. Zatrzymał się w końcu i zaczął rozglądać niepewnie. Zrozumiał widocznie, że wydobycie któregoś triceratopsa ze stada nie będzie łatwym zadaniem. Mimo że stojące w pierwszej linii samce nie były nawet w połowie tak wysokie jak on, to jednak mogły rozpruć mu brzuszysko rogami. Nawet gdyby zdołał uśmiercić jednego czy dwóch obrońców swymi potężnymi szczękami, z pewnością nie zdołałby przedrzeć się do pozostałych zwierząt.

Stał zakotwiczony mocno na olbrzymich tylnych nogach. Przesuwał powoli ogonem w lewo i prawo, dosłownie ogałając ziemię. Rozglądał się na boki, jak gdyby szukał dogodnej pozycji do ataku.

W tej samej chwili musiał zauważyć nas. Obrócił się na jednej nodze, silnie odepchnąwszy się drugą łapą od ziemi, i popędził prosto na nas, z każdym krokiem przybliżając się o cztery metry. Błyskawicznie uniosłem sztucer do ramienia i nawet mnie samego zaskoczyło, że potrafię wycelować bez drżenia ręki. Widocznie gdy stajemy przed koniecznością działania, okazuje się, że potrafimy zrobić to lepiej, niż przypuszczaliśmy. Najpierw uchwyciłem w celowniku środek korpusu między karłowatymi przednimi łapami, a potem opuściłem nieco lufę, mierząc tam, gdzie według mnie powinno znajdować się serce. Sztucer huknął mnie w ramię, ale prawie nie słyszałem odgłosu strzału. Palec automatycznie zsunął się z pierwszego spustu na drugi. Nie musiałem jednak strzelać. W oddali tyranozaur zachwiał się i zaczął walić do tyłu. Kątem oka dostrzegłem, że z lufy sztucera Bena również unosi się smużka dymu. Zrozumiałem, że obaj

wypaliliśmy równocześnie, a dwa ciężkie pociski stanowiły więcej, niż gigantyczny dinozaur był w stanie wytrzymać.

– Uwaga! – krzyknęła Rila i niemal w tej samej chwili usłyszałem głośny trzask gdzieś z lewej strony.

Odwróciłem się błyskawicznie i ujrzałem drugiego tyranozaura szarżującego prosto na nas. Był zdecydowanie za blisko, by spokojnie wycelować do niego, w dodatku pędził ogromnymi susami. Rozległ się huk sztucera. Bestię zatrzymało na moment, rzuciło nią trochę w bok, lecz zaraz pognała dalej. Teraz wszystko zależało ode mnie. Ben nie mógł już przeładować, a ja miałem tylko jeden pocisk w lufie. Łeb tyranozaura zaczął chylić się w dół, olbrzymie szczęki rozwarły się niczym wrota – nie było szans na oddanie precyzyjnego strzału. Sam nie wiem, jak tego dokonałem. Nie miałem nawet czasu pomyśleć. Jestem pewien, że zwyciężył refleks, zadziałałem instynktownie, ratując życie. Skierowałem lufę prosto w rozwartą paszczę i nacisnąłem spust. Zdawało mi się, że wszystko dokoła eksplodowało – łeb dinozaura rozprysnął się, a olbrzymie cielsko z hukiem runęło na bok. Łoskot upadku ogłuszył mnie. Wyraźnie odczułem pod stopami wibracje, kiedy ośmiotonowa góra mięsa zwała się na ziemię nie dalej niż dziesięć metrów ode mnie.

Ben, który szczupakiem rzucił się w bok, żeby uniknąć zmiżdżenia przez padające cielsko, szybko skoczył na równe nogi i załadował nowe naboje do sztucera. Za moimi plecami rozbrzmiewał terkot kamery.

– No cóż, wiemy przynajmniej coś pewnego – oznajmił Ben. – Te bydlaki polowały parami.

Drugi dinozaur był martwy, pocisk oderwał mu łeb od reszty ciała. Leżał na boku, wstrząsany konwulsjami, jedna z uzbrojonych w szpony łap wciąż jeszcze nerwowo biła powietrze. Pierwszy zaś dinozaur usiłował stanąć na nogi, ale każda próba nieodmiennie kończyła się zwaleniem na ziemię. Ben

poszedł w dół zbocza w jego kierunku i z bliskiej odległości wypalił mu w pierś. Kula z głośnym plaśnięciem wbiła się w górę mięsa.

Rila także ruszyła wolno w dół, bez przerwy filmując to jedną, to znów drugą martwą bestię pod różnymi kątami. W końcu wyłączyła i opuściła kamerę. Złamałem sztucer, załadowałem do komór nowe naboje i wcisnąłem broń pod pachę.

Ben zbliżył się do mnie.

– Nie muszę ci chyba mówić, że jestem nieco wstrząśnięty – oświadczył.
– To drugie bydlę omal nie wdeptało mnie w ziemię. Gdybyś nie strzelił mu w łeb i nie rozwalił na kawałki...

– To była jedyna rzecz, jaką mogłem zrobić – odparłem. Nie chciałem, żeby zabrzmiało to jak przechwałki, ale nie miałem też zamiaru wyjaśniać, że to jakiś szósty zmysł, pragnienie ocalenia życia przejęło nade mną całkowitą kontrolę, że to nie ja odstrzeliłem łeb dinozaurowi, lecz instynkt, który pokierował moimi odruchami. Z trudem przychodziło mi nawet przyznanie się do tego przed samym sobą.

– Ale tamten jest jeszcze cały, z łbem – kontynuował Ben. – Powinniśmy go odciąć i zabrać ze sobą jako dowód.

– Mamy już wystarczające dowody – odparłem. – Rila się o nie postarała.

– Zgoda – przyznał Ben. – Niemniej to wstyd. Gdybyśmy zadali sobie trud odcięcia łba, to po spreparowaniu można by za niego dostać kupę forsy.

– Prawdopodobnie waży dużo ponad sto kilogramów – stwierdziłem.

– Ale my dwaj...

– Nie – przerwałem mu. – Przed nami dobrych kilka kilometrów drogi do wejścia tunelu. Powinniśmy jak najprędzej zabierać się stąd.

– Nie widzę powodu.

Wskazałem ręką dwa zabite dinozaury.

– Piętnaście ton świeżego mięsa. Zaraz zaczną tu ściągać wszystkie ścierwojady, wyczuwające zapach krwi z dużej odległości. Do zmroku oba szkielety zostaną pieczołowicie oczyszczone z mięsa. Chciałbym być już daleko stąd, kiedy zaczniesz się uczać.

– Moglibyśmy wykonać kilka następnych znakomitych zdjęć.

– Wystarczy ci już filmów? – zwróciłem się do Rili. – Jesteś zadowolona?

Skinęła głową.

– Nie opuściłam ani jednej chwili, kiedy wy rozprawialiście się z tymi dwoma potworami. Jeśli to nie przekona ludzi z Safari Inc., to nic ich już nie przekona.

– W porządku – oznajmiłem tonem mającym sugerować, kto tu właściwie rozkazuje. – Zbieramy się do domu.

– Tchórzysz – rzucił Ben.

– Owszem, tchórzę. Zdobyliśmy to, co było celem naszej wyprawy, i teraz wycofamy się, póki mamy możliwość.

– Chyba naprawdę powinniśmy wracać – dodała Rila. – Na długo wystarczy mi mocnych wrażeń.

ROZDZIAŁ 17

Wróciliśmy z kredy w poniedziałek, wczesnym rankiem. Przez cztery dni do piątku wydarzyło się bardzo wiele. Rozpoczęto prace przy wznoszeniu ogrodzenia wokół czterdziestoakrowego poletka – wbetonowano wysokie stalowe słupki, na których aktualnie rozciągano drucianą siatkę. Wzdłuż całego parkanu, po wewnętrznej stronie, wykopane były rowy na kable elektryczne do zasilania reflektorów. Gotowe były też murowane fundamenty pod budynek administracyjny i gromadzono właśnie drewno na jego budowę. Posuwały się prace przy motelu Bena. Rila wyjechała poprzedniego dnia do Nowego Jorku, zabierając ze sobą film. Mecenas McCallahan, adwokat z Waszyngtonu, także udał się do Nowego Jorku, gdzie wraz z pracownikami Safari Inc. miał zapoznać się z wykonanymi zdjęciami. Film miał zostać obrobiony w laboratoriach Safari Inc., by jak najmniej osób z zewnątrz dowiedziało się o jego istnieniu.

Zwijałem się jak w ukropie, doglądając wszystkiego; bardzo pomagał mi Ben. To jemu zawdzięczałem nawiązanie wielu niezbędnych kontaktów, załatwienie mnóstwa spraw, a także zebranie odpowiednich ludzi do realizacji naszego projektu. Większość z nich stanowili robotnicy fizyczni, chłopcy z okolicznych farm, ale znalazł także kilku fachowców. Jak na razie wszystko układało się po naszej myśli.

– Najważniejszy jest początek – mówił Ben. – Trzeba jak najszybciej ukończyć ogrodzenie i postawić budynek administracyjny, zanim ludzie zaczną okazywać zbyt dużą ciekawość. Kiedy stanie parkan, wtedy będą

mogli zasypywać nas swoimi pytaniami, a my z tej strony zagramy im po prostu na nosie.

– Przecież musisz pilnować swoich własnych spraw, Ben – powiedziałem. – Rozpocząłeś budowę motelu, poza tym powinieneś nadzorować pracę banku. Nie masz żadnego interesu w tym, co się tu dzieje.

– Macie zaciągnąć w banku sporą pożyczkę, więc pośrednio i ja zyskam na procencie od tej sumy. Poza tym dzięki wam mogłem rozkręcić budowę motelu, a także podjąć wiele innych działań. Na przykład wykupiłem w sąsiedztwie każdy akr ziemi wystawionej na sprzedaż. Nie dalej jak wczoraj kupiłem całą farmę graniczącą z twoją posiadłością od wschodu. Stary Jake Kolb zażądał sumy znacznie przekraczającej rzeczywistą wartość terenów. Myślał, że nieźle mnie naciągnie, kiedy obstawałem przy kupnie farmy. Tyle że on nie ma pojęcia, iż tereny te będą warte dziesięciokrotnie więcej, gdy wy rozkręcicie już swój interes. Wreszcie zabraliście mnie na tę wyprawę myśliwską na dinozaury. Nie przepuściłbym czegoś takiego za żadne skarby, gotów byłbym wam zapłacić, żebyście mnie zabrali. Sądzę także, że jeśli dobrze się wam przysłużę, może dacie mi jakiś mały procencik od waszych zysków.

– Najpierw musimy wszystko rozkręcić – powiedziałem. – Całe to przedsięwzięcie może jeszcze spalić na panewce.

– Niby jak, do diabła? Nie widzę możliwości. To największa sprawa, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia. Wszyscy, cały świat zwariuje na tym punkcie. Klienci będą się pchali drzwiami i oknami. Sam nie podołasz wszystkiemu, musisz tylko czuwać nad całością. Gdy będziesz potrzebował pomocy, zadzwoń do mnie. Mówię ci, chłopie, we dwóch damy sobie radę ze wszystkim.

Siedziałem w kuchni i rozmawiałem z Hiramem. Popijaliśmy piwo. Po raz pierwszy od chwili, kiedy zaczęła się ta karuzela, znalazłem trochę czasu, żeby spokojnie usiąść. Raczyłem się piwem, starając się zapomnieć o wyrzutach sumienia z powodu beczynności. Przez cały czas myślałem intensywnie, czy aby na pewno nie mam w tej chwili nic pilnego do zrobienia.

– Kociopysk jest bardzo podniecony tym, co się dzieje – rzekł Hiram. – Pytał mnie o ogrodzenie. Próbowałem mu wyjaśnić. Powiedziałem, że kiedy prace dobiegną końca, będzie mógł otwierać wiele tuneli czasowych. Bardzo się ucieszył. Niecierpliwie czeka na chwilę, kiedy zacznie działać.

– Przecież może otwierać przejścia dla siebie, kiedy tylko zechce. Zawsze mógł to robić, chyba nic mu w tym nie przeszkadzało.

– Sądzę, panie Steele, że on nie umie otwierać przejść tylko dla zabawy. One muszą zostać wykorzystane, inaczej nic z tego nie będzie. Otwierał wprawdzie tunele dla Bowsera, ale pewnie niewielką miał z tego satysfakcję.

– Tak, chyba masz rację. Niemniej zapewnił Bowserowi mnóstwo uciechy, a ten z jednej z takich wypraw przydźwigał do domu kość dinozaura.

Poszedłem do lodówki po kolejną puszkę piwa.

– Chcesz jeszcze? – zapytałem Hiram.

– Nie, dziękuję, panie Steele. Nie przepadam za piwem. Piję tylko dla towarzystwa.

– Prosiłem, żebyś zapytał Kociopyska, jak duże mogą być otwierane przez niego przejścia. Przypuszczam, że pracownicy Safari chcieliby korzystać z jakichś pojazdów.

– On twierdzi, że to żaden problem. Mówi, że dziury w czasie są wystarczająco duże, by przepuścić dowolny obiekt.

– Czy zamknął tunel po nas? Nie chciałbym, żeby nagle pojawił się tu jakiś dinozaur.

– Zamknął – odparł Hiram. – Zaraz po waszym powrocie. Cały czas jest zamknięty.

– To dobrze. – Pociągnąłem spory łyk piwa. Cieszyłem się, że znalazłem trochę wolnego czasu.

Na schodkach zadudniły czyjeś kroki i rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – zawołałem.

Był to Herb Livingston.

– Przysuń sobie krzesło – powiedziałem. – Zaraz przyniosę ci puszkę piwa.

Hiram wstał.

– Wezmę Bowsera i rozejrzemy się po terenie.

– Dobra, ale nie odchodźcie daleko. Może będę was potrzebował.

Bowser dźwignął się z posłania i poszedł za Hiramem. Herb otworzył puszkę i wyrzucił kapsel do kosza.

– Unikasz mnie, Asa – zagadnął.

– Nie tylko ciebie. Staram się nikomu nie włączyć w oczy.

– Coś tu się dzieje – stwierdził – a ja chciałbym wiedzieć, co szykujecie. Może Willow Bend Record nie jest najbardziej poczytną gazetą na świecie, ale to jedyny tutejszy tygodnik, w którym od piętnastu lat opisuję ludziom wszystkie miejscowe wydarzenia.

– Zaczekaj, Herb – przerwałem mu. – O niczym ci nie powiem, choćbyś wrzeszczał na mnie czy walił pięściami w stół. Nie dowiesz się niczego.

– Dlaczego? – zdziwił się. – Byliśmy kumplami, znamy się od lat. Ty, ja, Ben, Larry i inni tworzyliśmy zgraną paczkę. Ben wie o wszystkim, jego wprowadziłeś w sprawę.

– Spytaj zatem Bena.

– On też mi nic nie powie. Stwierdził, że wszelkie informacje muszą wyjść od ciebie. Oznajmił tylko, kiedy go zagadnąłem o stawiane ogrodzenie, że pomaga komuś przy zakładaniu dużej hodowli norek. Ale ja wiem, że nie o norki tu idzie. Szykuje się coś innego. Ktoś znowu puścił plotkę, że znalazłeś w zapadlisku szczątki rozbitego statku kosmicznego. Katastrofa podobno miała miejsce tysiące lat temu. Czy o to chodzi?

– Łowisz ryby w mętnej wodzie i niewiele będziesz miał z tego pożytku – stwierdziłem. – To fakt, że rozpocząłem realizację pewnego przedsięwzięcia, ale w obecnej chwili poinformowanie o tym ludzi rozpętałoby istne piekło. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, powiem ci o wszystkim.

– To znaczy wtedy, kiedy będziesz chciał zrobić sobie reklamę?

– Owszem, trafiłeś w sedno.

– Posłuchaj, Asa. Nie chciałbym, żeby dziennikarze z wielkomijskich redakcji ubiegli mnie i opisali twoje przedsięwzięcie, zanim ja dowiem się o czymkolwiek. Nie chciałbym zostać wystrychnięty na dudka na własnym podwórku.

– Do cholery, przez cały czas zostajesz w tyle. Omijają cię wszystkie ważniejsze nowiny. Czyżbyś spodziewał się czegoś innego, drukując gazetę raz w tygodniu? Ważne wydarzenia nie trafiają się regularnie co tydzień. Twoja siła nie polega na wyławianiu sensacji, gdyż te są zbyt dużą rzadkością. Ludzie czytują Record właśnie dlatego, że opisujesz ich życie codzienne, drobne wydarzenia, mające miejsce na ich oczach. Postaw się w mojej sytuacji. Gdyby udało mi się doprowadzić do końca wszystkie moje zamierzenia, o Willow Bend będzie głośno. Skorzystaliby na tym wszyscy. Opłacalny stałby się każdy interes w mieście, twoja gazeta także zarobiłaby na reklamach. Wszystkim powodziłoby się znacznie lepiej. Czy chciałbyś

zepsuć tę moją, a pośrednio także swoją szansę, publikując szczegóły, jeśli ich wyjawienie mogłoby doprowadzić do upadku projektu?

– Ale ja muszę coś napisać. Nie mogę tak po prostu pominąć sprawy milczeniem.

– W porządku, a więc rób swoje. Napisz o budowie ogrodzenia, o motelu Bena, o wszystkim, co widziałeś. Jeśli chcesz, możesz spekulować na temat tego, co tu się szykuje. Nie będę ci przeszkadzał. Nawet nie mam na to ochoty. Masz pełne prawo opisać to wszystko. Rozmawiałeś ze mną i niczego się nie dowiedziałeś. Przykro mi, Herb, nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

– Przypuszczam, że masz ważne powody, żeby postępować w ten sposób. Ja jednak musiałem cię zapytać, musiałem cię trochę przycisnąć. Rozumiesz mnie, prawda?

– Jasne, że rozumiem. Co powiesz na jeszcze jedno piwo?

– Nie, dziękuję. Nie mam czasu. Zamykam dziś numer, a muszę jeszcze napisać ten artykuł.

Kiedy Herb wyszedł, siedziałem przez jakiś czas i zrobiło mi się przykro, że musiałem go potraktować w taki sposób. Wszak nie mogłem mu nic powiedzieć. Wiedziałem, co czuł. Tak samo zachowałby się każdy dziennikarz. A najgorsze, że z pewnością zostanie w tyle. Zanim przystąpi do składania kolejnego numeru w przyszłym tygodniu, o całej sprawie będzie już prawdopodobnie głośno. Stwierdziłem w duchu, że nic na to nie mogę poradzić.

Wstałem, wyrzuciłem pustą puszkę do kosza i wyszedłem na dwór. Było już późne popołudnie, ale robotnicy wciąż pracowali. Uradowało mnie, że tak szybko posuwa się budowa ogrodzenia. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Kociopyska. Wcale nie byłbym zaskoczony, gdybym dostrzegł go gapiącego się na mnie spośród gęstwiny którejs z jabłonek. W

ostatnich dniach zjawiał się tu coraz częściej. Zamiast unikać nas, jak to miał w zwyczaju, sprawiał wrażenie, jakby szukał naszego towarzystwa. Nigdzie go jednak nie dostrzegłem, nie było też Hirama z Bowserem. Poszedłem wzdłuż linii parkanu aż do miejsca, gdzie pracowali robotnicy. Postąłem tam przez chwilę, przyglądając się im, a potem wróciłem do domu.

Przed wejściem ujrzałem zaparkowany samochód policyjny, a na krześle na werandzie siedział umundurowany mężczyzna. Kiedy zbliżyłem się, wstał i wyciągnął do mnie rękę.

– Szeryf Amos Redman – przedstawił się. – A pan musi być Asą Steele’em. Ben powiedział mi, że powinienem pana tu zastać.

– Bardzo mi miło – odparłem. – Co pana do mnie sprowadza?

– Ben powiedział mi kilka dni temu, że być może będzie pan chciał zatrudnić strażników do pilnowania posiadłości. Czy może mnie pan wtajemniczyć, co tu się dzieje?

– Mogę powiedzieć tylko tyle, szeryfie, że jest to legalne.

Zachichotał głupawo, jakby usłyszał kiepski dowcip.

– Ani przez chwilę nie podejrzewałem, że robi pan coś niezgodnego z prawem – oświadczył. – Zdaje się, że pochodzi pan z Willow Bend. Kiedy pan wrócił w te strony?

– Niecały rok temu.

– I chyba ma pan zamiar tu osiaść.

– Raczej tak.

– A co się tyczy strażników – rzekł – rozmawiałem w stowarzyszeniu policjantów w Minneapolis. Chyba będą mogli panu pomóc. Grupa ludzi straciła ostatnio pracę z powodu cięć budżetowych, powinni być zainteresowani pańską propozycją.

– Cieszę się – odparłem. – Wolelibyśmy ludzi wykwalifikowanych.

- Spodziewa się pan jakichś kłopotów? – zapytał szeryf.
- Kłopotów? Ach, ma pan na myśli turystów?
- Tak, właśnie. Dotarły do mnie dziwne plotki, między innymi o rozbitym statku kosmicznym. – Spojrzał na mnie uważnie, jakby chciał zbadać moją reakcję.
- Owszem, szeryfie – odparłem. – Sądzę, że znalazłem szczątki statku kosmicznego. Tam, przy brzegu lasu, pod grubą warstwą osadów.
- Niech mnie szlag – mruknął. – Jeśli to prawda, to mogą się tu zjawić dumy ciekawskich. Teraz rozumiem, po co panu to ogrodzenie. Przekażę swoim zastępcom, żeby zaglądali tu od czasu do czasu i sprawdzali, czy wszystko w porządku. Gdyby potrzebował pan pomocy, wie pan, jak mnie znaleźć.
- Dziękuję. Mam nadzieję, że rozumie pan także, dlaczego nie chciałym na tym etapie, by rozeszła się wiadomość o statku kosmicznym.
- Oczywiście – rzekł napuszonym tonem. – To zostanie między nami. Gdy doszedłem do drzwi, usłyszałem dzwonek telefonu. To Rila.
- Gdzie byłeś? – zapytała. – Nikt nie podnosił słuchawki.
- Wyszedłem na chwilę. Nie spodziewałem się tak szybko wiadomości od ciebie. Czy wszystko w porządku?
- Nawet lepiej, niż się spodziewałam, Asa. Dziś po południu odbyła się projekcja filmu. Wyszedł wspaniale. Zwłaszcza ta część, kiedy ty i Ben rozprawiacie się z dwoma tyranozaurami. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach, byli wstrząśnięci. Ten szczebiot triceratopsów brzmi niesamowicie, tak pierwotnie... Boże, sama nie wiem... jak nie z tego świata. Aż mrówki chodzą człowiekowi po krzyżu. Ludzie od Safari się niecierpliwiają, ale nie będziemy z nimi rozmawiać.
- Nie będziemy rozmawiać?! Na miłość boską, Rila, przecież właśnie o to chodziło. Tylko po to nadstawialiśmy karku...

– Mecenas wpadł na zwariowany pomysł. Zamknął mi usta, twierdząc, że będziemy rozmawiać później. Jutro wracamy oboje.

– Oboje?

– Mecenas i ja. On chce porozmawiać z tobą. Odleciał właśnie z powrotem do Waszyngtonu, ale rano wróci do Nowego Jorku i zabierze mnie.

– Zabierze?

– Tak, polecimy jego prywatnym samolotem. Zdaje się, że nie mówiłam ci o tym.

– Owszem, nie wspomniałaś nawet słowem.

– Wylądujemy w Lancaster. To mały samolot, tamtejsze lotnisko jest wystarczające. Zawiadomię cię jeszcze, o której godzinie przylecimy.

– Wyjadę po was.

– Prawdopodobnie koło południa, ale dam ci jeszcze znać.

ROZDZIAŁ 18

Mecenas McCallahan okazał się mężczyzną nieco młodszym i silniej zbudowanym, niż go sobie wyobrażałem. To dziwne, jak człowiek rysuje w myślach czyjąś postać, zanim pozna osobę. Przypuszczam, że wrażenie wywarł w tym przypadku jego tytuł; sądziłem, że będzie człowiekiem niskim i ruchliwym, o krągłej twarzy i siwych włosach, uprzejmym i dystygowanym w zachowaniu. W rzeczywistości był silnie zbudowany, już nie pierwszej młodości, lecz zdecydowanie młodszy od wizerunku z moich wyobrażeń. Miał siwiejące włosy barwy stalowoszarej; twarz o ostrych rysach przywodziła na myśl maskę wyciosaną tępą siekierą z pniaka sękatego drzewa. Jego dłonie przypominały młoty. Instyktownie od razu go polubiłem.

– Jak idzie budowa ogrodzenia? – zapytał.

– Szybko. Ludzie będą pracować nawet w sobotę i niedzielę, bez dnia odpoczynku.

– Za podwójną stawkę, jak sądzę?

– Tego nie wiem. Tymi sprawami zajmuje się Ben.

– Ten Ben to zaufany człowiek?

– To mój stary przyjaciel – odparłem. – Znamy się od wielu lat.

– Jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, obaj z Benem byliście wspaniali w tej akcji z tyranozaurami. Trzeba mieć nerwy ze stali, żeby stawić czoło takim potworom. Obawiam się, że ja nie wytrzymałbym.

– Mieliśmy dobrą broń, a poza tym nie było dokąd uciekać.

Podeszliśmy do samochodu, Rila usiadła z przodu, obok mnie. Położyła obie dłonie na moim przedramieniu i ścisnęła mocno.

– Z wzajemnością – odparłem.

– Zapomniałam ci powiedzieć o filmie – rzekła. – Zresztą nie zapytałeś. Jest bezpieczny w bankowym sejfie, w Nowym Jorku.

– Kiedy tylko cała sprawa zostanie wyjawiona – wtrącił mecenas – znajdą się ludzie, którzy zapłacą za ten film, i to zapłacą dobrze.

– Nie jestem pewien – odparłem – czy będziemy chcieli go sprzedać.

– Sprzedamy go – stwierdziła Rila. – Oczywiście za odpowiednią cenę.

Wyjechałem tyłem z parkingu. Stało tu zaledwie kilka samochodów. Awionetka McCallahana była druga na płycie lotniska, wiedziałem jednak, że w rozwalającym się hangarze po przeciwnej stronie pasa startowego znajduje się jeszcze kilka innych samolotów, należących do miejscowej elity.

Po kilku kilometrach dojechaliśmy do granic miasteczka. Znajdowało się tu niewielkie centrum handlowe – supersam, sklep z narzędziami, niewielki dom handlowy, bank spółdzielczy, salon odzieżowy i kilka mniejszych sklepów.

– Proszę tu stanąć i zaparkować – odezwał się mecenas. – Z dala od innych wozów.

– Oczywiście, jeśli pan sobie życzy – odparłem. – Tylko po co?

– Bardzo proszę to zrobić.

Zwolniłem i skręciłem na pusty plac przy końcu parkingu. Nie było tu innych samochodów. Wyłączyłem silnik i odwróciłem się na siedzeniu.

– To w celu konspiracji – wyjaśnił McCallahan. – Chciałem jak najlepiej zabezpieczyć się przed możliwością podsłuchu.

– Proszę więc mówić.

Spojrzałem na Rilę. Była nie mniej zaskoczona niż ja.

Mecenas rozparł się wygodnie na siedzeniu.

– Spędziłem kilka bezsennych nocy na rozpatrywaniu waszej sytuacji – rzekł – i doszedłem do wniosku, że ten plan ma kilka słabych punktów. Oczywiście, na ile zostałem wprowadzony w sprawę, w całym projekcie nie ma nic nielegalnego. Jest on jedyny w swoim rodzaju, ale całkowicie zgodny z prawem. Najbardziej niepokoi mnie jednak to, że władze skarbowe mogą się wam nieźle dobrać do skóry. Jeśli sprawy ułożą się tak dobrze, jak przypuszczam, zarobicie na tym kupę forsy. W takim wypadku zawsze stoję na stanowisku, że należy uczynić wszystko, by osiągnąć największy możliwy zysk – rzecz jasna, w granicach prawa.

– Mecenasie – wtrąciła Rila. – Niezupełnie rozumiem...

– Czy macie jakiegokolwiek pojęcie, ile może ściągnąć urząd skarbowy od zarobionego miliona dolarów?

– Chyba tak – odparłem – chociaż jest to raczej dość mętne pojęcie.

– Problem w tym, że nie będziecie mieli możliwości takiego ustawienia interesów, jak robią to wszystkie większe korporacje, które stosują najróżniejsze wybiegi i osłony podatkowe. Moglibyśmy zarejestrować was jako korporację, ale to trwałoby dość długo, a ponadto pociągnęło za sobą pewne niedogodne konsekwencje. Ale jest jedno wyjście. Sądzę, że idealne, i chciałbym usłyszeć, co o nim sądzicie. Cały problem przestałby istnieć, gdybyście nie prowadzili swej działalności na terenie Stanów Zjednoczonych. Podatek dochodowy nie obejmuje przedsiębiorców zagranicznych.

– Ale my musimy zostać w Willow Bend – powiedziała Rila. – Tylko tam możemy prowadzić działalność.

– Powoli – rzucił McCallahan. – Przyjrzyjmy się bliżej sytuacji. Załóżmy, że wykorzystacie swe możliwości przenoszenia się w czasie do założenia siedziby w przeszłości, odległej, powiedzmy, o tysiąc czy o

milion lat. Sądzę, że dobra byłaby każda epoka przed powstaniem Stanów Zjednoczonych, a jeszcze lepiej, gdyby były to czasy poprzedzające lądowanie Europejczyków w Ameryce. Tak samo nadawałaby się jakaś bezludna wyspa, do której nie rości pretensji żaden z krajów świata, nie wiem jednak, gdzie takiej szukać i czy w ogóle istnieją jeszcze podobne wyspy. W tym wypadku, rzecz jasna, byłibyście daleko od Willow Bend, gdybyście natomiast założyli siedzibę w przeszłości, od miasteczka dzieliłby was zaledwie jeden krok.

– Sam nie wiem – odparłem. – Przecież nadal mieszkalibyśmy na obszarze przyszłych Stanów Zjednoczonych.

– To prawda – przyznał Mecenaz – i na tej podstawie władze skarbowe mogłyby rościć do was pretensje. Lecz w przypadku oficjalnej skargi chyba udałoby się nam bez trudu udowodnić, że suwerenność narodowa nie sięga w przeszłość.

– Ale my nie możemy prowadzić naszej działalności gdzie indziej niż na tej farmie w Willow Bend – zaproponowała Rila.

– Chodzi jedynie o to, żebyście mieszkali gdzie indziej, żebyście od strony formalnej nie prowadzili żadnych interesów ani nie świadczyli żadnych usług w Willow Bend. Czy moglibyście zabrać Hiramą i to kociopyskie stworzenie ze sobą w przeszłość?

– Nie wiem – odparłem.

– Mimo wszystko farma w Willow Bend musiałaby tutaj zostać – zauważyła Rila.

– Tylko jako wasza amerykańska agencja. Trzeba by znaleźć kogoś na przedstawiciela firmy. Myślałem o waszym przyjacielu, Benie. Przejście w czasie, tunel czy cokolwiek to jest, stanowiłoby bezpośrednie połączenie z waszą siedzibą, gdzie prowadzilibyście interesy i świadczyli usługi. Przejście w czasie byłoby zarazem narzędziem usług wykonywanych w

też siedzibie. Agentowi płacilibyście prowizję, powiedzmy jeden procent zysku od zamówień, jakie zbierałby dla was. Sądzę, że to najlepsze rozwiązanie. W efekcie byłby on przedstawicielem firmy zagranicznej. Chyba jeszcze lepiej byłoby sprzedać mu farmę. Tym sposobem urząd skarbowy nie mógłby zająć posiadłości tytułem nie zapłaconych podatków. Oczywiście Ben musiałby płacić wszystkie podatki, żeby uniknąć ryzyka utraty farmy, stanowiącej zarazem wasz jedyny kontakt ze światem. Jednocześnie związałibyście go bardziej ze sobą, powierzając niezwykle odpowiedzialne zadanie.

– A gdyby mimo wszystko urząd skarbowy chciał zająć farmę? – zapytałem.

– Tego nie można wykluczyć. Nie sądzą jednak, by się do tego posunęli. Zwłaszcza wtedy, gdyby Ben zapłacił wam uczciwą cenę za tytuł własności farmy, nim jeszcze rozkręcicie interes. W tym cała rzecz. Jeśli myśli się poważnie o uniknięciu kłopotów z władzami skarbowymi, nie należy robić żadnych interesów na terenie Stanów Zjednoczonych. Właśnie z tego powodu sprzeciwiłem się wczorajszym pertraktacjom z Safari. Jeśli pragną przystąpić do interesu, będą musieli przybyć do waszej siedziby.

– Ale ja rozmawiałam już z nimi wcześniej – wtrąciła Rila. – Poza tym widzieli film.

– Tak, to trochę komplikuje sprawę – stwierdził McCallahan. – Myślę, że jednak poradzę sobie z nimi. Nie dysponują żadnymi dowodami, że doszła do skutku jakakolwiek umowa. A co się tyczy wczorajszej projekcji, to powinno wystarczyć oświadczenie, że chcemy przesunąć termin negocjacji.

– Przecież będziemy musieli spisywać umowy.

– Będą to umowy spisywane i realizowane w Nowym Jorku, czy też w innych miastach, siedzibach stron zlecających wykonanie usługi; umowy

między instytucjami amerykańskimi a firmą zagraniczną. To rzecz zwyczajna, mieści się w granicach prawa. Z tym nie będzie żadnych problemów. Tyle że musicie mieć adres. Jak sądzicie, gdzie najlepiej byłoby założyć siedzibę?

– W którejś z ostatnich epok między zlodowaceniami – podsunąłem. – Chyba w sangamonie. Mielibyśmy tam dobry klimat i warunki zbliżone do obecnych.

– A zagrożenia?

– Owszem. Mastodonty, tygrysy szablozębne, niedźwiedzie, wilki. Sądzę jednak, że poradzilibyśmy sobie z nimi. To brzmi dużo groźniej, niż powinno wyglądać w rzeczywistości.

– Moglibyśmy nazwać nową ojczyznę Mastodonią – dodała Rila.

– Znakomicie – stwierdził McCallahan. – Już sama ta nazwa wskazuje, że adres dotyczyłby innej krainy oraz innego czasu.

– Czy musielibyśmy przebywać tam przez cały czas? – zapytała Rila. – Nie sądzę, żeby mi się to podobało.

– Nie, skądże, chociaż musielibyście spędzać tam tak wiele czasu, żeby można było nazwać tę krainę waszą ojczyzną. Moglibyście często odwiedzać Willow Bend, czy też podróżować do innych miast. Ale wszystkie interesy musielibyście załatwiać w Mastodonii. Przyszło mi nawet do głowy, że moglibyście ogłosić się niepodległym państwem, po czym zwrócić się do Departamentu Stanu, a także do rządów innych państw z wnioskiem o oficjalne uznanie. Mogą powstać jednak pewne problemy, jeśli kraj będzie liczył dwóch czy trzech mieszkańców. Nie jestem nawet pewien, czy przyniosłoby to jakiegokolwiek korzyści. Gdyby jednak okazało się, że uzyskanie oficjalnego uznania państwa jest wskazane, czy moglibyście przenieść w przeszłość niektórych swoich sąsiadów z Willow Bend?

- Możliwe – odparłem. – Trudno powiedzieć.
- Mielibyście czym zachęcić ludzi: ziemia do wzięcia, żadnych podatków, mnóstwo wolnej przestrzeni. Znakomite tereny myśliwskie i łowieckie.
- Mimo wszystko trudno cokolwiek przesądzić.
- No cóż, wrócimy do tej sprawy kiedy indziej.
- A co z pieniędzmi i kontem bankowym? – zapytała Rila. – W jaki sposób mielibyśmy obracać zarabianymi pieniędzmi? Nie możemy chyba otworzyć konta w którymś z amerykańskich banków, gdzie władze skarbowe mogłyby je zablokować.
- To proste – rzekł mecenas. – Otwórzcie konto w Szwajcarii, najlepiej w Zurychu. Klienci będą mogli dokonywać przelewów na bank szwajcarski. Oczywiście, część dochodów będziecie mogli brać w gotówce, chociażby po to, żeby wypłacać prowizje Benowi i mieć pieniądze na bieżące wydatki. A jeśli się zdecydujecie, to powinniście otworzyć konto jak najszybciej, żeby cała sprawa nie stanowiła tak ewidentnego kamuflażu. Jeżeli otworzycie konto, zanim dokonacie pierwszej transakcji związanej z podróżami w czasie, wówczas będziemy mogli wytrącić broń z ręki każdemu, kto oskarżałby was o zatajanie dochodów. Pierwsza wpłata na konto powinna być na tyle wysoka, by nikt nie mógł zarzucić, że jest to jedynie symboliczny depozyt
- Wczoraj sprzedałam swoje udziały w firmie handlu zagranicznego wspólnikowi z Nowego Jorku – oznajmiła Rila. – Jego pierwsza rata, która ma wpłynąć najdalej pojutrze, wynosi sto tysięcy. Chyba nie będziemy musieli nawet czekać na te pieniądze. Mogę wystawić czek na bank Bena, on z pewnością udzieli nam kredytu na sto tysięcy. Co prawda, jesteśmy mu już winni w przybliżeniu taką sumę, sądzę jednak, że robi to dla nas.

– Świetnie – stwierdził McCallahan. – Sto tysięcy to odpowiednia kwota. Nawet teraz, zanim się jeszcze przeniesiecie do Mastodonii, możecie używać tej nazwy jako adresu firmy. Rozumiem zatem, że akceptujecie moje propozycje.

– To wszystko pachnie mi co nieco kręctwem – zauważyłem.

– Oczywiście, w jakimś stopniu jest to kręctwo, lecz całkowicie zgodne z prawem. Możemy spotkać się z wieloma zarzutami, i tak się też pewnie stanie, ale będziemy mieli w ręku niepodważalne argumenty.

– Połowę wszystkich transakcji na świecie mógłbyś nazwać pokrętnymi – wtrąciła Rila.

– Nawet gdyby postawiono nam formalne zarzuty – powiedział mecenas – i zakwestionowano jakieś argumenty, to na pewno sytuacja nie byłaby gorsza od istniejącej, a prawdopodobnie o wiele lepsza. Mielibyśmy wystarczająco duże pole manewru, by iść na pewne ugody. Chociaż osobiście nie godziłbym się na żadne ustępstwa, jedynie stawał w sądzie, by wygrywać sprawy. Omawialiśmy całą sytuację jedynie od strony prawnej, a przecież jako firma zagraniczna odnosilibyście także inne korzyści. Żaden rząd nie narzucałby wam niczego i nie przeszkadzał, nie musielibyście składać żadnych oświadczeń podatkowych ani sprawozdań dochodowych.

– Na podstawie tego wszystkiego mogę stwierdzić, że jest to bardzo wygodne rozwiązanie – oznajmiła Rila. – Jeśli mam być szczerą, już wcześniej zaniepokoiła mnie sprawa podatków.

– Ty się znasz na tym, dla mnie to nowość – rzekłem.

– W takim razie jak najszybciej przenoście się do Mastodonii i zakładajcie swoją siedzibę – stwierdził McCallahan. – Sądzę, że wystarczyłby na przykład barakowóz mieszkalny...

– Zajmę się tym, natomiast ty, Asa, jedź do Zurychu – zwróciła się do mnie Rila. – Zdaje się, że znasz francuski.

- Słabiutko, ale powinienem dać sobie radę. Czy to jednak nie ty...
- Nie znam francuskiego – odparła. – Znam hiszpański i słabo niemiecki, ledwie parę słów. Dlatego chcę, żebyś ty pojechał do Zurychu. Ja zostanę w Willow Bend i będę pilnowała wszystkich spraw.
- Zdaje się, że nie jestem wam na razie potrzebny – stwierdził mecenas.
- W takim razie zostawię was. Dzwońcie, gdyby pojawiły się jakieś pytania. I nie czekajcie na poważny problem, kontaktujcie się ze mną w wypadku najdrobniejszych wątpliwości. Przypuszczam, że chcielibyście otworzyć wspólne konto w Zurychu. Jeśli tak, to pamiętaj, Rila, żeby Asa zabrał z sobą poświadczony notarialnie wzór twojego podpisu. I nie czynicie Bena swoim oficjalnym przedstawicielem, zanim się na dobre nie urządzą w Mastodonii.
- Mam jedno pytanie – rzekłem. – Czy nasz rząd w sytuacji ekstremalnej może zabronić nam swobodnego podróżowania między Mastodonią i Willow Bend lub nawet wymusić zamknięcie tunelu czasowego wiodącego do Mastodonii?
- Sądzę, że nie jest to wykluczone – odparł mecenas – ale na pewno stanowczo sprzeciwiłibyśmy się temu. W ostateczności mogliśmy nawet odwołać się do Narodów Zjednoczonych. Nie przypuszczam, żeby posunęli się aż do tego.
- Myślę, że chyba decyzja już zapadła – powiedziałem. – Szokuje mnie, że w tak krótkim czasie zaczęliśmy rozpatrywać aż tak skrajne ewentualności.
- Przecież ten plan wydaje się bardzo dobry – stwierdziła Rila. – Nie mamy nic przeciwko tak konkretnym i rzeczowym propozycjom.
- W takim razie proszę mnie zawieźć z powrotem do samolotu – rzekł McCallahan.

– To znaczy, że nawet nie chce pan zobaczyć naszej farmy? – zapytała Rila. – Myślałam, że chciałby się pan spotkać z Benem.

– Kiedy indziej. Powiedziałem wam już wszystko, co miałem do powiedzenia, z dala od postronnych uszu. Mamy przed sobą bardzo pracowite dni, nie wolno nam marnować czasu. – Z wyraźnym ukontentowaniem skrzyżował ręce na piersi. – Zapowiada się o wiele więcej radosnych chwil – dodał – niż doświadczyłem od lat.

ROZDZIAŁ 19

Kiedy wracałem samolotem z Zurychu, podczas międzylądowania w Londynie kupiłem gazetę i na pierwszej stronie znalazłem olbrzymi tytuł:

TAJEMNICZY AMERYKANIE ODKRYLI PODRÓŻE W CZASIE!

Dokupiłem od razu plik innych gazet. Poważny Times traktował rzecz z wielką rezerwą, ale pozostałe dzienniki krzyczały na pierwszych stronach o rewelacji.

Wiele faktów przekręcono, lecz generalnie relacjonowano zgodnie z prawdą. Rila i ja byliśmy przedstawieni jako tajemnicza para. Dziennikarze nie mogli dotrzeć do Rili, plotki głosiły, że przeniosła się na stałe do Mastodonii. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie leży owa Mastodonia, ale spekulacje niektórych autorów były dość bliskie prawdy. Wszyscy zgodnie twierdzili, że ja udałem się w podróż zagraniczną, lecz nikt nie umiał podać jej celu. Nie powstrzymało to jednak dziennikarzy przed snuciem mocno naciąganych na pierwszy rzut oka przypuszczeń. Publikowano wywiad, którego udzielił Ben. Potwierdził, że jest przedstawicielem firmy na Stany Zjednoczone, ale nie chciał zdradzić nic więcej. Herb Livingston, rzecznik prasowy Bena, miał jakoby stwierdzić krótko, że jest za wcześnie na jakiegokolwiek oświadczenia i że będzie miał więcej do zakomunikowania w odpowiednim czasie. Kiedy czytałem ten artykuł, zdziwiłem się, jakim to sposobem, do diabła, Herb stał się ni stąd ni zowąd naszym rzecznikiem prasowym. Artykuł był oparty na wypowiedziach, jak to nazwano, dobrze

poinformowanego człowieka, którego nazwiska nie wymieniono ani razu. Ktoś z Safari Inc., którego powiązania z nami sugerowano we wszystkich gazetach, potwierdził fakt istnienia filmu przedstawiającego polowanie na dinozaury, mające miejsce w odległej o blisko siedemdziesiąt milionów lat przeszłości. Prezes jednej z kompanii filmowych miał ponoć zadeklarować już zainteresowanie tym materiałem. Zarząd Safari Inc. otwarcie przyznawał, że bardzo liczy na współpracę z nami. Nigdzie natomiast nie została wymieniona osoba mecenasa McCallahana i na tej podstawie domyślałem się, kto jest odpowiedzialny za ten przeciek informacji do prasy.

Publikowano wywiady z czterema utytułowanymi fizykami, w tym z jednym noblistą, a wszyscy zgodnie twierdzili, z różnym jedynie stopniem zadufania w sobie, że podróże w czasie nie mogą istnieć. We wszystkich artykułach zakładano, iż została skonstruowana maszyna czasu – było to zresztą zrozumiałe, skoro zaledwie pięć osób, najwyżej sześć, jeśli włączyć w to Herba, znało prawdę. Tak zwani doradcy naukowci poważnych czasopism prześcigali się w rozważaniach na temat kształtu oraz zasady działania domniemanej maszyny czasu. Tylko w jednym artykule spośród tych, które przeczytałem, nie zostało wymienione nazwisko Herberta G. Wellsa.

W pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem wielki nagłówek w gazecie, sprężyłem się wewnątrz, ale w miarę czytania kolejnych publikacji powrócił spokój. Dopóki o naszych możliwościach przenoszenia się w czasie wiedziało zaledwie kilka osób, niemal podświadomie akceptowałem głupią, wręcz dziecinną myśl o zachowaniu wszystkiego w sekrecie. Lecz teraz, gdy cały świat poznał tajemnicę, sytuacja uległa zmianie. Odruchowo rozejrzałem się na boki i do tyłu, sprawdzając, czy nikt mnie nie rozpoznał. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to głupota, gdyż żadna z londyńskich

gazet nie zamieściła zdjęć ani Rili, ani moich. Zdawałem sobie sprawę, że już niedługo nasze podobizny znajdą się we wszystkich dziennikach. W tych pierwszych artykułach nie wymieniano nawet naszych nazwisk, ale z pewnością jeszcze przed końcem dnia dociekliwi reporterzy dowiedzą się, kim jesteśmy i zdobędą nasze fotografie.

Ogarnęło mnie dzikie pragnienie, by jak najszybciej znaleźć się z powrotem w Willow Bend, gdzie mógłbym ukryć się przed całym światem. Gdy pomyślałem o czekającym mnie jeszcze wielogodzinnym locie, doznałem czegoś w rodzaju chwilowej paniki. Może to i głupie, ale w sklepiku na lotnisku kupiłem ciemne okulary. Czułem się w nich idiotycznie, ponieważ nigdy takich nie używałem, nawet w pełni upalnego lata. Założyłem je jednak, gdyż przynajmniej symbolicznie mogłem się za nimi ukryć.

Początkowo miałem zamiar zostawić gazety, by w najmniejszym nawet stopniu nie dać nikomu poznać, że zainteresowałem się opisywaną sensacją. Ale gdy pomyślałem o tym, ile uciechy mógłbym nimi sprawić Rili i Benowi, złożyłem je i wcisnąłem pod pachę.

Mój sąsiad w samolocie, skwaszony Amerykanin w średnim wieku sprawiający wrażenie bankiera – chociaż tak naprawdę to chyba nim nie był – wetknął swoją gazetę do kieszeni marynarki i wyraźnie nie przejawiał ochoty do rozmowy ze mną, za co zresztą byłem mu niepomiernie wdzięczny. Gdy jednak steward podał nam obiad, mężczyzna rozluźnił się i zaszczycił mnie faktem dostrzeżenia mej obecności.

– Czytał pan te brednie o podróżach w czasie? – zapytał.

– Przejrzałem artykuły.

– Chyba wie pan, że to niemożliwe – oznajmił. – Zastanawiam się, jak oni mogli to wydrukować. Dziennikarze nie są przecież głupcami, powinni raczej rozpoznać blagę.

– Pogoń za sensacją – odparłem. – Chwyciliby się wszystkiego, byle tylko zwiększyć nakład.

Nie odpowiedział. Sądziłem, że rozmowa dobiegła końca, ale po kilku minutach odezwał się ponownie, nie tyle bezpośrednio do mnie, ile stwierdzając ogólnie:

– To bardzo niebezpieczne. Podróżowanie w czasie może spowodować wiele przykrych następstw, a nawet doprowadzić do zmiany historii. Nie powinno się do tego dopuścić. I tak jest wystarczająco ciężko, a tu jeszcze ktoś chce wszystko pogmatwać.

Do końca lotu nie powiedział już ani słowa. Okazał się wyjątkowo dobrym towarzyszem podróży.

Zatopiłem się w niespokojnych myślach, z których nic dobrego nie wynikało, ale nie umiałem pozbyć się lęku. Ciekawiło mnie, czy ogrodzenie zostało już ukończone, czy zainstalowano reflektory i czy udało się zatrudnić odpowiednich strażników. Doszedłem do wniosku, że mecenas McCallahan – o ile to on w rzeczywistości przekazał informacje do prasy – bez wątplenia musiał się wcześniej upewnić, że w Willow Bend wszystko jest już przygotowane na tę chwilę.

Godziny wlokły się niemiłosiernie, w końcu zapadłem w drzemkę, a gdy się obudziłem, schodziliśmy w dół nad lotniskiem Kennedy’ego.

Obawiałem się, że w sali przylotów mogą czekać na mnie dziennikarze, lecz widocznie nikt nie wiedział, że znajdowałem się na pokładzie samolotu. Jak najszybciej kupiłem New York Timesa i już na pierwszej stronie znalazłem wielkie zdjęcia, moje i Rili. Co prawda oba pochodziły sprzed dobrych kilku lat, lecz raczej bez trudu można mnie było na nich rozpoznać.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Rili lub Bena, albo nawet do Waszyngtonu do mecenasa, ale szybko zrezygnowałem. Jeśli

dziennikarze nie czekali na mnie w Nowym Jorku, prawdopodobnie nie powinno ich także być w Minneapolis. Rila i Ben wiedzieli, którym samolotem miałem wracać, mogłem zatem liczyć, że jedno z nich wyjedzie po mnie na tomisko.

Nie dostrzegłem jednak żadnego z nich. Spotkałem za to EIROda Andersona, kierownika supersamu w Willow Bend. Minąłem go bez słowa, nie znaliśmy się bowiem dobrze, ale on chwycił mnie za ramię i przedstawił się. Dopiero wtedy go rozpoznałem.

– Ben nie mógł przyjechać, podobnie jak Rila – rzekł. – Całe Willow Bend jest oblegane przez reporterów i gdyby któreś z nich wyjechało, na pewno wszyscy podążyliby za nimi. Ben zadzwonił do mnie i poprosił, żebym pana przywiózł. Stwierdził, że być może w ten sposób uda się panu prześliznąć niepostrzeżenie. Przywiozłem trochę ubrań na zmianę i sztuczne wąsy.

– Nie sądzę, żeby te wąsy były potrzebne – odparłem.

– Przepuszczałem, że pan nie będzie chciał z nich skorzystać, ale mogą się jednak przydać. Są naprawdę dobre, wyglądają jak prawdziwe. W miasteczku kłębi się tłum i wciąż przybywają nowi ciekawscy, choć sam nie wiem, czego się spodziewają. Część już wyraźnie okazuje rozczarowanie, bo naprawdę nie ma nic do oglądania. Są i tacy, co przyciągnęli przyczepy kempingowe, jakby mieli zamiar zostać przez dłuższy czas. Ben wynajmuje pod przyczepy obszar tej farmy, którą ostatnio kupił, na wschód od was. Wyznaczył tam zresztą olbrzymi parking dla samochodów. Nie sam, oczywiście. Zatrudnił wiele osób. Parkingu pilnuje stary Limpy Jones. To największy lawirant w okolicy, nie pracował od dobrych trzydziestu lat. Ale podjął się pilnowania parkingu. Twierdzi, iż pociąga go bezustanny ruch, ale mnie się zdaje, że zwija część opłat do własnej kieszeni. Nie wierzę,

żeby długo tak pociągnął. Wcześniej czy później Ben go nakryje. To najbardziej operatywny facet w całym miasteczku.

– Mam nadzieję, że ogrodzenie już stoi.

– Tak, skończyli kilka dni temu – odparł Elrod. – Stoi także budynek. Na frontonie widnieje wielki napis: Ben Page, przedstawicielstwo spółki „Czas”. O co tu chodzi? Myślałem, że to pan odkrył sposób przenoszenia się w czasie. W jaki sposób Ben został agentem spółki?

– Jest naszym przedstawicielem na Stany Zjednoczone, a może nawet na całą Amerykę Północną.

– Przecież pan jeszcze tu jest, przynajmniej na razie. Ta kobieta, która z panem mieszkała, Rila, także się nie wyprowadziła. Dlaczego sami nie zorganizowaliście spółki?

– Formalnie nie mieszkamy już w Willow Bend.

– Niemożliwe. Dokąd się przenieśliście?

– Do Mastodonii.

– Na Boga, skądś znam tę nazwę. Gdzież jest ta Mastodonia?

– W przeszłości, jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy lat wstecz. Żyją tam mastodonty, stąd nazwa.

– Ładnie tam jest?

– Chyba tak – odparłem. – Jeszcze tam nie byłem.

– Mieszka pan w Mastodonii i jeszcze nigdy pan tam nie był?

– Rila z Hiramem przenieśli naszą siedzibę i przeprowadzili się, kiedy ja przebywałem w Europie.

– A cóż Hiram ma z tym wszystkim wspólnego? – zapytał Elrod. – Zawsze uważałem go za lekko sfiksowanego i niezbyt pojętnego faceta.

– Jego rola jest niebagatelna – stwierdziłem.

Ukośne promienie słońca zalewały parking jaskrawym światłem. Zapowiadał się piękny dzień, na niebie nie było ani jednej chmurki.

Elrod usiadł za kierownicą i wycofał wóz z placu.

– Ben poradził, żebyśmy zajechali na jego parking koło farmy – rzekł. – Niech pan się wtopi w tłum turystów i podejdzie do bramy. Szeryf wyznaczył swoich zastępców do pilnowania porządku i dowodzenia strażą. Proszę im powiedzieć nazwisko, są uprzedzeni i wpuszczą pana do środka. Mam tu parę przybrudzonych roboczych spodni, drelichową marynarkę i stary kapelusz filcowy. Proszę się w to przebrać, zanim dojedziemy na miejsce. Jeśli załatwi pan sprawę szybko, nikt pana nie rozpozna. Wezmą pana za jeszcze jednego ciekawego sensacji mieszkańca Willow Bend. Myślę, że powinien pan także przykleić te wąsy.

Jakieś dziesięć kilometrów za miastem Elrod skręcił w boczną drogę i zatrzymał wóz, dając mi okazję do przebrania się. Nie przykleiłem jednak wąsów, nie potrafiłem się do nich przekonać.

ROZDZIAŁ 20

Rila i Ben czekali na mnie, Herb Livingston trzymał się nieco z tyłu. We frontowym pokoju nowego budynku administracyjnego, wypełnionym zapachem świeżo ciętego drewna, siedziało za biurkami sześć osób nie mających jeszcze wiele roboty.

Rila podbiegła do mnie. Chwyciłem ją w objęcia i przytuliłem mocno. Nigdy jeszcze nie cieszyłem się tak z żadnego spotkania. To, co ujrzałem na zewnątrz, przeraziło mnie – wzdłuż drogi stały zaparkowane pojazdy, inne zapełniały szczelnie parking Bena; budki z hot dogami, hamburgerami i pamiątkami; sprzedawcy baloników. Wszędzie kręcili się ludzie, stali grupkami i gapili się bezmyślnie, a na ich twarzach malował się głód sensacji. Wszystko razem przypominało coś pośredniego między wiejskim targowiskiem a karnawałową fetą.

– Martwiłam się o ciebie – powiedział Rila. – Jak ty wyglądasz? Gdzie są twoje ubrania?

– W samochodzie Elroda Andersona – odparłem. – To on dostarczył mi to przebranie.

Ben mocno uściśnął mi dłoń.

– Wiele się zmieniło od czasu twojego wyjazdu – oznajmił.

Herb także podszedł, żeby przywitać się ze mną.

– Jak się miewa nasz rzecznik prasowy? – zapytałem. – Znalazłem twoje nazwisko w londyńskiej gazecie.

– Cholera, potrzebowaliśmy kogoś naprawdę dobrego, żeby dał sobie radę z tymi wszystkimi waźniakami, którzy zatruli nam życie – wyjaśni! Ben. – Herb wydał nam się najlepszy do tego celu. Świetnie sobie poczyna.

– Żądają zorganizowania konferencji prasowej – dodał Herb – ale jak do tej pory nie miałem odwagi spotkać się z całą tą bandą naraz. Nie chcieliśmy zresztą o niczym decydować do czasu twojego powrotu. Wypuszczałem w świat jedynie ogólne oświadczenia. Nie ujawniłem jeszcze żadnego sekretu, przedstawiłem tylko kilka faktów, żeby mieli o czym pisać. Co powinienem im teraz powiedzieć, kiedy już wróciłeś?

– Zakomunikuj, że Asa wrócił i od razu przeniósł się do Mastodonii – stwierdził Ben. – Powinniśmy to podkreślać przy każdej okazji. On i Rila nie mieszkają tutaj, ich ojczyzną jest Mastodonia.

– Poczekaj, aż zobaczysz Mastodonię – wtrąciła Rila. – Tam jest cudownie. Pięknie i dziko. Przedwczoraj przetransportowaliśmy duży wóz mieszkalny i urządziliśmy wspaniałą siedzibę. Mamy tam również dwa samochody terenowe z napędem na wszystkie koła.

– Gdzie jest Hiram?

– Hiram został tam, z Bowserem.

– A Kociopysk?

– Kociopysk także się przeniósł. Na stoku wzgórza rośnie kilka dzikich jabłonek, w których gąszczu znalazł dla siebie idealne miejsce. Hiram przekazał, że Kociopyskowi bardzo się tam podoba i nawet robił sobie wyrzuty, że do tej pory tkwił w naszym czasie i nie otwierał żadnych przejść na swój użytek.

– Chodźmy do mojego gabinetu – poprosił Ben. – Są tam wygodne fotele, a znajdzie się też jakaś butelczyna. Powinniśmy uczcić twój powrót.

Rozsiedliśmy się w ekskluzywnych fotelach, a Ben napełnił szklaneczki.

– Jak udała się podróż? – zapytał Herb.

– Dość dobrze. Mój francuski okazał się nieco chropowaty, ale jakoś mnie zrozumieli. W Zurychu nie miałem większych problemów. Nigdy dotąd nie załatwiałem podobnych spraw, ale poradziłem sobie.

– Szwajcarzy zawsze chętnie przyjmą pieniądze – wtrącił Ben.

– Chciałem was zapytać, kto poinformował prasę. Nowina rozeszła się wcześniej, niż się tego spodziewałem.

– Zrobił to mecenas – odparła Rila. – Co prawda nie osobiście, ale szepnął parę słów komuś, kto jest znany z rozpowszechniania sekretów. Tak naprawdę, to nalegali ludzie z Safari. Naciskali McCallahana. Pragną jak najszybciej przekonać się, czy będą mieli wielu klientów na polowanie. Chcą wysondować rynek, zanim jeszcze rozpoczną pertraktacje z nami. To chyba oczywiste, że zapalony myśliwy nie przepuści okazji postrzelania do dinozaurów, oni jednak wolą mieć pewność. Chcą przystąpić do rozmów na temat prawa wyłączności dla nich, mając w garści długą listę chętnych.

– Przypuszczam, że za wcześnie jeszcze na jakiegokolwiek szacunkowe oceny.

– Od dwóch dni nie mamy żadnych wiadomości od mecenasa. Na pewno skontaktują się z nim.

– Tutaj dotarło już kilku zainteresowanych – rzekł Ben. – Pierwszy zjawił się dziś rano facet, który chciał się dowiedzieć, czy będziemy mogli go przenieść na terytorium Inków w okres poprzedzający przybycie konkwistadorów. Twierdził, że chciałby poznać kulturę Inków, ale szybko stało się oczywiste, że interesują go wyłącznie ich skarby. Powiedziałem mu, żeby spadał. Potem zgłosił się inżynier górnictwa z życzeniem wycieczki na teren Czarnych Wzgórz w Południowej Dakocie przed wybuchem tamtejszej gorączki złota. Ten przynajmniej nie silił się na skrywanie prawdziwych intencji. Chce zrobić forszę na wskazywaniu najbogatszych wyrobisk złotonośnych. Jest bez pieniędzy i ma nadzieję, że

obsłużymy go na kredyt. Ten mi się spodobał, więc powiedziałem, żeby przyjechał kiedy indziej, a postaram się szepnąć ci słówko w jego sprawie. Następnie przysłała delegacja jakiejś organizacji kościelnej. Chcieli rozmawiać na temat wyprawy w czasy Chrystusa. Nie wiedziałem, o co im chodzi, gdyż nie potrafili sprecyzować swoich życzeń. Może później znajdziesz trochę czasu, żeby się z nimi spotkać.

Pokręciłem głową.

– Nie chcę w ogóle o tym słyszeć. To podejrzane interesy, miałem nadzieję, że uda nam się ich uniknąć. Gdybyśmy przenieśli jakąś osobę w czasy historyczne, musiałaby zachowywać się niezwykle ostrożnie, żeby nie pozmieniać całej naszej przeszłości.

– Powinieneś być jednak wiedzieć, że pojawią się tego typu żądania – stwierdził Herb. – Prawdopodobnie wszyscy jak jeden mąż chcieliby ujrzeć na własne oczy ukrzyżowanie Chrystusa.

– W tym właśnie sęk – podchwyciła Rila. – Tylko nieliczni chętni będą spełniali warunki, jakie narzucimy. Musimy odmawiać turystom, choćby proponowali nam nie wiem jakie pieniądze. Mielibyśmy z nimi jedynie same kłopoty.

– Myślę, że powinniśmy brać zamówienia jak leci – wtrącił Ben. – Odmawiać postrzeleńcom, takim jak ten amator skarbów Inków, ale dokładnie przyglądać się wszystkim sensownym propozycjom.

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas o tym, co nas czeka, zwracając jednak baczniejszą uwagę na zawartość szklaneczek. Motel Bena rósł jak na drożdżach, a kilka pierwszych segmentów było gotowych na przyjęcie gości. Wznoszony budynek miał być znacznie większy, niż pierwotnie zakładano, poza tym Ben nosił się z zamiarem budowy drugiego. Parking już przynosił dochody. Liczni mieszkańcy miasteczka oferowali pokoje do wynajęcia. Zaczynało brakować ludzi do patrolowania ogrodzenia i

czuwania przy bramie; na razie, dopóki nie mieliśmy odpowiednich strażników, naszej bramy pilnowali zastępcy szeryfa. Herb przekazał wszystkie sprawy redakcji swemu byłemu asystentowi i planował drukować cztero- lub nawet sześciostronicowy, przynajmniej na początek, bezpłatny codzienny dodatek z reklamami, mającymi ułatwić życie spodziewanym tłumom gości, których pierwsza fala dotarła już do Willow Bend. Część okolicznych mieszkańców z niepokojem oczekiwała napływu turystów, obawiając się całkowitej zmiany dotychczasowego, małomiasteczkowego stylu życia. Jednak najróżniejsze kółka przykościelne, szczególnie te skupiające gospodynie domowe, już snuły plany festiwali pieczonych kurcząt czy lodów truskawkowych – wszelkiego typu imprez zasilających kasę.

Kiedy skończyliśmy toast, Rila zwróciła się do mnie:

– A teraz ruszamy do Mastodonii. Umieram z niecierpliwości, żeby ci ją pokazać.

ROZDZIAŁ 21

W Mastodonii panowała przepiękna wiosna. Dom na kółkach stał na szczycie łagodnego wzniesienia, nie dalej jak osiemset metrów od wylotu tunelu czasowego. Nieco poniżej, na zboczu wzgórza, rosła kępa obsypanych różowym kwieciem dzikich jabłonek; cała długa dolina, nad którą górowało wzniesienie, usiana była mniejszymi i większymi skupiskami dzikich jabłoni oraz innych kwitnących drzew. Otwarte przestrzenie przypominały morze wiosennych kwiatów, a powietrze wypełniał szczebiot licznych ptaków.

Dwa łaziki stały po jednej stronie wielkiego wozu mieszkalnego. Wejście do niego ocieniała olbrzymia markiza, a nieco dalej znajdował się okrągły stolik z rozpiętym nad nim fantazyjnie ozdobionym frędzelkami parasolem.

Ogólnie nasz nowy dom wyglądał solidnie i odświeżenie.

– Kupiliśmy duży wóz – poinformowała Rila. – Sześć łózek, mnóstwo wolnej przestrzeni i kuchnia z pełnym wyposażeniem.

– Podoba ci się?

– Czy mi się podoba? Nie rozumiesz, Asa? To kryjówka, o jakiej wszyscy marzą: połączenie domku nad jeziorem z chatką myśliwską w górach. Ale tu jest znacznie lepiej. Dopiero tu możesz poznać smak wolności. Nie ma nikogo. Rozumiesz? Absolutnie nikogo. Pierwsi ludzie przywędrują do Ameryki Północnej z Azji za jakieś tysiąc stuleci.

Oczywiście, człowiek pojawił się już na świecie, lecz nie na tym kontynencie. Będziemy tu absolutnie sami.

– Badałaś już okolicę?

– Nie, sama bym się bała. Czekałam na ciebie. Widzę jednak, że nie bardzo ci się tu podoba.

– Skąd, podoba mi się – odparłem. Powiedziałem szczerze, Mastodonia przypadła mi do gustu. Ale absolutna samotność i całkowita niezależność należały do tych rzeczy, z którymi należało się powoli oswajać. Potrzeba było trochę czasu, żeby naprawdę je odczuć.

W oddali rozległ się czyjś krzyk, ale przez dłuższą chwilę nie mogłem nikogo dostrzec. Wreszcie ujrzałem ich – Hirama i Bowsera, na stoku wzgórza, powyżej kępy kwitnących jabłonek. Pędzili biegiem w naszą stronę. Hiram skakał niezdarnie, jakby na sztywnych nogach, natomiast Bowser gnał wielkimi susami, od czasu do czasu szczekając radośnie.

Zapominając o wszelkich konwenansach, które tutaj nie były zresztą potrzebne, pobiegliśmy im na spotkanie. Bowser wyrwał się do przodu i już po chwili lizał mnie po twarzy i obskakiwał dookoła, okazując psią radość. Wkrótce zbliżył się zadyszany Hiram.

– Wyglądaliśmy pana, panie Steele – powiedział, z trudem łapiąc oddech. – Poszliśmy tylko na mały spacer i rozminęliśmy się z panem. Po tamtej stronie wzgórza spotkaliśmy jednego ze słoni.

– Słoni? Chciałeś powiedzieć: mastodontów.

– Możliwe – rzekł Hiram. – Chyba tak właśnie nazywają się te wielkie stworzenia. Starłem się zapamiętać nazwę, ale wyleciała mi z głowy. W każdym razie spotkaliśmy naprawdę sympatycznego mastodonta. Pozwolił nam podejść całkiem blisko. Chyba nas polubił.

– Posłuchaj, Hiramie – ostrzegłem. – Nie powinieneś za bardzo zbliżać się do mastodontów. To dość spokojne zwierzęta, ale jeśli podejdziesz za

blisko, mogą stać się nieobliczalne. To samo tyczy się olbrzymich kotów, a zwłaszcza tych, którym z paszczy wystają długie kły.

– Ale ten mastodont był bardzo miły, panie Steele. Wędrował sobie powoli i wyglądał na zasmuconego. Nazwaliśmy go Włóczęgą, ponieważ szedł tak wolno, noga za nogą.

– Na miłość boską – jęknąłem. – Stary, pokonany w walce i wygnany ze stada samiec należy do ostatnich, z którymi moglibyście nawiązywać znajomość. Pewnie ma paskudny charakter.

– To prawda, Hiramie – poparła mnie Rila. – Lepiej trzymaj się z dala od tego zwierzaka. To samo dotyczy innych tutejszych stworzeń. Lepiej nie próbuj się z nimi zaprzyjaźniać.

– Nie mogę nawet ze świstakiem, panno Rilo?

– No nie, myślę, że znajomość ze świstakiem nie grozi żadnymi konsekwencjami – odparłem.

Weszliśmy całą czwórką do wnętrza domu na kółkach.

– Mam tu nawet swój pokój – pochwalił się Hiram. – Panna Rila powiedziała, że to mój własny. Zgodziła się też, żeby razem ze mną spał w nim Bowser.

– Proszę, rozejrzyj się po naszym gospodarstwie – zachęciła Rila. – Później pokażemy ci podwórko...

– Jakie podwórko?

– Trawnik, gdzie ustawiliśmy stolik. Nazwaliśmy go podwórkiem. Obejrzyj sobie cały dom, a potem wyjdź na zewnątrz. Ja w tym czasie przygotuję lunch. Czy wystarczą kanapki?

– Oczywiście.

– Zjemy przed domem. Bardzo lubię siedzieć na podwórku i podziwiać krajobraz. Nie zdążyłam się jeszcze nasycić widokami.

Obejrzałem cały nasz dom. Po raz pierwszy w ogóle miałem okazję zwiedzać przyczepę mieszkalną, chociaż widywałem je nieraz. Znałem ludzi, którzy mieszkali w podobnych i bardzo je sobie chwalili. Szczególnie spodobał mi się salonik. Było tam mnóstwo wolnego miejsca, wygodne umeblowanie i duże okna. Podłogę zaścielał gruby dywan, a w regaliku stały książki, które Rila wybrała z mojej skromnej biblioteczki. Tuż przy drzwiach znajdował się stojak z bronią. Musiałem przyznać, że wewnątrz to sprawiało wrażenie o wiele bardziej komfortowego domku niż ten, w którym mieszkaliśmy na farmie.

Wyszedłem na zewnątrz i ruszyłem w dół zbocza. Hiram dreptał obok mnie, a Bowser wysforował się przodem.

Dom stał na szczycie niewielkiego wzniesieniu, z którego rozpościerał się piękny widok na okolicę. W dole, nieco na prawo, płynął strumień – ta sama rzeczka, na którą natrafiliśmy w kredzie i która do dziś, do dwudziestego wieku płynęła przez Willow Bend. Na przestrzeni milionów lat ukształtowanie terenu było niemal identyczne. Odniosłem wrażenie, że wzgórze jest teraz nieco wyższe niż w kredzie, a może nawet wyższe od tego, które pamiętałem z dwudziestego wieku, choć mogło to być jedynie złudzenie.

Otwierała się przed nami szeroka dolina rzeki, usiana tu i ówdzie kępami obsypanych kwieciami krzewów oraz karłowatych drzewek. Otaczające ją stoki wzgórz, z wyjątkiem tego, na którym staliśmy, pokrywały połacie gęstego lasu. Rozglądałem się za stadami dzikich zwierząt, ale nie dostrzegłem żadnego w pobliżu. Z wyjątkiem kilku wielkich ptaków, chyba orłów, kołujących wysoko na niebie, nie zauważyłem żadnych śladów życia.

– Tam! – wykrzyknął podniecony Hiram. – To Włóczęga. Czy pan go widzi, panie Steele?

Spojrzałem w kierunku, który pokazywał palcem, i w dolinie, u stóp wzgórza, spostrzegłem mastodonta. Stał obok skupiska niewysokich drzewek, zrywał trąbą całe fury liści i wypychał je sobie do pyska. Nawet z tej odległości trudno było nie zauważyć, że jest wyliniały. Stał samotnie, w każdym razie w pobliżu nie dostrzegłem innych mastodontów.

Zawołała nas Rila, ruszyliśmy więc z powrotem. Na stoliku stały talerze, na których piętrzyły się stopy kanapek oraz herbatników, miseczki z marynatami i oliwkami, a także wielki dzbanek kawy. Dla Bowsera przygotowany był olbrzymi kawał pieczeni pokrojonej na mniejsze kawałki, by łatwiej mu było pogryźć.

– Złożyłam parasol, żebyśmy mogli wystawić twarze do słońca – powiedziała Rila. – Tak przyjemnie jest tu na słońcu.

Spojrzałem na zegarek. Wskazywał godzinę piątą, chociaż słońce stało w zenicie. Rila roześmiała się.

– Zapomnij o zegarku – rzekła. – Nie mamy tu żadnych zegarów. Swój zdjęłam i zostawiłam na stoliku przy łóżku już pierwszego dnia. Pewnie stanął.

Z uśmiechem skinąłem głową. Podobał mi się ten pomysł. Tak rzadko człowiek miał okazję wyzwolić się choć na krótko spod tyranii czasu.

Jedliśmy niespiesznie, wygrzewając się w słońcu. Potem odpoczywaliśmy, obserwując, jak cienie wzgórz po zachodniej stronie rzeki przesuwały się przez dolinę.

– Powinny tam być świetne warunki do łowienia ryb – rzekłem, wskazując na rzekę.

– Jutro wybierzemy się na ryby – oznajmiła Rila. – Weźmiemy jeden samochód i ruszymy na wyprawę. Mamy tutaj tyle do zwiedzania.

O zmierzchu usłyszeliśmy odległe trąbienie, które mogło oznaczać nadciąganie stada mastodontów. W środku nocy obudził mnie jakiś hałas.

Leżałem w łóżku spięty, czekając na jego powtórzenie. Wśród wzgórz na północy rozbrzmiał głośny, choć stłumiony odległością, dziki ryk. Nie ulegało wątpliwości, że to kot. Pewnie szablozębny, a może jakiś inny. Zawsze interesowały mnie te zwierzęta, byłem nimi zafascynowany. Teraz musiałem chyba zapomnieć o dawnej pasji; pewnie tutaj, w sangamonie, żyło wiele różnych gatunków drapieżnych kotów. Ten ryk mógłby przerazić każdego, chociaż obecnie nie bałem się specjalnie. Byliśmy bezpieczni. Obok mnie spokojnie spała Rila, nieświadoma dobiegających z oddali ryków.

Po śniadaniu spakowaliśmy kanapki, załadowaliśmy do samochodu dwa karabinki kalibru 7 mm oraz sprzęt wędkarski, po czym ruszyliśmy na wyprawę. Rila i ja siedzieliśmy z przodu, Hiram z Bokserem zajmowali tylne siedzenia. Po ujechaniu kilku kilometrów w głąb doliny wypadliśmy wprost na stado kilkunastu mastodontów, które musieliśmy okrążyć. Unosiły wielkie łby, spoglądały na nas, wachlowały uszami i łowiły zapachy wyciągając trąby, lecz nie zaatakowały nas. W południe zaparkowaliśmy nad brzegiem rzeki i poszedłem na ryby. Ale nie trwało dłużej niż pięć minut, gdy wróciłem z trzema sporych rozmiarów pstrągami, które zaraz upiekliśmy nad ogniskiem. Kiedy jedliśmy, na wysokim i otwartym przeciwległym brzegu rzeki pojawiło się kilka wilków; spoglądały na nas zachłannie. Wyglądały mi na większe od zwykłych wilków; pomyślałem, że mogą to być te najgroźniejsze, straszliwe drapieżniki. Spłoszyliśmy jelenia, który wyszedł z gęstwiny niedaleko nas. Dostrzegliśmy też na szczycie skalistego urwiska brunatnego kocura; wyglądał na kuguara, nie na tygrysa szablozębnego.

Wróciliśmy do domu na długo przed zachodem słońca, zmęczeni, lecz zachwyceni. Zapowiadały się najpiękniejsze wakacje od początku mojego życia.

W ciągu następnych dwóch dni wyprawialiśmy się jeszcze kilkakrotnie w różnych kierunkach. Widzieliśmy wiele mastodontów i nieliczne stado olbrzymich bizonów – wyposażonych w potężne kły i znacznie większych od historycznych mieszkańców zachodnich prerii. Trafiliśmy na mokradła, z których wypłoszyliśmy stada kaczek i gęsi, a nieco dalej dokonaliśmy naszego największego odkrycia: kolonii bobrów, rozmiarami przypominających niedźwiedzie. Ich dziełem była gigantyczna tama, dzięki której powstały mokradła zamieszkałe przez kaczki i gęsi. Zafascynowani, dość długo przyglądaliśmy się im z oddali.

– Jeden taki bóbr wystarczyłby na futro – zauważyła Rila.

Zupełnie straciłem poczucie czasu. Zapomniałem o wszystkim. Marzyłem o nie kończących się dniach cudownych wypraw i błogiej bezczynności, na jaką mogliśmy sobie tu pozwolić.

Lecz ta idylla skończyła się, kiedy trzeciego dnia wróciliśmy do domu. Ben czekał na nas, siedząc przy stoliku. Przygotował już szklaneczki i otworzył butelkę.

– Chodźcie, wypijemy – powiedział. – Ruszamy z naszym przedsięwzięciem. Jutro przylatuje mecenas z kierownictwem Safari. Są gotowi do negocjacji. McCallahan powiedział, że palą się do tego, choć starają się nie dać niczego poznać po sobie.

ROZDZIAŁ 22

Obudziłem się następnego ranka pełen najgorszych przeczuć, chociaż nie miałem żadnych powodów do obaw. Czasem tak bywa, że człowieka ogarnia zupełnie bezpodstawny lęk. Zsunąłem się z łóżka ostrożnie, żeby nie obudzić Rili. Widocznie nie udało mi się, gdyż skradając się na palcach do drzwi, usłyszałem za sobą jej głos;

– Co się stało, Asa?

– Pewnie nic – odparłem. – Chciałem tylko wychylić głowę na dwór i rozejrzeć się.

– Nie w piżamie – oświadczyła. – Wracaj i załóż coś na siebie. Dzisiaj przyjeżdżają ludzie od Safari. Mogą zjawić się dość wcześnie, nie zapominaj, że dzieli nas jakieś pięć godzin różnicy czasu.

Ubrałem się, mając dziwne przeczucie, że marnuję każdą chwilę. Wyszedłem wreszcie, najszybciej jak umiałem, nie chcąc zarazem sprawiać wrażenia, że bardzo mi się spieszy. Lecz gdy tylko uchyliłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz, cofnąłem się natychmiast i sięgnąłem po jeden z karabinków, tkwiący w stojaku przy drzwiach. W dole zbocza, nie dalej jak dwieście metrów od nas, stał ów stary mastodont, którego Hiram ochrzcił Włóczęgą. Nie mogłem się pomylić, widziałem teraz wyliniałą sierść znacznie lepiej niż kilka dni temu, kiedy patrzyłem na niego z daleka.

Jego trąba zwieszała się ciężko pomiędzy dwoma ogromnymi kłami. W ogóle całą postawą ucieleśniał nagromadzenie wszelkich nieszczęść i pewnie poczułbym litość, gdyby nie jego ponad trzymetrowa wysokość. Na

wprost niego, nie dalej niż o dwadzieścia metrów, stał Hiram, obok zaś ujrzałem machającego ze wszystkich sił ogonem Bowsera. Hiram przemawiał do olbrzyma, a ten w odpowiedzi wachlował tym jednym uchem, które widziałem. Nie było to, co prawda, tak wielkie ucho, jakie mają współczesne słonie afrykańskie, niemniej jego rozmiary były imponujące.

Stałem jak oniemiały, zaciskając dłoń na karabinku. Nie miałem odwagi krzyknąć na Hiram, czy też przywołać Bowsera. Mogłem jedynie obserwować tę scenę, trzymając broń w pogotowiu. Przypomniałem sobie przeczytaną gdzieś wiadomość, że w odległej o wiele lat przyszłości, w dziewiętnastym wieku, stary Karamojo Bell zabił setki afrykańskich słoni dla ich kłów posługując się strzelbą nie większą od mojego karabinku. Mimo wszystko miałem nadzieję, że nie będę zmuszony skorzystać z broni. Karamojo zabijał słonie, strzelając w najcieńsze miejsce czaszki i umieszczając kulę w mózgu zwierzęcia, ja natomiast nie miałem pojęcia, gdzie należało celować.

Włóczęga, stojący dotąd jak wmurowany, poruszył się nagle. Przemknęło mi przez myśl, że zamierza zaatakować Hiram i uniosłem strzelbę do ramienia. Lecz mastodont pozostał na miejscu, nie przesunął się nawet o krok. Po prostu unióśł w górę nogę, potem zrobił to samo z drugą, jakby wybijał dziwaczny rytm. Wyglądało to tak, jak gdyby zdrętwiały mu nogi i postanowił przenieść ciężar ciała najpierw na jedną, potem na drugą nogę. Cały ten proces powolnego unoszenia w górę nogi i raczej ostrożnego stawiania jej z powrotem przedzielił delikatny, kołyszący ruch wykonany całym ciałem. Nigdy nie widziałem czegoś tak niezwykłego – ten głupi słoń stał przed Hiramem, kołysząc się w przód i w tył.

Przesunąłem się o krok, lecz siłą woli powstrzymałem się przed wykonaniem następnego. Dotychczas nic złego się nie działo, choć sytuacja

była niecodzienna. Nie chciałem jednak pochopnie ingerować.

Teraz z kolei Hiram zrobił mały krok do przodu, a po chwili kolejny. Chciałem krzyknąć na niego, ale głos uwiązł mi w gardle. Rozsądek podpowiadał mi, że nie powinienem tego robić. Gdyby coś się stało, zdążyłbym wpakować we Włóczęgę trzy czy cztery kule, nim ktokolwiek zdołałby się zorientować. Nadal jednak miałem nadzieję, że nie zostanę do tego zmuszony. Krok po kroku Hiram ciągle zbliżał się do mastodonta, ale Bowser został na miejscu. Przysięgłbym na wszystko, że pies miał więcej rozumu od Hiram. Postanowiłem, że gdy to dziwne spotkanie dobiegnie końca, tak wygarnę Hiramowi, że nie zostanie na nim sucha nitka. Nieraz już mówiłem mu, żeby odzepił się od tego mastodonta, a ten wysliznął się bladym świtem, nim zdążyłem wstać z łóżka, i oto ugadywał sobie przyjaciela. Wiedziałem, że Hiram już taki jest. W Willow Bend rozmawiał ze świstakami i drozdami, a gdyby wyszedł na niego niedźwiedź grizzly, zapewne też ucieliby sobie pogawędkę. W kredzie niewątpliwie zaczęłyby zjednywać sobie dinozaury.

Hiram stał już bardzo blisko zwierzęcia i wyciągał właśnie rękę w jego stronę, kiedy mastodont przestał się kołysać Bowser tkwił w miejscu, lecz nie machał już przyjaźnie ogonem. Widocznie był tak samo przejęty całą tą sytuacją jak ja. Wstrzymałem oddech i patrzyłem na nich. Zastanawiałem się, czy mimo wszystko nie powinienem zawołać Hiram. Ale było już za późno. Wystarczyłyby jeden krok Włóczęgi i byłoby po Hiramie.

Mastodont wyciągnął nieco trąbę przed siebie i pochylił się do przodu, jakby stanął na czubkach palców. Hiram zamarł w bezruchu. Zwierzę obwąchiwało go, wodząc czubkiem trąby w górę i w dół człowieka. Słyszałem delikatne fukanie. Wreszcie Hiram sięgnął śmiało i pogłaskał Włóczęgę po trąbie, a następnie zamaszystymi ruchami zaczął go drapać. Wielka głupia bestia mruknęła cicho na znak, że bardzo spodobały jej się

pieszczoty, Hiram zaś wykonał jeszcze dwa kroki i stanął wprost pod wielkim, pochylonym nieco do dołu łbem Włóczęgi. Wodził teraz obiema dłońmi wzdłuż trąby, a w końcu sięgnął wysoko i podrapał swego potężnego przyjaciela pod nieproporcjonalnie małą dolną wargą. Włóczęga głośniej zamruczał z rozkoszy. Ten cholerny mastodont był jeszcze głupszy od Hirama.

Odetchnąłem z ulgą, mając nadzieję, że nie jest to przedwczesne uczucie. Nic zresztą na to nie wskazywało. Włóczęga stał nadal nieruchomo, a Hiram drapał go wytrwale. Bowser z wyraźnym obrzydzeniem odwrócił się, przyszedł do mnie i usiadł przy mojej nodze.

– Hiramie – odezwałem się tak cicho, jak tylko potrafiłem – Posłuchaj mnie, Hiramie.

– Proszę się nie martwić, panie Steele – padła odpowiedź. Włóczęga jest moim przyjacielem.

Słyszałem to już setki razy, od kiedy wróciłem do Willow Bend i nawiązałem ponownie znajomość z Hiramem. Wszystkie stworzenia były jego przyjaciółmi, nie miał żadnych wrogów.

– Chciałbym, żeby to była prawda – odparłem. – To dzikie zwierzę, a do tego strasznie duże.

– On rozmawia ze mną – oznajmił Hiram. – Ucieliśmy sobie pogawędkę. Na pewno jesteśmy już dobrymi przyjaciółmi.

– W takim razie powiedz mu, żeby sobie poszedł. Przekaż, by trzymał się z dala od tego wzgórza. Wiesz dobrze, że wystarczy, by oparł się o nasz dom, a przewróci go kołami do góry. Powiedz mu, że gdyby coś podobnego się stało, rozprawię się z nim jak dwa i dwa to cztery.

– Sam go sprowadzę w dolinę i przykażę, żeby tam pozostał – stwierdził Hiram. – Obiecuję mu, że będę przychodził do niego w odwiedziny.

– Zrób to, a potem wracaj jak najszybciej. Będziemy mieli dla ciebie sporo roboty. .

Uniósł rękę i poklepał Włóczęgę po nodze. Mastodont ruszył się wreszcie, odwrócił powoli i jak gdyby afektowanym krokiem podreptał w dół zbocza, a Hiram poszedł obok niego.

– Asa! – zawołała Rila od strony drzwi. – Co tu się dzieje?

– Włóczęga przyszedł do nas z wizytą i Hiram musiał go sprowadzić w dolinę.

– Przecież Włóczęga to mastodont.

– Owszem, wiem o tym – odparłem. – Ale to również przyjaciel Hirama.

– Lepiej wracaj i zacznij się golić – przykazała. – Na miłość boską, uczesz się choć trochę. Mamy gości.

Popatrzyłem w dół zbocza – w naszym kierunku wędrowało gęsiego pięć osób, prowadził Ben. Miał na sobie spodnie od panterki, ciężkie buty i kurtkę myśliwską, a w dłoni ścisnął karabin. Pozostali byli w garniturach i albo nieśli nesesery, albo trzymali pod pachami aktówki. W jednym z nich rozpoznałem mecenasa. Domyśliłem się, że pozostała trójka to kierownictwo Safari. Widok biznesmenów z aktówkami wędrujących przez to dzikie odludzie był tak zabawny, że omal nie wybuchnąłem śmiechem.

– Asa! – odezwała się Rila ostrym tonem.

– Już za późno. Zaraz tu będą. Odegram rolę współczesnego dzikusa, którego będą musieli przyjąć takim, jakim jest.

Przeciągnąłem dłonią po brodzie, twardy zarost zaskrzypiał mi pod ręką. Musiałem wyglądać trochę niechlujnie.

Ben podszedł do mnie i przywitaliśmy się. Reszta stanęła szeregiem z tyłu. Mecenas zrobił krok do przodu i powiedział:

– Poznałeś już tych dzentelmenów, Rilo.

– Tak, oczywiście. Przedstawiam panom mojego współnika, Asę Steele’a. Proszę wybaczyć jego wygląd, mieliśmy tu dziś rano drobny kłopot z mastodontem...

– Chwileczkę, proszę pani – przerwał jej stojący na końcu szeregu mężczyzna o wyglądzie zawodowego żołnierza. – Czy mnie wzrok nie myli? Zdaje się, że tam, na stoku wzgórza, dostrzegam człowieka idącego tuż obok mastodonta. On trzyma zwierzę za trąbę, jak gdyby je prowadził.

– Tak, to Hiram. Ma swoje sposoby na zwierzęta. Twierdzi, że potrafi z nimi rozmawiać.

– A więc Hiram nawiązał już kontakty – wtrącił Ben. – Nie zajęło mu to wiele czasu.

– Jest tu już od kilku dni – wyjaśniłem. – Niczego więcej mu nie trzeba.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – odparł starszy mężczyzna o wyglądzie oficera. – Nie mogę uwierzyć własnym oczom. To wręcz niewiarygodne.

– Asa, nasz nie dowierający przyjaciel to major Hennessey. Majorze, mój współnik, Asa Steele.

– Bardzo mi przyjemnie poznać pana – odparł Hennessey. – Muszę przyznać, że ładnie się urządziliście.

– Podoba nam się tutaj – odparłem. – Później, jeśli będziemy mieli trochę czasu, zabierzemy panów na wycieczkę.

– Niewiarygodne – powtórzył Hennessey. – Absolutnie niewiarygodne.

– Pan Stuart jest szefem rady nadzorczej Safari Inc. – kontynuowała prezentację Rila. – Natomiast pan Boyle, jeśli dobrze pamiętam, jest głównym menedżerem...

– Do spraw organizacji wyjazdów – Boyle wpadł jej w słowo. – Z niecierpliwością oczekuję tego safari na dinozaury. To powinno być ekscytujące.

O wiele bardziej, niż przypuszczasz – stwierdziłem w duchu. Od pierwszej chwili nie spodobał mi się ten kurdupłowaty chłystek.

– Teraz, gdy poznaliśmy się nawzajem, proponuję przystąpić do interesów – rzekł Stuart. – Czy moglibyśmy zostać na dworze? Tak tu nastrojowo.

Hennessey huknął się pięścią w piersi.

– A jakie powietrze! Absolutna czystość. Żadnych skażeń. Nie oddychałem takim powietrzem od lat.

– Proszę siadać – zaprosiła Rila. – Zaraz przygotuję kawę.

– Niech pani nie robi sobie kłopotu – rzekł Boyle. – Jesteśmy po śniadaniu, a pan Pagc poczęstował nas kawą tuż przed wyjściem do państwa.

– Ja się z przyjemnością napiję – oświadczyła cierpko Rila. – Sądzę, że Asa również. Miałam nadzieję, że panowie nie odmówicie nam towarzystwa.

– Ależ tak, oczywiście – rzekł major, – Będziemy zaszczyceni. Dziękujemy pani bardzo.

Wszyscy przysunęli krzesła do stolika i usiedli, stawiając nesesery na ziemi. Tylko Stuart położył swą aktówkę na stoliku i zaczął z niej wyjmować dokumenty.

– Będziecie musieli pilnie uważać na Hirama – zwrócił się Ben do mnie. – Możliwe, że zaprzyjaźnił się z mastodontem, ale są tu także inne zwierzęta...

– Już próbowałem mu to wyperswadować. Będę jeszcze z nim rozmawiał.

Rila wróciła z tacą zastawioną filiżankami, a ja poszedłem do domu po dzbanek z kawą. Na biurku znalazłem talerz z pokrojonym ciastem, który także zabrałem.

– Zatem jesteśmy w Mastodonii – odezwał się do mnie major. – Muszę przyznać, że jest tu wspaniale. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak udało się panu trafić na tak zachwycające tereny?

– Na podstawie domysłów – wyjaśniłem. – Zgodnie z danymi geologicznymi spodziewaliśmy się właśnie czegoś podobnego. Jesteśmy w sangamonie, okresie śródlodowcowym rozdzielającym zlodowacenia Illinois oraz Wisconsin. Wybraliśmy tę epokę, sądząc, że tutejsze warunki będą najbardziej zbliżone do dwudziestowiecznych, a klimat wręcz idealny. Oczywiście, niczego nie możemy twierdzić na pewno, ponieważ za krótko jeszcze tu przebywamy.

– Zachwycające – oświadczył major.

– Czy możemy zaczynać, panie McCallahan? – zapytał Stuart.

– Oczywiście, proszę przedstawić swoją propozycję.

– Świetnie państwo wiecie, o co nam chodzi. Chcielibyśmy uzyskać od was prawa organizowania safari w epoce kredy.

– Nie uzyskacie praw – stwierdził mecenas. – Nie odstąpimy ich wam, zatrzymamy je dla siebie. W grę wchodzi jedynie sprzedaż ograniczonej licencji.

– Do cholery, co pan przez to rozumie, mecenasie? W jakim sensie ograniczonej?

– Brałem pod uwagę licencję na rok. Oczywiście, z możliwością przedłużenia.

– Ależ takie przedsięwzięcie jest dla nas zupełnie nieopłacalne. Musielibyśmy zaangażować poważny kapitał, zgromadzić przeszkolony personel...

– Na początek możemy zaproponować jedynie roczną licencję – powtórzył McCallahan.

– Sądziliśmy, że uzyskamy od was wszelką pomoc, że będziecie naszymi doradcami...

– W ten sposób zapisaliście to w projekcie umowy? – zapytał mecenas, wskazując plik papierów leżących na stole przed Stuartem.

– Właśnie tak się na to zapatrywaliśmy. Dla nas warunki panujące w kredzie stanowią całkowitą nowość...

– Możemy zaproponować jedynie licencję. Jeśli podpiszemy umowę, reszta będzie zależała tylko od was. Nie znaczy to, rzecz jasna, że nie chcemy ofiarować pomocy czy służyć wszelkimi możliwymi radami, ale wyłącznie z dobrej woli, a nie wskutek zapisu w kontrakcie.

– Przestańcie się targować – wtrącił major. – Chcemy zająć się organizacją safari. Nie jednego, lecz wielu. W dodatku chcemy urządzić je jak najszybciej, zanim ludzie nie oswoją się z nowością. O ile znam zapaleńców, a chyba znam ich dobrze, wszyscy będą uważali za punkt honoru znalezienie się wśród pierwszych, którzy wrócą z trofeum w postaci dinozaura. Nie chcielibyśmy jednak, by różne wyprawy operowały jednocześnie, by tereny polowań pokrywały się choć w najmniejszym stopniu. Potrzebowalibyśmy więcej niż jednego tunelu czasowego.

Mecenas popatrzył na mnie pytająco.

– To się da zrobić – odparłem. – Możemy otworzyć tyle przejść, ile będzie potrzeba, rozdzielając je każdorazowo, powiedzmy, o dziesięć tysięcy lat. Oczywiście, możemy też zagęścić ten obszar i zmniejszyć przedziały,

– Rozumie pan, rzecz jasna – zwrócił się mecenas do Hennesseya – że każde otwarcie tunelu będzie was kosztowało.

– Gotowi jesteśmy zapłacić nawet milion dolarów za trzy przejścia – odparł Stuart.

McCallahan pokręcił głową.

– Milion za roczną licencję. Powiedzmy pół miliona za każdy otwarty tunel, nie licząc pierwszego przejścia.

– Mój Boże! Człowieku, stracimy mnóstwo forsy!

– Nie sądzę – stwierdził mecenas. – Czy moglibyście w takim razie zdradzić, jaką cenę proponowaliście za udział w dwutygodniowym safari?

– Nie rozważaliśmy jeszcze tego.

– Mam w to uwierzyć? Musieliście w ciągu tych kilku tygodni rozważać różne warianty cenowe. Biorąc pod uwagę rozgłos, pewnie zebraliście już długą listę chętnych.

– Byłoby to ekonomicznym nonsensem – oświadczył Stuart.

– Niech mi pan tego nie wmawia. Jesteście w bardzo kiepskiej kondycji. W dwudziestym wieku nie ma już wielkich polowań. Cóż wam zostało? Od czasu do czasu organizacja jakiejś wyprawy i safari z kamerą? Macie oto szansę wrócić do poważnych interesów. Nieograniczoną szansę. Całe stulecia przestrzeni łowieckich. Gamę nowych, fascynujących zwierząt. Jeśli któryś z waszych klientów będzie chciał posmakować spotkania z tytanoterią czy mamutem, wystarczy dać nam tylko znać. Natychmiast otrzymacie właściwy tunel. A tylko my potrafimy je wam udostępnić.

– Nie jestem o tym przekonany – oznajmił Stuart. – Gdyby panna Elliot i pan Steele mogli rozwinąć budowę maszyn czasu...

– Próbowałam wam to już wytłumaczyć – wtrąciła Rila. – Albo nie słuchaliście mnie uważnie, albo nie uwierzyliście. To tylko fałszywe pozory. Nie istnieje żadna maszyna czasu.

– Nie istnieje? Zatem jakim sposobem...?

– To tajemnica firmy, której nie pozna nikt – rzekł łagodnym tonem mecenas.

– Mają nas, Stuart – zawyrokował major Hennessey. – Nie oszukujmy się, oni mają rację. Nikt inny nie otworzy tuneli. Panna Elliot twierdzi, że

nie istnieje żadna maszyna, a przecież mówiła to od samego początku. Weźmy zatem kartkę, ołówek i zacznijmy liczyć. Może nasi przyjaciele zgodziliby się na udział w zyskach. Założmy: dwadzieścia procent

– Możemy również dogadać się w ten sposób – rzekł mecenas – ale nie weźmiemy mniej niż pięćdziesiąt procent. Ani grosza mniej. Wolelibyśmy jednak zostać przy sprzedaży licencji. Warunki umowy byłyby o wiele prostsze.

Siedziałem tak, przysłuchując się pertraktacjom, i zaczynało mi się powoli kręcić w głowie. Można spokojnie i bez emocji rozmawiać o milionie dolarów: to tylko rząd cyferek. Lecz gdy chodzi o milion, który miałoby się zarobić, to zupełnie inna sprawa.

W końcu poszedłem w dół zbocza. Nie jestem pewien, czy tamci nawet zauważyli, że odszedłem. Bowser wyczołgał się spod wozu i ruszył za mną. Nigdzie nie było widać Hirma, zaczynałem się niepokoić o niego. Przykazałem mu, żeby zaraz wracał, ale nie posłuchał. Włócząc maszerował noga za nogą wzdłuż doliny. Zmierzał ku rzece, pewnie chciał się napić, lecz Hirma z nim nie było. Zatrzymałem się i zacząłem rozglądać dookoła. Nigdzie go nie dostrzegłem.

Usłyszałem za plecami jakiś szelest. To był Ben. Jego skórzane buciska szurały w wysokiej na trzydzieści centymetrów trawie. Podeszedł, stanął obok mnie bez słowa i zapatrzył się w głąb doliny. W oddali widać było wiele poruszających się punkcików – mastodontów lub bizonów.

– Ile to jest milion dolarów, Ben? – zapytałem.

– To cholernie dużo forsy.

– Nie mieści mi się to w głowie, że oni rozważają cenę miliona dolarów, albo nawet więcej.

– Mnie też to szokuje – przyznał.

– A przecież jesteś bankierem, Ben.

– Ale wciąż jeszcze wiejskim chłopakiem, podobnie jak ty. Dlatego nie mieści nam się to w głowach.

– Wiejskim chłopakiem – powtórzyłem. – Wiele się zmieniło od czasu, kiedy razem włóczyliśmy się po tych wzgórzach.

– Ale dopiero w ciągu ostatnich kilku tygodni – rzekł Ben. – Jesteś zmartwiony, Asa. Co cię niepokoi?

– Hiram. Miał tylko odprowadzić Włóczęgę i zaraz wracać.

– Włóczęgę?

– Tego mastodonta.

– Wróci. Na pewno natknął się na jakiegoś świstaka.

– Czy nie rozumiesz jeszcze, że gdyby cokolwiek stało się Hiramowi, byłby to koniec wszelkich interesów?

– Wiem o tym – przyznał. – Ale nie wierzę, żeby mu się coś stało. Da sobie radę, sam jest po części jak dzikie zwierzę.

Staliśmy jeszcze przez jakiś czas, rozglądając się za Hiramem. Wreszcie Ben powiedział:

– Wrócę i zobaczę, jak przebiegają pertraktacje.

– Idź sam – odparłem. – Ja poszukam Hiramama.

Mniej więcej po godzinie natknąłem się na niego, jak wychodził z kępy dzikich jabłonek rosnącej u stóp wzgórza.

– Gdzie się podziewałeś, do diabła? – powiedziałem.

– Miałem dłuższą rozmowę z Kociopyskiem, panie Steele. W ciągu ostatnich dni robiliśmy wyprawę w teren i nie miałem okazji z nim pogadać. Obawiałem się, że zacznie mu dokuczać samotność.

– A zaczęła mu dokuczać?

– Nie – odparł Hiram. – Przynajmniej tak twierdzi. Chciałby już przystąpić do pracy. Pragnie otwierać dla nas tunele czasowe. Zastanawia się, dlaczego to trwa tak długo.

– Muszę z tobą porozmawiać, Hiramie. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale jesteś jedną z najważniejszych osób w całym przedsięwzięciu. Tylko ty potrafisz porozumieć się z Kociopyskiem.

– Bowser też umie z nim rozmawiać.

– Może i tak, ale z tego nic nie wynika, ponieważ ja nie umiem rozmawiać z Bowserem.

Wyłożyłem mu w szczegółach całą sytuację. Wyjaśniałem mu i powtarzałem to samo po kilka razy.

W końcu obiecał, że się poprawi.

ROZDZIAŁ 23

Kiedy wróciliśmy z Hiramem do domu, przy stole siedziała Rila z mecenasem. Pozostali zniknęli, nie było też jednego samochodu.

– Ben zabrał ich na przejażdżkę – wyjaśniła Rila. – Martwiliśmy się o ciebie.

– Szukałem Hirama.

– Zostałem, ponieważ jest kilka spraw, które chciałbym z wami omówić na osobności – rzekł mecenas.

– Chodzi o urząd skarbowy? – zapytałem.

– Nie. Władze skarbowe zaczną węszyć dopiero wtedy, gdy dowiedzą się o umowie podpisanej z Safari Inc.

– Do czego doprowadziły negocjacje? Domyślam się, że dobiliście targu.

– To nie trwało zbyt długo – stwierdził McCallahan. – Byli przyparci do muru, nie mieli podstaw, żeby się targować.

– Milion za licencję i ćwierć miliona za każde otwarte przejście – powiedziała Rila. – Chcą mieć cztery tunele, a to oznacza dwa miliony, Asa.

– Na rok – dodał mecenas. – Nie domyślają się jeszcze, że w przyszłym roku podniesiemy ceny. Do tego czasu będziemy ich całkowicie mieli na haczyku.

– Właśnie, to tylko początek – wtrąciła Rila.

– O tym też chciałem z wami rozmawiać. Czy Ben informował was o tej delegacji kościelnej?

– Owszem – mruknąłem. – Chcieli się przenieść w czasy Chrystusa.

– Killkoro z nich przyszło wczoraj do mnie – rzekł McCallahan. – Ben ich skierował. Absolutnie nie mogłem ich rozgryźć. Nie wiem, o co im chodzi. Są zainteresowani, ale nie potrafili niczego sprecyzować. Nie wiem, czy w ogóle warto tracić na nich czas.

– Mnie się to nie podoba – powiedziałem. – Cała ta sprawa śmierdzi. Przynajmniej na początku powinniśmy unikać wszelkich kontrowersyjnych propozycji. Trzeba dbać o dobre imię firmy. Nic wolno nam dopuścić, żeby wszyscy w tym kraju, a nawet na całym świecie obrócili się przeciwko nam.

– Ja też tak uważam – stwierdziła Rila. – Co z tego, że zarobimy dodatkowe pieniądze, jeśli narazimy się na poważne kłopoty.

– Podzielam wasz pogląd – rzekł mecenas. – Tamci mają jeszcze raz do mnie przyjść. Spróbuję się ich pozbyć. Miałem jeszcze jednego gościa, senatora Abła Freemore'a z Nebraski, czy z Kansas, nie pamiętam dokładnie. Chciał się umówić na spotkanie ze mną, ale sekretarka delikatnie go odprawiła. Senatora Stanów Zjednoczonych nie da się jednak tak łatwo spławić. W najbliższych dniach będę musiał wysłuchać jego propozycji.

– Nie domyśla się pan niczego? – zapytała Rila.

– Nie. Wiem, że jest wielkim orędownikiem swobód w rolnictwie, zaciekle broniącym biednych, uciśnionych farmerów. Ale to nie wszystko. Na każdą okazję ma inny wizerunek krwawiącego serca. Obawiam się, że z jakąkolwiek wystąpi propozycją, nie będzie to nic dobrego.

– Coś jeszcze? – zapytałem.

– Nie. To dopiero początek. Wszyscy przyjęli wyczekującą postawę. Ludzi zżera ciekawość, ale na razie górę bierze wrodzony sceptycyzm. Chcą się przekonać, co z tego wyniknie. Jeśli ktoś z pierwszego safari wróci z zabitym dinozaurem, wtedy ruszy lawina. Do tego czasu będziemy

mieć do czynienia głównie z oportunistami i krętaczami. Weźcie chociażby tego inżyniera górnictwa, który chciałby przenieść się w rejon Czarnych Wzgórz i prostym sposobem zebrać złoto. Nie ma pieniędzy i skłonny byłby oddać nam połowę tego, co znajdzie, to znaczy połowę tego, do czego musiałby się przed nami przyznać. Nawet mi się spodobał. To typowy okaz pirata pozbawionego wszelkich zasad i uznającego, że każda metoda jest dobra. Czy to nie był twój pomysł, Rila, żeby zorganizować wyprawę do Afryki Południowej i pozbierać z powierzchni ziemi wszystkie diamenty?

– Tak, przyznaję się do autorstwa – odparła Rila. – Pewnie nic by z tego nie wyszło. Możliwe, że na powierzchni wcale nie leżało tak wiele diamentów. Ale na początku brzmiało to pięknie.

– Organizowanie safari wydaje się najprostszym, najmniej kłopotliwym sposobem zarobienia pieniędzy. Powinniśmy sobie z tym poradzić i chyba nie czai się tu żadne niebezpieczeństwo. Zastanawia mnie tylko, dlaczego dotychczas nie pokazał się żaden z naukowców i intelektualistów, których się spodziewaliście. Powinni się już zjawić z propozycjami podglądania technik malarzy jaskiniowych, badania trybu życia neandertalczyków czy też obserwacji z ukrycia bitwy pod Maratonem albo Waterloo.

– Najpierw musimy ich przekonać – stwierdziła Rila. – Pograżeni w wygodnych zaciszach swych akademickich kryjówek, dowodzą sobie nawzajem, że to niemożliwe.

– Jest jeszcze jeden rodzaj propozycji, jakich możemy się spodziewać – kontynuował McCallahan. – Niemal o tym zapomniałem. Chodzi mi o miłośników genealogii, ludzi, którzy daliby duże pieniądze za odtworzenie własnego drzewa genealogicznego. Wydaje się, że zyskali teraz możliwość bardzo kosztownego, ale osobistego zbadania historii swych rodów. Mogliby nie tylko odtworzyć genealogię, lecz cofnąć się w czasie i

porozmawiać, albo nawet zrobić zdjęcia swych starożytnych przodków, Praprapradziadek Jake był koniokrądem i został powieszony – tego typu bzdury. Pewnie na razie obmyślają sposoby, jak nas podejść, ale na pewno się pojawią. Myślę też, że otrzymamy jeszcze inne propozycje. Trudno przewidzieć wszystkie możliwości. Nie wiemy, do czego ludzie chcieliby generalnie wykorzystać podróże w czasie i kto szczególnie byłby nimi zainteresowany. Mam wrażenie, że z upływem czasu możemy gościć różnych specjalistów od ropy naftowej, węgla czy rudy żelaza. Wszystkie zasoby naturalne muszą spoczywać w przeszłości nienaruszone.

– Myślałam już o tym – odparła Rila. – To poważny problem. Zastanawia mnie na przykład coś takiego: w przeszłości wszystkie zasoby naturalne są nienaruszone, to jasne. Nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy je wykorzystali. Nie ulega wątpliwości, że moglibyśmy to zrobić. Lecz w takim razie co by się zdarzyło w dziewiętnastym i dwudziestym wieku? Czy wydobywano by tam nadal wszystkie kopaliny? Odpowiedź musi być twierdząca, ponieważ wiemy z historii, że je wydobywano. Jeśli myślałeś już o paradoksach, to masz tu jeszcze jeden klasyczny przykład.

– Trudno mi coś powiedzieć, Rila. Podejrzewam, że w naszym rozumowaniu jest jakaś luka, że musielibyśmy zupełnie inaczej podejść do tego typu zagadnień. W chwili obecnej mamy inne problemy. Na razie nie zamierzam zawracać sobie tym głowy.

ROZDZIAŁ 24

Zaczął się okres wyczekiwania. Ludzie z Safari stwierdzili, że pierwszą wyprawę zorganizują za jakieś dziesięć dni, może dwa tygodnie. Urządziliśmy kilka następnych wycieczek po okolicy. Podziwialiśmy stada mastodontów i bizonów. Odkryliśmy jeszcze jedną kolonię olbrzymich bobrów. Kilkakrotnie dostrzegliśmy niedźwiedzie oraz koty, ale żaden z nich nie był tygrysem szablozębnym. Zacząłem się już zastanawiać, czy nie były na wymarciu albo zniknęły całkowicie, lecz wydało mi się to mało prawdopodobne. Pewnego razu Rila sądziła, że dojrzała glyptodonta, jednego z gigantycznych prehistorycznych pancerników, lecz gdy dojechaliśmy na wskazane przez nią miejsce, nie znaleźliśmy nawet śladów zwierzęcia. Poszukiwaliśmy też koni, ale bez skutku. Widzieliśmy za to mnóstwo wilków i lisów.

Wybraliśmy miejsce na ogródek, Rila uważała bowiem, że powinniśmy wykorzystać dziewiczą glebę, ale jakoś nie mieliśmy czasu, żeby się do niego zabrać. Przeciągnęliśmy natomiast linię telefoniczną z biura Bena, żeby każdy mógł się z nami skontaktować, nie szukając nas osobiście po Mastodonii. Chociaż połączyliśmy się bezpośrednim kablem, nie uzyskaliśmy połączenia. Widocznie sygnał nie przechodził przez dziurę w czasie oddzielającą Mastodonię od wieku dwudziestego. Ben dostarczył sporo stalowych kołków, które pomalowałem na czerwono i powbijałem w ziemię, znacząc w ten sposób wejścia do tuneli, jakimi Kociopysk miał nas połączyć z erą kredy. Drewniane paliki Hirama spełniały swoje zadanie,

lecz stalowe kołki były trwalsze, nie można ich było tak łatwo połamać. Wyznaczyłem w ten sposób kierunki wejścia do czterech tuneli, zostawiając jeszcze sporo kołków do oznakowania przejść po drugiej stronie, kiedy już zostaną otwarte.

Hiram był zajęty, kursował między Kociopyskiem a Włóczęgą – jeśli nie siedział przy jednym z nich, towarzyszył drogiemu. Bowser zwykle łąził razem z nim. Martwiłem się nieco tymi wędrówkami Hiram, widząc oczyma duszy wszelkie kłopoty, jakie mogły go spotkać. Jednak nic złego się nie zdarzyło. Przekonywałem siebie, że takie zamartwianie się nie ma sensu, ale to było silniejsze ode mnie.

Któregoś popołudnia siedziałem z puszką piwa przy stoliku na podwórku. Rila była w domu, szykowała jakąś wymyślną sałatkę na obiad. Dokoła panowała jak zwykle niezmacona cisza. W pewnej chwili ujrzałem idącego w górę zbocza Hiram. Przyjrzałem mu się, a następnie poszukałem wzrokiem Bowsera. Znajdował się w pewnej odległości za Hiramem i biegał z nosem przy ziemi, jakby chwycił ciekawy trop.

Nagle Hiram krzyknął głośno z przerażenia i pochylił się mocno do przodu. Padł na kolana, ale zaraz poderwał się i zaczął kręcić w kółko, jakby jedna stopa ugrzęzła mu w potrzasku. Bowser położył uszy po sobie i rzucił się pędem ku niemu. Skoczyłem na równe nogi i pobiegłem w dół zbocza. Krzyknąłem jeszcze na Rilę, ale nie oglądałem się, by sprawdzić, czy usłyszała.

Hiram wrzeszczał jak opętany, wydając z siebie przeciągłe, nieludzkie jęki. Siedział na ziemi i zgięty wpół trzymał się za lewą nogę. O kilka metrów od niego Bowser rzucił się na coś skrytego w trawie, poderwał łeb i zaczął potrząsać nim wściekle, zaciskając mocno zęby. Jeden rzut oka wystarczył, by rozpoznać, co miał w pysku.

Dopadłem Hiram, chwyciłem go za ramiona i siłą położyłem na ziemi.

– Puść tę nogę! – krzyknąłem. – Połóż się!

Hiram przestał wrzeszczeć, za to zaczął jęczeć:

– Ukąsił mnie, panie Steele! Ukąsił!

– Leż spokojnie – powiedziałem. – Cicho bądź.

Posłuchał i legł na ziemi, ale nie przestał jęczeć.

Wyciągnąłem z kieszeni scyzoryk i przeciąłem mankiet lewej nogawki jego spodni. Kiedy odchyliłem materiał, ujrzałem ciemniejącą ranę i dwie błyszczące, drobniutkie kropelki krwi. Rozciąłem nogawkę dalej, a następnie kilkoma szarpnięciami rozprułem ją niemal do końca uda.

– Asa! – szepnęła za moimi plecami Rila. – Asa! Asa!

– Poszukaj patyka – zwróciłem się do niej. – Byle jakiego. Musimy założyć mu opaskę zaciskową.

Rozpiąłem pasek od spodni, wyciągnąłem go ze szlufek i założyłem na nodze Hiram, trochę powyżej rany. Rila kucnęła po drugiej stronie leżącego, naprzeciwko mnie. W dłoni trzymała kawałek uschniętej gałęzi. Wsunąłem patyk pod pasek i skręciłem go.

– Potrzyмай – rzekłem. – Tylko mocno.

– Dobra – odparła. – To był grzechotnik. Bowser go zagryzł.

Skinąłem głową. To samo wywnioskowałem na podstawie śladów. Żaden inny północnoamerykański wąż żyjący w tych szerokościach geograficznych nie był w stanie zadać tak dużej rany.

Hiram przycichł nieco, ale wciąż pojękiwał.

– Trzymaj się – powiedziałem. – To trochę zaboli.

Nie czekałem na jego protesty. Ostrzeżenie było jedynie gestem uczciwości.

Naciąłem mu głęboko skórę na nodze wzdłuż linii przebiegającej przez dwa ślady po zębach węża. Hiram zawył i próbował usiąść, lecz Rila wolną ręką pchnęła go z powrotem na ziemię.

Przyłożyłem usta do rany i zacząłem ssać. Poczulem na języku słoną, ciepłą krew. Ssałem i wypluwałem, ssałem i wypluwałem. Modliłem się do Boga, by w moich ustach nie było jakiegoś skałeczenia. I tak było zresztą za późno. Nawet gdybym wiedział o jego istnieniu, zrobiłbym to samo.

– Zemdlał – oświadczyła Rila.

Bez przerwy ssałem i wypluwałem. Podszedł Bowser, usiadł i patrzył na nas z zaciekawieniem.

Hiram jęknął.

– Wraca do siebie – mruknęła Rila.

Zrobiłem krótką przerwę, po czym zacząłem ponownie ssać. W końcu usiadłem prosto. Z pewnością wyssałem z rany przynajmniej część jadu. Przykucnąłem na piętach i poluzowałem nieco opaskę, lecz po kilku sekundach zacisnąłem ją z powrotem.

– Zawróć jeden z samochodów. Jedziemy do Willow Bend – odezwałem się do Rili. – Musimy zabrać Hiram do szpitala. Poniosę go.

– Dasz radę nieść go i trzymać jednocześnie opaskę?

– Chyba tak – odparłem, po czym zwróciłem się do Hiram: – Obejmij mnie ramionami za szyję. Najmocniej jak potrafisz. I trzymaj się. Mam tylko jedną wolną rękę, żeby cię unieść.

Uwiesił się na mnie. Po kilku próbach udało mi się go dźwignąć i zacząłem powoli iść pod górę. Okazał się cięższy, niż sądziłem. Rila pobiegła w kierunku samochodu. Zawróciła w miejscu i otworzyła drzwi. Wtasczyłem Hiram na tylne siedzenie i wsunąłem się za nim.

– Wskakuj, Bowser! – zawołałem.

Pies wśliznął się do wozu. Rila ruszyła zrywem.

Zahamowała przed tylnym wejściem do budynku administracyjnego i nacisnęła klakson. Niemal natychmiast ze środka zaczęli wysypywać się ludzie. Wyciągnąłem Hiram z samochodu. Pierwszy podbiegł do nas Herb.

- Ukąszenie węża – powiedziałem. – Grzechotnik. Wezwijcie karetkę.
- Daj, ja go wezmę – rzekł Ben. – W dolnej szufladzie po lewej stronie w moim biurku leży butelka whisky. Pewnie nie dałeś mu ani kropli.
- Nie jestem pewien, czy...
- Do cholery, ja jestem pewien! Jeśli mu nie pomoże, to na pewno nie zaszkodzi. Mnie powtarzano, że to zawsze pomaga.

Poszedłem po whisky, a następnie do głównego pomieszczenia od frontu, gdzie Hiram został złożony na leżance. Herb odkładał właśnie słuchawkę telefonu.

– Karetka jest już w drodze – powiedział. – Przyjedzie nią sanitariusz i zabierze Hiram. Rozmawiałem z lekarzem. Nie pozwolił dawać mu alkoholu.

Postawiłem butelkę na biurku.

- Jak się czujesz, Hiramie? – zapytałem.
- Boli – jęknął. – Boli mnie cała noga. Strasznie boli.
- Zawieziemy cię do szpitala, tam zajmie się tobą lekarz. Pojadę razem z tobą.

Herb chwycił mnie za rękę i odciągnął na bok.

- Nie powinienes z nim jechać – syknął.
- Muszę. Hiram jest moim przyjacielem, będzie mnie potrzebował.
- A co z dziennikarzami czyhającymi przed bramą? Na pewno pojadą za karetką i dopadną cię w szpitalu.
- Mam to gdzieś. Muszę ratować przyjaciela.
- Bądź rozsądny, Asa – jęknął Herb. – Zrobiliśmy z ciebie i Rili tajemnicze postacie. Wstydliwych pustelników. Ludzi wyjątkowych. Ten wizerunek jest nam bardzo potrzebny, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.
- Nie obchodzi mnie to. Hiram potrzebuje pomocy.

– W jaki sposób chcesz mu pomóc? Będziesz go trzymał za rączkę? Pilnował, czy lekarze nie zrobią mu nic złego?

– Nie, po prostu posiedzę przy nim.

Zbliżył się do nas Ben.

– Herb ma rację – powiedział. – Ja pojedę z Hiramem.

– To powinno być któreś z nas, albo ja, albo Rila. Raczej ja.

– Rila mogłaby stracić głowę, histeryzować... – zaczął Herb.

– Rila? Histeryzować?

– Jej dziennikarze nie będą naciskać tak mocno jak ciebie – rzekł Ben. – Z pewnością mniej razy niż ty będzie musiała powtarzać, że nie chce z nimi rozmawiać. W ten sposób udowodni tylko, że jest kimś wyjątkowym, ty natomiast...

– Nie macie serca! – wrzasnąłem. – Jesteście obaj łajdakami!

Nic to nie dało. W końcu karetką pojechali Ben i Rila, ja zaś zostałem. Czuję się parszywie. Zdawało mi się, że nie jestem już sobą, że tracę kontrolę, nie mogąc opanować wściekłości i strachu. Zostałem jednak. Uznałem, że po tej stronie tunelu decydować powinni Ben i Herb.

– Znów znajdziemy się na pierwszych stronach gazet – zawyrokował Herb.

Powiedziałem mu dosadnie, co może zrobić ze swoimi pierwszymi stronami gazet. Wyzwałem go od wampirów. Zarekwirowałem butelkę whisky przyniesioną dla Hirama i zamknąłem się w gabinecie Bena, topiąc w alkoholu ponury nastrój. To również mi nie pomogło, nawet nie poczułem szumu w głowie.

Zadzwoiłem do mecenasa i powiedziałem mu, co się stało. Gdy zakończyłem relację, przez długi czas w słuchawce panowała niezmacona cisza. Wreszcie padło pytanie:

– Nic mu nie będzie, prawda?

– Nie wiem – podparłem. – Czekam na wiadomości.

– Hiram to ten, który potrafi rozmawiać z Kociopyskiem, czyż nie tak?

– Owszem.

– Posłuchaj, Asa. Za kilka dni Safari zapragnie zorganizować pierwszą wyprawę do kredy. Czy będziecie w tej sytuacji mogli coś zrobić? Jak przypuszczam, tunele czasowe nie zostały jeszcze otwarte.

– Ja spróbuję porozumieć się z Kociopyskiem i odpowiedziałem. – On mnie słyszy, tyle że ja nie mogę usłyszeć jego. Nie dowiemy się niestety, czy mnie zrozumiał.

– Ale spróbujesz?

– Tak.

– Zobaczymy się za kilka dni. Ten senator, o którym wam mówiłem, chciałby rozmawiać z tobą. Nie ze mną, lecz z tobą. Przyjedziemy razem.

Nie zapytałem, czy wie już, o co tamtemu chodzi. W tej chwili nie obchodziło mnie to.

– Jeśli Hiram nie wydobrzeje, nie ma sensu przywozić go tutaj – stwierdziłem. – To byłby nasz koniec. Rozumie mnie pan, prawda?

– Tak, rozumiem.

W jego głosie pojawił się smutek.

Herb przyniósł mi kanapki i kawę. Nie było jeszcze wiadomości od Rili i Bena. Zamieniliśmy parę słów, wreszcie podszedłem do tylnego wyjścia. Bowser czekał pod drzwiami. Ruszył za mną przez trawnik w stronę domu. Usiadłem na schodkach werandy, a pies przysiadł tuż przy mojej nodze. Wiedział, że stało się coś złego, i próbował w ten sposób dodać mi otuchy.

Stodoła stała jeszcze, a wypaczone wrota zwisały ukosem z zawiasów. Kurnika także nie ruszono, kury spokojnie kręciły się po podwórku, grzebiąc w ziemi. Popatrzyłem na krzew róży, rosnący przy ścianie kurnika

– ten sam, z którego Kociopysk wyjrzał na mnie wówczas, gdy wyszedłem odstraszyć lisa, a w zamian wylądowałem w plejstocenie.

Wszystko to wyglądało po staremu, lecz niezwykłość całej reszty otoczenia sprawiła, że stodoła, kurnik i krzak róży wydały mi się obce. Pajęczyna ogrodzenia dźwigała się wysoko w górę, a wzdłuż niej stały garbate słupy reflektorów. Po tej stronie parkanu przechadzali się strażnicy, na zewnątrz zaś stały gromadki gapiów. Ciekaw byłem, co ich tutaj zatrzymuje. Ewidentnie nie było tu nic do oglądania.

Poczochrąłem sierść na łbie psa.

– Pamiętasz jeszcze, Bowser, jak wyglądało nasze życie? – zapytałem. – Jak chodziłeś tropić świstaki, a ja musiałem siłą ściągać cię do domu. Jak wychodziliśmy wieczorami, żeby zamknąć drzwiczki kurnika. Jak Hiram niemal codziennie wpadał do nas z wizytą. Pamiętasz mieszkającego tu drozda?

Zaciekawilo mnie, czy ptak ciągle jeszcze tu jest. Nie poszedłem jednak sprawdzić. Obawiałem się, że go nie znajdę.

Wstałem i wszedłem do domu, przepuściwszy Bowsera. Usiadłem na krześle przy kuchennym stole. Początkowo miałem zamiar obejść wszystkie pokoje, ale zrezygnowałem. Było tam zbyt cicho, zbyt spokojnie. Pod tym względem kuchnia nie różniła się od pokoi, zostałem jednak. Wciąż jeszcze czułem tu resztki domowej atmosfery. Zawsze lubiłem kuchnię, stanowiła dla mnie główne pomieszczenie tego domu. Spędzałem w niej wiele czasu.

Zaszło słońce, zapadł zmrok. Na zewnątrz zapalono reflektory. Wyszedłem z Bowserem i usiedliśmy znowu na schodkach werandy. W ciągu dnia farma wydawała mi się dziwna i obca. Teraz, z nastaniem nocy, kiedy zapłonęły reflektory, przypominała scenerię koszmarnego snu.

Po jakimś czasie zjawiła się Rila.

– Hiram wyjdzie z tego – oznajmiła. – Ale musi przez jakiś czas zostać w szpitalu.

ROZDZIAŁ 25

Następnego ranka wyruszyłem na poszukiwania Kociopyska. Nie znalazłem go. Kilka razy penetrowałem skupisko dzikich jabłonek rosnących w dole wzgórza, przywoływałem go nawet cicho, rozglądając się uważnie. Nie pokazał się jednak. Po kilku godzinach przeszukałem jeszcze sąsiednią kępę drzew.

W końcu wróciłem dó domu.

– Myślałam o tym, żeby pójść i pomóc ci – powiedziała Rila. – Ale bałam się, że go przestraszę. Ciebie zna od dłuższego czasu, a ja jestem kimś obcym.

Przygnębieni, usiedliśmy przy stoliku przed domem.

– A jeżeli go nie znajdziemy? – zapytała Rila. – Może on wie, co się przydarzyło Hiramowi, i ukrył się do czasu jego powrotu?

– Jeśli go nie znajdziemy, to trudno – rzuciłem.

– A Safari...

– Wtedy Safari będzie musiało poczekać. Nie wiem, czy Kociopysk zrobi coś dla mnie, nawet gdy go odzokam.

– Czy mógł wrócić do Willow Bend? – zapytała. – Do sadu na farmie? Zdaje się, że tam najbardziej lubił przebywać, prawda? Możliwe, że dowiedział się o wypadku Hirma i zapragnął znaleźć się w pobliżu.

W sadzie w Willow Bend niemal od razu natknąłem się na niego. Siedział na jednym z drzew niedaleko domu. Spojrzał na mnie tymi swoimi wielkimi, kocimi oczyma i uśmiechnął się nawet.

– Kociopysku – powiedziałem. – Hiram jest ranny, ale wyjdzie z tego. Wróci za lalka dni. Czy ty potrafisz zamrużyć? Czy możesz zamknąć oczy?

Zamknął oczy i zaraz je otworzył. Powtórzył ten ruch po raz drugi.

– Świetnie. Chciałbym z tobą porozmawiać. Ty mnie rozumiesz, ale ja nie mogę ciebie usłyszeć. Spróbujmy zatem w ten sposób: będę ci zadawał pytania, jeśli zechcesz odpowiedzieć „tak”, mrugnij raz oczyma, jeśli „nie”, zamrugaj dwa razy. Zrozumiałeś mnie?

Zamknął oczy i otworzył je.

– Znakomicie – odparłem. – Czy pojąłeś, co mówiłem o Hirarmie?

Mrugnął raz.

– I wiesz, co to znaczy, że Hiram wróci za kilka dni?

Dał znać, że rozumie.

– Czy gotów jesteś porozmawiać ze mną w ten sposób? Odpowiadać mrugając?

„Tak” – zasygnalizował Kociopysk.

– Nie jest to najlepsza metoda prowadzenia rozmowy, prawda?

Tym razem mrugnął dwukrotnie.

– W porządku. A zatem w Mastodonii... Wiesz, gdzie jest Mastodonia, prawda?

Pokazał, że wie.

– Potrzebne nam są cztery tunele czasowe w Mastodonii. Pomalowanymi na czerwono słupkami wyznaczyłem tam cztery linie, przy czym ostatni palik, na którym wisi czerwona chorągiewka, ma oznaczać miejsce, gdzie chcielibyśmy przekroczyć granicę czasu. Czy rozumiesz mnie?

Kociopysk zasygnalizował „tak”.

– Widziałeś już te słupki i chorągiewki?

Odpowiedział jednym mrugnięciem.

– Posłuchaj teraz uważnie, Kociopysku. Pierwszy tunel czasowy powinien prowadzić siedemdziesiąt milionów lat w przeszłość. Następny o dziesięć tysięcy lat mniej, to znaczy siedemdziesiąt milionów minus dziesięć tysięcy lat.

Kociopysk nie czekał na pytanie, czy rozumie. Mrugnął raz.

– Trzeci tunel – kontynuowałem – znowu o dziesięć tysięcy lat bliżej niż drugi, a czwarty o dziesięć tysięcy lat mniej od trzeciego.

„Tak” – zasygnalizował Kociopysk.

Przeszliśmy przez to jeszcze raz od początku, żeby nie popełnić jakiegoś błędu.

– Czy mógłbyś to zrobić teraz? – zapytałem.

Mrugnął i w tej samej chwili zniknął. Stałem jak głupi, wpatrując się w miejsce, gdzie był jeszcze przed chwilą. Zrozumiałem wreszcie, że potraktował mnie całkiem dosłownie i przeniósł się do Mastodonii, aby przystąpić do otwierania tuneli. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Poszedłem do biura. Ben siedział z nogami opartymi na biurku.

– Wiesz co, Asa? – rzekł na przywitanie. – To najlepsze zajęcie, jakie kiedykolwiek miałem. Podoba mi się.

– A nie musisz zajmować się sprawami banku?

– Zdradzę ci coś w sekrecie: bank poradzi sobie beze mnie. Oczywiście, nie chcę z niego rezygnować, ale nie mam tam nic do roboty. Od czasu do czasu muszę podjąć jakąś decyzję i podpisać kilka papierków.

– Może w takim razie byłbyś łaskaw ruszyć swoją tłustą dupę i udać się ze mną do kredy?

– Do kredy? To znaczy, że ci się udało, Asa?

– Chyba tak, nie jestem pewien. Musimy to sprawdzić. Potrzebuję kogoś do towarzystwa. Mam pietra iść tam w pojedynkę.

– Trzymasz jeszcze w domu te sztucery na słonie?

Skinąłem głową.

– Ale nie idziemy na polowanie. Nie tym razem. Musimy tylko sprawdzić działanie tuneli.

Rila udała się z nami. Rozważaliśmy wyprawę samochodem, ale w końcu ruszyliśmy na piechotę. Byłem niemal święcie przekonany, że dojdziemy, do ostatniego słupka i nic się nie stanie. A jednak. Znaleźliśmy się w okresie kredy. Padał tam drobny, nieprzyjemny deszcz. Wbiliśmy w ziemię przyniesione słupki i przeszliśmy się kawałek – tylko po to, by sprawdzić, czy nie zaszła pomyłka. Spotkaliśmy jednak stadko głupich strusich dinozaurów, które rozpierzchły się na nasz widok.

Pozostałe trzy tunele także funkcjonowały, a po drugiej stronie żadnego z nich nie padało. O ile zdążyłem zauważyć, wszędzie było niemal dokładnie tak samo, nie nastąpiły poważniejsze zmiany na przestrzeni czterdziestu tysięcy lat, a przynajmniej na pierwszy rzut oka nie mogłem dostrzec różnic. Spędzając w przeszłości nieco więcej czasu, pewnie zauważylibyśmy jakieś zmiany. Ale nie o to nam chodziło. Znaczyliśmy tylko wejścia słupkami i wracaliśmy. Jednak przy czwartym przejściu Ben ustrzelił niewielkiego ankylozaura. Chyba roczniaka, gdyż miał nie więcej niż dwa metry długości. Wielki pocisk karabinowy omal nie urwał: mu głowy.

– Na dzisiejszy wieczór mamy kotlety z dinozaura – oznajmił Ben.

W trójkę z ledwością przeciągnęliśmy zwierzę do Mastodonii. Rozpłataliśmy siekierą jego pancerz wzdłuż, a gdy rozpękł się do końca, z niemałym trudem wyciągnęliśmy ze środka ciało stworzenia. Ben odciął jeszcze, jako swoje trofeum, maczugopodobny ogon. Wysunąłem schowany pod przyczepą przenośny piecyk z rusztem i rozpałiłem ogień.

Podczas gdy Ben wycinał :grube płaty mięsa, poszedłem w dół zbocza ku gromadce jabłonek i odnalazłem Kociopyska.

– Chciałem ci podziękować – rzekłem. – Tunele są znakomite.

Zamrugnął szybko, cztery czy pięć razy, uśmiechając się przymilnie.

– Czy mogę coś zrobić dla ciebie? – spytałem.

Mrugnął dwa razy, przecząco.

Mięso dinozaura strusiego, które jedliśmy w czasie wyprawy rozpoznawczej, było bardzo smaczne; tym razem jednak obawiałem się, że możemy bardzo się rozczarować pieczeni. Ankylozaury to strasznie dziwnie wyglądające zwierzęta. Ale nie doznaliśmy zawodu. Dosłownie pożerałem kotlety, nie wstydząc się ilości pochłanianej pieczeni.

Później podzieliliśmy resztę mięsa, włożyliśmy kilka kawałków do naszej lodówki, a większość zapakowaliśmy dla Bena.

– Dziś wieczorem urządzimy ognisko z degustacją steków – rzekł Ben. – Zaproszę grupkę chłopców z prasy. Znowu będą mieli o czym pisać.

Odpadki i szkielet ściągnęliśmy w dół zbocza i tam zakopaliśmy. Gdyby zostały na powietrzu, zasmrodziłyby całą okolicę na dłuższy czas. Stwierdziłem w dwa dni później, kiedy przechodziłem tamtędy, że jakieś zwierzę, prawdopodobnie lis lub wilk, wygrzebało te resztki i zrobiło sobie ucztę. Wokół wałało się jedynie lalka kawałków płyt pancerza

Kiedy Ben odszedł, udaliśmy się z Rilą na spoczynek. Spaliśmy do późna, a potem siedzieliśmy długo przy stoliku, zachwycając się naszą krainą. W końcu wziąłem karabin i poszedłem z Bowserem polować na grzechotniki, ale nie znaleźliśmy żadnego. Później na naszym wzgórzu zjawił się z wizytą Włóczęga Zbliżał się posuwistym krokiem, wysuwając trąbę, żeby łowić wszelkie zapachy, i wachlując uszami. Zdałem sobie sprawę, że trzeba szybko coś zrobić, w przeciwnym razie gotów nas stratować. Zbliżyłem się do niego, podczas gdy Rila z karabinkiem mnie osłaniała. Szedłem powolutku, mając niezłego stracha. Obwąchał mnie dokładnie, a ja pogłaskałem go po trąbie. Zaburczał z rozkoszy.

Przysunąłem się bliżej i zacząłem go drapać po dolnej wardze. Podobało mu się to, robił wszystko, żeby okazać mi przyjaźń. Wreszcie sprowadziłem go w dolinę i przykazałem, żeby został tam i za żadne skarby nie zbliżał się do domu. Pomrukiwał radośnie. Bałem się, że pójdzie za mną z powrotem, ale pozostał u stóp wzgórza.

Tego wieczora siedzieliśmy i podziwialiśmy zapadający zmrok.

– Coś cię niepokoi, Asa – odezwała się Rila.

– Martwię się o Hirama – odparłem.

– Nic mu nie będzie. Za kilka dni wróci do nas.

– Jego wypadek unaoczniał mi, jak bardzo to wszystko jest kruche. Całe przedsięwzięcie opiera się na Hiramie i Kociopysku. Jeśli cokolwiek stanie się jednemu z nich...

– Przecież dogadałeś się z Kociopyskiem, otworzył dla ciebie tunele. Nawet gdyby teraz przydarzyło się jakieś nieszczęście, tunele pozostaną, a przecież one stanowią podstawę naszej umowy z Safari. Rozumiem, że w miarę upływu czasu moglibyśmy realizować inne plany, lecz skoro mamy możliwość organizowania polowań...

– Czy to cię satysfakcjonuje, Rila?

– No, nie. Raczej nie. Ale i tak przyniesie nam to zyski.

– A jednak się martwię.

– Czym się martwisz?

– Spróbuj mnie zrozumieć, postaw się w mojej sytuacji. Kilka dni temu, gdy pojechałaś z Hiramem do szpitala obszedłem farmę. Sam, z Bowserem. Połaziliśmy po podwórzu, posiedzieliśmy na schodkach werandy, jak mieliśmy to kiedyś w zwyczaju. Weszliśmy nawet do domu, ale nie zapuszczałem się dalej niż do kuchni. Usiadłem przy stole i zadumałem się nad tym, co minęło. Czuję się zagubiony. Bez względu na to, co będę

robił i gdzie się udam, będę czuł się tak samo zagubiony. Wiele się zmieniło.

– Nie lubisz zmian?

– Nie jestem pewien. Chyba powinienem je lubić. Mamy teraz pieniądze, bardzo dużo pieniędzy. Możemy podróżować w czasie, a tego nikt przed nami nie doświadczył. Chyba wszystko przez ten wypadek Hirama i świadomość, że stąpamy po niepewnym gruncie...

Objęła rękoma moją dłoń.

– Rozumiem – powiedziała. – Wiem, co czujesz.

– Odczuwasz to samo?

Pokręciła głową.

– Nie, Asa. Nie czuję tego. Nie zapominaj, że jestem nachalną dziwką. Sądzę jednak, że rozumiem twoje uczucia i czuję się trochę winna. To przecież ja cię do tego popchnęłam.

– Nie stawiałem oporu. Nie obwiniaj siebie, nie zdarzyło się przecież nic takiego, za co mogłabyś się czuć winna. Rzecz w tym, że pokochałem moją farmę. Gdy ją ujrzałem przed kilkoma dniami, uświadomiłem sobie, że ją straciłem.

– Chodźmy na spacer – zaproponowała.

Wzięliśmy się za ręce i zeszliśmy w dolinę. Całą Mastodonię przeppełniał kojący spokój. Gdzieś ze wzgórz spłynął przeciągły krzyk lelka. Stanęliśmy zauroczeni. Po raz pierwszy usłyszeliśmy tu lelka, którego obecność była dla nas całkowitym zaskoczeniem. Podświadomie zakładałem, że w tej epoce nie występowały lelki. Jego krzyk zabrzmiał niezwykle swojsko. W mej pamięci odżyły wspomnienia z młodości, kiedy latem łowiłem zapach świeżo skoszonej trawy, dolatujący z pól, i wsłuchiwałem się w dźwięki krowich dzwonków, oznajmiających wychodzenie bydła na pastwiska po południowym udoju. Ogarnęła mnie fala nieoczekiwanego zadowolenia.

Gdy wróciliśmy do domu, przywołałem Bowsera. Niezbyt chętnie wchodził do pustego pokoju Hirma. Po jakimś czasie do naszych uszu doleciały odgłosy jego dreptania i układania się do snu. W kuchni przygotowałem w dzbanku sporą porcję manhattanu i zaniósłem go do saloniku. Siedzieliśmy, sącząc koktajl i odpoczywając.

– Czy pamiętasz ten dzień, kiedy przyjechałam? – zapytała Rila. – Gdy zjawiłam się niespodziewanie po dwudziestu latach?

Skinąłem głową. Pewnie, że pamiętałem. Byłem w stanie odtworzyć chyba każdą minutę tamtego dnia.

– Przez całą drogę do Willow Bend zadawałam sobie pytanie, czy nadejdzie kiedyś taki czas, że będę tego żałowała. Od tamtej pory kilkakrotnie powracało to pytanie. Chcę ci powiedzieć, Asa, że ani przez chwilę nie żałowałam. Teraz nie zadaję już sobie tego pytania. I nie chodzi tu o podróże w czasie, emocje czy pieniądze. Chodzi o ciebie. Ani przez chwilę nie żałowałam, że wróciłam do ciebie.

Odstawiłem szklaneczkę, podszedłem do tapczanu, na którym siedziała Rila, usiadłem obok niej i objąłem ją ramieniem. Siedzieliśmy tak przez dłuższy czas, niczym para szczeniaków, którzy niespodziewanie odkryli, że łączy ich głębokie uczucie. Byłem jej wdzięczny za szczere wyznanie. Pomyślałem, że ze swej strony powinienem odwzajemnić się tym samym, ale nie mogłem znaleźć właściwych słów, by opisać jej moje uczucie. Zamiast tego powiedziałem wprost:

– Kocham cię, Rilo. Chyba zakochałem się w tobie już pierwszego dnia, kiedy cię ujrzałem.

Następnego dnia krótko po południu przyjechał mecenas pożyczonym od Bena samochodem. Towarzyszył mu senator Abel Freemore.

– Przekazuję senatora w twoje ręce – rzekł McCallahan. – Staruszek nie chciał mi nic powiedzieć. Chce porozmawiać z tobą. Zapragnął dotrzeć do

samego źródła. Ponadto dał o sobie znać urząd skarbowy. Miałem wizytę. Nie sądzę jednak, by sprawa senatora miała cokolwiek wspólnego z problemem podatków.

– Skądże znowu – wtrącił senator. – Jak każdy rozsądny człowiek staram się trzymać od nich z dala.

Był mężczyzną wątlej budowy, o typowych rysach farmera. Miał rzadkie, siwe włosy, ogorzałą twarz i zniszczone dłonie. Stał przy samochodzie i rozglądał się.

– A więc to jest Mastodonia – rzekł. – Mecenas opowiedział mi co nieco. Kiedy macie zamiar przystąpić do dzielenia gruntów?

– Nie mamy takiego zamiaru – stwierdziła oschle Rila. – Ta ziemia nie jest naszą własnością.

– Miałem wam przekazać – zwrócił się do nas mecenas – że jutro przyjadą ludzie z Safari. Ben zawiadomił ich już, że tunele czasowe są otwarte. Cieszę się, że zorganizowaliście wszystko.

– Bez trudu – odparłem.

– Chciałbym tu zostać i zobaczyć, jak przebiegnie to pierwsze safari. Senator wyraził podobne życzenie. Czy znajdziecie trochę miejsca, by nas przenocować?

– Mamy dwa wolne pokoje – powiedziała Rila. – Zapraszamy. Jeden z panów będzie tylko musiał pogodzić się z obecnością Bowsera w pokoju.

– Czy jest jakaś szansa na udział w wyprawie? – zapytał senator. – Chciałbym się tylko rozejrzeć, popatrzeć na tamten świat i zaraz wracać.

– To będzie zależało od ludzi z Safari – odparłem. – Proszę porozmawiać z przewodnikiem wyprawy.

Senator popatrzył na mecenasa.

– A pan? – zapytał. – Nie chciałby się pan udać ze mną, jeśli uzyskamy zgodę?

– Sam nie wiem. Widziałem film. Tam aż się roi od krwiożerczych bestii. Muszę się nad tym zastanowić.

Senator rozglądał się jeszcze przez chwilę, mierząc okolicę uważnym spojrzeniem, wreszcie ruszył w kierunku stolika. Rila przyniosła kawę. Freemore siadając wyciągnął w jej stronę swoją filiżankę i Rila napełniła ją.

– Dziękuję ci, moja droga – rzekł. – Jestem starym farmerem i bardzo cenię sobie dobrą kawę.

Zasiedliśmy z mecenasem przy stoliku; Rila napełniła pozostałe filiżanki.

– Przypuszczam, że chyba powinienem zdradzić wcześniej cel mojej wizyty – zaczął Freemore. – Nie jest to żadna propozycja. Nic ważnego i nie mającego związku ani z senatem, ani z rządem. Chciałbym jedynie zadać parę pytań, które kołatają mi się po głowie. – Wylał kilka kropel kawy na stół, po czym pieczołowicie starł je dłonią, jakby chciał zyskać na czasie. – Obawiam się, że weźmiecie mnie za dziecienniałego starca, który ze strachu chowa głowę w piasek. Jest pewien problem, który spędza mi sen z powiek. A w zasadzie dwa problemy. Zastanawiam się, jak najlepiej byłoby je wam przedstawić, żeby nie zabrzmiało to głupio.

Urwał i zamyślił się na chwilę. Byłem pewien, że nie było się nad czym zastanawiać. Po prostu stosował znany wśród mówców chwyt. Widocznie w ciągu minionych lat wiele razy zabierał głos na forum senatu.

– Proszę wziąć pod uwagę dwie związane ze sobą sprawy: stan rolnictwa na świecie oraz wielkie masy ludzi cierpiących nędzę, bo jest takich dużo nawet w naszym kraju; ludzi żyjących w ubóstwie, pozbawionych pracy, znajdujących się na dnie hierarchii społecznej.

Do tej pory potrafimy produkować tyle żywności, że wystarcza dla wszystkich mieszkańców Ziemi. Jeśli gdzieś ludzie głosują jest to tylko wynikiem nierównomiernego podziału, a nie braku żywności. Boję się

jednak, że w niezbyt odległej przyszłości możemy naprawdę zacząć odczuwać jej braki. Meteorolodzy są przekonani, że klimat północnej półkuli, a może nawet całego świata, wkracza w chłodniejszy i bardziej suchy okres. Mówią, że mniej więcej przez ostatnie sześćdziesiąt lat mieliśmy najbardziej sprzyjające warunki pogodowe na przestrzeni wielu stuleci. Ale już teraz zaczyna nam dokuczać brak wody. Olbrzymie połacie ziemi wykorzystywane pod uprawy otrzymują coraz mniej deszczów, a jednocześnie klimat ulega ochłodzeniu. Jeśli utrzyma się ta tendencja, będziemy mieli znacznie krótszy okres wegetacyjny. A to oznacza mniej żywności. Jeśli nawet spadek produkcji rolnej będzie niewielki, powiedzmy dziesięcioprocentowy, to i tak w dość krótkim czasie pojawią się olbrzymie obszary dotknięte plagą głodu. W ciągu tych lat bezsprzecznie wyśmienitej pogody cały świat odnotował wielki postęp społeczny i ekonomiczny, lecz zarazem zwiększyła się populacja. Ponieważ nic nie wskazuje na to, by przyrost demograficzny uległ zahamowaniu, jedynie w kilku rejonach globu boom ekonomiczny będzie w stanie zniwelować te zagrożenia.

Sądzę, że wiecie już, do czego zmierzam. Myśli zawsze prześcigają słowa. W chwili, kiedy pojawiły się możliwości podróżowania w czasie, a muszę przyznać, że początkowo nie dawałem temu wiary, uzyskaliśmy dostęp do niezmiernych obszarów nadających się do rolniczego wykorzystania, co mogłoby z zapasem zrekompensować spadek produkcji żywności, który musi nastąpić, jeśli zgodnie z przypuszczeniami meteorologów klimat ulegnie zmianie.

To pierwszy z moich problemów. Pamiętacie zapewne, że mówiłem o dwóch. Drugi polega na tym, że przed olbrzymią częścią naszej populacji istnieje jedynie perspektywa życia pełnego wyrzeczeń. Wielkie skupiska nieszczęśników tworzą slumsy w dużych miastach, inne grupy można znaleźć porozrzucane po całym kraju, a z pojedynczymi przypadkami

nędzy spotykamy się niemal wszędzie. Doszedłem do wniosku, że część tych ludzi można by wysłać w przeszłość, na jakieś dziewicze tereny, gdzie zyskaliby szansę ułożenia życia na nowo. O ile mogę sobie to wyobrazić, staliby się kolejnym pokoleniem pionierów przewiezionych na nowe ziemie, gdzie otrzymaliby grunty na własność, mieli dostęp do wszystkich bogactw naturalnych i mogliby stworzyć nową, zdrowszą cywilizację. Oczywiście, mam tę smutną świadomość, że wielu spośród nich nie nadaje się do pionierskiego życia. Ich ubóstwo i uzależnienie, pogarda, z jaką traktują struktury społeczne, oraz rozgoryczenie własnym losem mogą spowodować, że ludzie ci nie będą zdolni stanąć na własnych nogach. Możliwe, że bez względu na otoczenie, w jakim by się znaleźli, byłiby równie nieszczęśliwi jak obecnie...

– Ale przynajmniej my mielibyśmy ich z głowy – wtrąciłem.

Senator gwałtownie zwrócił ku mnie twarz.

– To nie fair, młody człowieku – rzekł. – Takie zdanie jest niegodne pana.

– W pańskich ustach zabrzmiało to wszystko niezwykle prosto, ale tak nie jest – powiedział mecenas. – Podobna operacja kosztowałaby masę pieniędzy. Chyba nie wyobraża pan sobie, że ot tak wyrwiemy tych ludzi z naszej rzeczywistości, przeniesiemy do innej epoki i powiemy im: teraz radźcie sobie sami. Rząd i całe społeczeństwo musiałyby wziąć na siebie odpowiedzialność za nich. Trzeba by im zapewnić przyzwoity start. Poza tym mam wrażenie, że większość z nich odmówiłaby przeniesienia się w przeszłość. Oczywiście, dostrzegam zalety takiego rozwiązania. Można by zdecydowanie zmniejszyć wydatki na pomoc socjalną i sądzę, że to byłoby pańskim koronnym argumentem, gdyby przystąpił pan do rozpowszechniania swej koncepcji. Ale nie ma pan prawa dążyć do redukcji

tych wydatków, przenosząc ludzi w dzikie ostępy i oświadczając, że umywa pan od nich ręce.

Senator skinął głową.

– Z pańskiego wyvodu wynika, że jestem co najmniej potworem. Chyba nie wierzy pan, że pominąłem w swoich rozważaniach wszystkie wymienione przez pana czynniki. Program ten, gdyby doszło do jego realizacji, musiałby być niezwykle drobiazgowo opracowany. Wstępne koszty z pewnością kilkukrotnie przekroczyłyby cały budżet pomocy socjalnej. Humanitarne aspekty podobnej wędrówki ludów musiałby być traktowane na równi z ekonomicznymi. Z nikim jeszcze nie rozmawiałem na ten temat, chciałem najpierw usłyszeć wasze zdanie. Na podstawie waszych chytrych posunięć wywnioskowałem, że sprawa podróży w czasie musi być czymś pewnym. Oferujecie przecież swe usługi, wkraczacie w wielki interes. Osobiście jestem jednak głęboko przekonany, że powinniśmy traktować podróże w czasie jako sprawę o znacznie szerszym zasięgu, podlegającą pewnym regulacjom prawnym. Ale przystępując do tego jako mieszkańcy tak zwanej Mastodonii, dość skutecznie zamknęliście wszelkie możliwości manewru. Nie wiem jednak, czy koncepcja Mastodonii wytrzyma ataki w sądzie...

– Jesteśmy przekonani, że tak – odparł mecenas. – Uważam, że nie ma sposobu zakwestionowania jej.

– To tylko bief – stwierdził senator. – Zwykła prawnicza zasłona. Owszem, mam przecucie, że wybronilibyście się, ale na razie nie ma to większego znaczenia. Chciałem jedynie poznać wasz stosunek do mojego projektu i przekonać się, na ile można liczyć na waszą współpracę.

– Nie możemy udzielić żadnej odpowiedzi – rzekł mecenas posępnym, adwokackim tonem. – Musielibyśmy otrzymać konkretne propozycje i szczegółowo je rozpatrzyć. Sam pan rozumie, że zgoda na realizację

pańskiego projektu oznaczałaby dla nas konieczność rezygnacji z rozległych czasowo obszarów, a co za tym idzie utratę możliwości sprzedaży licencji innym chętnym.

– Oczywiście, rozumiem – rzekł Freemore. – Jeśli już o tym mowa, dotknęliśmy sedna sprawy. Czy bylibyście skłonni uczestniczyć w realizacji mojego projektu w ramach ofiary na cele socjalne? Nie muszę chyba mówić, że gdybyście zażądali takiej samej ceny, jaką oferujecie innym, choć wysokości tejże mogę się jedynie domyślać, cały projekt ległby w gruzach. Nikt nie wyraziłby na niego zgody. Jego koszty byłyby wystarczająco wysokie i bez opłat dla spółki „Czas” za otwarcie tuneli.

– Jeśli odwołuje się pan do naszego sumienia – stwierdził McCallahan – to bylibyśmy skłonni wyrazić zgodę. Ale na tym etapie nie chcemy się jeszcze do czegokolwiek zobowiązywać.

Senator obrócił się do mnie.

– Gdyby ów projekt miał być realizowany, to gdzie w przeszłości znalazłoby się najlepsze miejsce dla tych ludzi? – zapytał. – Tutaj? W Mastodonii?

Nie zdążyłem odpowiedzieć.

– Na pewno nie w Mastodonii – rzekła Rila. – My się tu osiedliliśmy i nie oddamy nikomu tej krainy.

ROZDZIAŁ 26

Pierwsza grupa na safari zjawiała się krótko po południu. Tworzyło ją około dwudziestu pięciu osób, które przyjechały dwiema wielkimi ciężarówkami i trzema pojazdami terenowymi z napędem na wszystkie koła. Sprzęt przerzucono do Minneapolis samolotem wraz z trzema uczestnikami wyprawy. Pozostali przylecieli wycarterowanym samolotem pasażerskim. Z Minneapolis cała grupa przyjechała samochodami do Willow Bend. Zaraz przy bramie farmy zostali oblężeni przez dziennikarzy i reporterów telewizyjnych.

– Przez tę konferencję prasową, jeśli można ją w ten sposób nazwać, jesteście tylko opóźnieni o godzinę i nieźle rozdrażnieni – stwierdził prowadzący wyprawę Percy Aspinwall. – Nie mogłem jej jednak przerwać, starałem się zachowywać przyzwoicie. Nasze kierownictwo z Nowego Jorku chciałoby mieć jak najlepszą prasę.

– To, przez co dzisiaj przeszliście – powiedziałem – to jeszcze nic w porównaniu z tym, co was czeka po powrocie, zwłaszcza jeśli przywieziecie imponujące trofea.

– Cieszę się, że mam okazję porozmawiać z panem, Steele. Liczyłem na to, że znajdzie pan dla mnie trochę czasu. Proszę mi powiedzieć parę słów o tym, czego należy się tam spodziewać. Jest pan jednym z trojga ludzi, którzy byli już w kredzie.

– Spędziliśmy tam niewiele ponad jeden dzień. Widzieliśmy mnóstwo okazów fauny. Pełno tam dziwacznych zwierząt, wyglądających

niezupełnie tak, jak opisują je paleontolodzy. Widział pan film zrobiony przez Rilę?

– Tak. Dobra robota. Ale byłem nieco przerażony.

– Zatem widział pan większość tego, co i my. Macie odpowiedni zapas amunicji?

– Sześćset sztuk. Ten sam kaliber co wasz.

– Proszę przestrzegać jednej zasady: nie czekać zbyt długo, aż klient zabije zwierzę. Jeśli jakieś stworzenie was zaatakuje, a nie będziecie pewni powodzenia, natychmiast wkraczajcie do akcji. Jakich macie klientów?

– To spokojni ludzie – odparł Aspinwall. – Może trochę za starzy jak na mój gust, ale wszyscy polowali już przedtem w Afryce, zanim wprowadzono ograniczenia. Mają doświadczenie, powinni dać sobie radę i nie panikować. Jonathan Fridley i jego żona Jessica. Ona ma na koncie jednego z największych słoń, jakiego kiedykolwiek widziałem. Fridley jest przewodniczącym rady nadzorczej kompanii hutniczej. Trzeci to Horace Bridges, prezes korporacji chemicznej. Cała trójka to twardzi ludzie.

– Nie powinniście mieć zatem większych problemów.

– Chyba nie. Zrozumiemy, jeśli będziemy musieli wkroczyć do akcji.

– Senator Freemore chce udać się z wami. Czy rozmawiał już z panem?

– Dopadł mnie na samym początku. Odmówiłem mu. Nie mogę brać na siebie odpowiedzialności. Chętnie bym go zabrał, ale nie mam zamiaru nadstawiać za niego karku. Był niezadowolony, wręcz wściekły na mnie. Ale nie chcę mieć jeszcze na głowie autostopowiczów. Gdyby zaś pan miał ochotę...

– Nie, dziękuję – odparłem. – Mają się tu zjawić następne grupy, będą potrzebny na miejscu. Poza tym byłem już tam.

– Widzę, że są gotowi do drogi. Muszę iść. Dziękuję, że zechciał pan porozmawiać ze mną.

Wyciągnąłem do niego rękę.

– Powodzenia, Aspinwall – rzekłem.

Stałem w miejscu i przyglądałem się odjeżdżającym samochodom, które jeden za drugim znikwały po dotarciu do wylotu tunelu. Rila odwiozła mecenasa i nadąsanego senatora do Willow Bend. Zszedłem w końcu ku gromadce dzikich jabłonek, aby poszukać Kociopyska. Znalazłem go w gąszczu jednego z drzewek, u zachodniego brzegu kępy. Powiedziałem mu, że właśnie jeden z jego tuneli został wykorzystany, a następne będą użyte w przeciągu kilku dni. Zapytałem go, czy odczuwa satysfakcję. Odparł, że tak. Ciężko było w ten sposób z nim rozmawiać, ale nie miałem innego sposobu, niż zadawanie pytań i liczenie jego mrugnięć zastępujących odpowiedzi. Po jakimś czasie nasza konwersacja zamarła. Stałem jeszcze i patrzyłem na niego z sympatią, on zaś spoglądał na mnie z tym swoim niewyraźnym uśmieszkiem, wyrażającym prawdopodobnie przyjazne uczucia..

Próbowałem wyobrazić sobie jego rzeczywisty wygląd i doszedłem do wniosku, że jakimś sposobem on nie jest stworzeniem z krwi i kości, że nie ma żadnego ciała, a w takim razie nie można jednoznacznie określić, czym jest.

Odkryłem też coś jeszcze. Do tej pory uważałem go po prostu za obcego, za niezrozumiałe i niewytłumaczalne zjawisko. Teraz zacząłem go traktować jak odmienną osobowość, jak drugiego człowieka, którego znam i uważam za swego przyjaciela. Myślałem o tych pięćdziesięciu tysiącach lat spędzonych przez niego na Ziemi i próbowałem sobie wyobrazić, jakie to było dla niego przeżycie. Usiłowałem postawić siebie w jego sytuacji (gdybym mógł istnieć pięćdziesiąt tysięcy lat, co było oczywiście niemożliwe) i wtedy zdałem sobie sprawę, że nie mogę myśleć w ten sposób, nie mogę porównywać się z Kociopyskiem, gdyż stanowimy dwie

całkowicie odmienne istoty. Odtworzyłem w myślach wszystkie jego poczynania i nawiązane w ciągu ostatnich lat znajomości: bezsensowną zabawę z Ezrą i Rangerem w zwierzynę i myśliwego; otwieranie korytarzy czasowych dla Bowsera (swoją drogą, ciekaw byłem, ileż to razy pies zapuszczał się w przeszłość; rozmowy z Hiramem, a w każdym razie próby porozumienia, gdyż Hiram nie mógł zrozumieć pojęć, którymi operował Kociopysk, i w konsekwencji go nie lubił. Wszystko to miało miejsce w ciągu zaledwie kilku ostatnich lat. Jeśli widywali go inni ludzie, to jeżeli pojawiał się przed nimi – uciekali w przerażeniu, Ciekaw byłem, czy w przeszłości nawiązywał jakieś kontakty z Indianami, a jeszcze wcześniej z protoindianami. Czy ci wędrujący koczownicy nie mogli go wziąć za jakiegoś bożka czy ducha? Czy znały go mamuty, mastodonty i starożytne bizona?

Po pewnym czasie usiadłem na ziemi pod drzewem. Kociopysk zszedł nieco niżej, abyśmy nadal znajdowali się naprzeciwko siebie, twarzą w twarz.

Kiedy usłyszałem, że Rila wraca z Willow Bend i wjeżdża na szczyt wzgórza, wstałem i powiedziałem do Kociopyska:

– Przyjdę do ciebie jutro lub pojutrze. Znów sobie porozmawiamy.

Rila przywiozła wiadomość, że przedstawiciele grupy religijnej skontaktowali się z Benem i jutro przyjadą do Willow Bend. Ben przyprowadzi ich do nas na rozmowę. Nadal nie wiedział dokładnie, o co tamtym chodzi.

Przekazała też informację ze szpitala, że Hiram będzie musiał jeszcze tam pozostać przez jakiś czas. Ben odwiedził go w Lancaster kilka dni temu i twierdził, że Hiram nie wygląda dobrze. Hiram wypytywał się o Bowsera, o nas i o Kociopyska. Pytał także, jak ma się Włóczęga. Ale poza tym nie bardzo chciał rozmawiać.

Nazajutrz zjawił się Ben w towarzystwie komitetu stowarzyszenia religijnego. Z trzech mężczyzn mówił tylko jeden, o nazwisku Hotchkiss, pozostali zaś ograniczali się do potakiwania. Dzień był chłodny i pochmurny, wędrowały pasemka mgły, zaprosiliśmy ich więc do saloniku.

Hotchkiss okazał się człowiekiem nie uznającym straty czasu – mocno zbudowanym, o nawiedzonym, posępnym wyrazie kwadratowej twarzy, na której uśmiech wyglądałby po prostu niestosownie. Nie wierzyłem, że ten człowiek zdolny jest się uśmiechnąć.

Od razu przystąpił do sprawy. Normalna wymiana grzeczności została ograniczona do minimum. Nie wyrażał ani zdumienia możliwością podróży w czasie, ani nie podawał jej w wątpliwość. Widocznie uznał ją za fakt. Nie pytał, czy to naprawdę działa, i nie domagał się żadnych dowodów.

– Jesteśmy zainteresowani – rzekł – zdobyciem praw czy też licencji, albo innej formy handlowej, do czasów, kiedy żył Chrystus. Mówię oczywiście o prawach wyłączności. Nikt inny nie mógłby odwiedzać tej epoki.

– Mówiłem już – powiedział Ben – podczas naszej pierwszej rozmowy, że możemy rozpatrywać każdą mieszczącą się w granicach prawa propozycję, ale nie udzielimy odpowiedzi, dopóki nie zapoznamy się szczegółowo z warunkami. Proście o prawa wyłączności znaczącego wycinka historii i musimy wiedzieć, zanim jeszcze rozpatrzymy tę propozycję, czy nie istnieje niebezpieczeństwo konfliktów.

– Jakiego typu konfliktów? – zapytał Hotchkiss.

Ben potrafił jednak cierpliwie tłumaczyć.

– Fragmenty przeszłości mogą być wykorzystywane na wiele sposobów. Chcielibyśmy wiedzieć, co zamierzacie uczynić, a także poznać miejsce, którym jesteście zainteresowani. Musielibyście zapłacić kupę forsy za rezerwację całego świata na przestrzeni kilkudziesięciu lat.

– Mamy odpowiednie fundusze – rzekł Hotchkiss. – Powinny wystarczyć. Jeśli nie, zbierzemy dodatkową kwotę.

– Jest jeszcze jeden czynnik – powiedziała Rila. – Jakakolwiek grupa nosząca się z zamiarem prowadzenia badań w epoce historycznej musi mieć świadomość istniejących zagrożeń. Przeniesienie się w czasy historyczne związane jest z koniecznością takiego postępowania, które nie naruszy biegu wydarzeń. Nikt z mieszkańców danej epoki nie może wiedzieć o wizycie kogoś z przyszłości. Badacze musieliby się ubierać stosownie do czasów, znać zwyczaje oraz język, mieć pojęcie o warunkach...

– Możecie się państwo tym nie martwić – przerwał jej Hotchkiss. – Nie zamierzamy prowadzić badań.

– Jeśli nie chcecie prowadzić badań, jeśli nie macie zamiaru wyprawić się w przeszłość i zobaczyć...

– Właśnie o to chodzi. Nie planujemy wyprawy w przeszłość i nie chcemy, żeby ktokolwiek to czynił. Dlatego chcielibyśmy uzyskać prawa wyłączności.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Zdawało mi się, że każdy teolog dałby sobie obciąć prawą rękę, byle tylko zyskać możliwość zbadania czasów Chrystusa. Na dobrą sprawę niewiele wiadomo...

– Właśnie to jest motywem naszego działania – wyjaśnił Hotchkiss. – Zawsze istniały wątpliwości co do historyczności postaci Chrystusa. Prawie nic o Nim nie wiadomo, istnieją tylko dwie czy trzy wiarygodne wzmianki w literaturze o Jego osobie, a mogą one pochodzić z późniejszych czasów. Nie znamy daty ani miejsca Jego urodzin. Powszechnie przyjmuje się, że przyszedł na świat w Betlejem, lecz nie jest to żaden pewnik. To samo można powiedzieć o każdym innym okresie Jego żywota. Niektórzy badacze kwestionują w ogóle autentyczność postaci Chrystusa. W ciągu wieków rozwinęły się liczne mity związane z Jego osobą, a następnie,

zaakceptowane przez ludzi, stały się rdzeniem, podstawą i osnową całej wiary chrześcijańskiej. Chcemy, żeby tak zostało. Badanie przeszłości mogłoby doprowadzić do unicestwienia religii kształtowanej przez wiele stuleci i stworzyć liczne kontrowersje. Do czego, według pana, doprowadziłoby odkrycie, że Jezus nie urodził się w Betlejem? Co w takim wypadku stałoby się z Bożym Narodzeniem? A gdyby nie znaleziono żadnych dowodów istnienia Trzech Króli?

Urwał i powiódł wzrokiem po naszych twarzach.

– Czy wyraziłem się dość jasno? – zapytał.

– Możemy zrozumieć ten punkt widzenia – odparłem. – Chciałbym się jednak nad tym zastanowić.

– Zanim podejmie pan decyzję o przyjęciu naszej propozycji?

– Tak, właśnie. Proście nas ni mniej, ni więcej o zatrzaśnięcie drzwi przed nosem wszystkich.

– Nie chciałbym, żeby wziął nas pan za ludzi małej wiary – rzekł Hotchkiss. – W rzeczywistości nasza wiara jest wszechmocna. Akceptujemy chrześcijaństwo, w gruncie rzeczy niewiele wiedząc o naszym Panu. Obawiamy się jedynie, że gdyby badania doprowadziły do zrujnowania historii, którą obecnie przyjmujemy, oznaczałoby to zarazem upadek religii chrześcijańskiej. Macie w rękach klucz do przerażającej potęgi. Gotowi jesteśmy wam dobrze zapłacić za to, że go nie użyjecie.

– Zdradźcie nam, proszę, kim jesteście – odezwała się Rila. – Mówicie o sobie w liczbie mnogiej, ale my nic o was nie wiemy.

– Stanowimy komitet, dość pospiesznie założony przez tych wszystkich, którzy bardzo wcześnie rozpoznali potencjalne niebezpieczeństwo, kiedy tylko rozeszła się wieść o odkryciu podróży w czasie. Uzyskaliśmy wsparcie, bądź jego obietnicę, od wielu organizacji kościelnych. Nadal nawiązujemy kontakty ze stowarzyszeniami, które udzielają nam pomocy.

– Chodzi o pomoc finansową?
– Tak, proszę pani, Rozumiemy bowiem, że musimy mieć pieniądze, na wykup tych praw, o których mówiliśmy.
– Owszem, wiele pieniędzy – odparła Rila.
– O ile zdecydujemy się je sprzedać – dodałem.
– Proszę, mi to obiecać – rzekł Hotchkiss. – Albo przynajmniej powiadomić nas, kiedy wpłyną inne oferty. Jestem bowiem przekonany, że takowe się pojawiają. Proszę dać nam szansę zapoznania się z warunkami tych ofert.

– Wątpię, czy będziemy mogli to uczynić – wtrącił Ben. – Raczej nie. Rozważymy jednak waszą propozycję.

Później, gdy stałem przed domem, spoglądając na delegację wracającą z Benem do Willow Bend, poczułem, że nadciągają kłopoty. Akceptacja ich postawy, ich punktu widzenia kłóciła się z moją naturą, nie potrafiłem jednak ani zdefiniować, ani czemukolwiek przypisać targających mną sprzecznych uczuć. Powinienem odczuwać do tych ludzi choćby cień sympatii, gdyż, do tej pory nawet nie zdając sobie z tego sprawy, w głębi duszy także odnosiłem się z rezerwą do penetracji pewnych fragmentów historii ludzkości. Większość tego, co zostało pogrzebane w przeszłości, powinno zostać tam ukryte na zawsze.

– O czym myślisz, Asa? – zapytała Rila.
– Nie podoba mi się to wszystko – odparłem. – Sam nie wiem dlaczego. To po prostu wbrew mej naturze.

– Mam podobne odczucia. Mówili, że mogą dobrze zapłacić, ale nie przypuszczam, by mieli dużo pieniędzy. Gdybyśmy, wymienili sumę miliona, pewnie w ogóle nie byłoby o czym dyskutować.

– Zobaczymy – mruknąłem. – Nie chciałbym mieć z tym nic wspólnego. Odnoszę wrażenie, że to brudna sprawa. Musimy się przekonać, co o tym

sądzą Ben i mecenas.

Tego samego dnia przybyły dwie grupy, które wyprawiliśmy do kredy. Czwarta miała przyjechać za kilka dni.

Ponownie zjawił się z wizytą Włóczęga. Rila nakarmiła go całym zapasem sałaty i marchewki, jaki mieliśmy w lodówce. Na początku długo przeżuwał marchew, lecz gdy w niej zasmakował, nie chciał już sałaty. Sprowadziłem go z powrotem w dolinę, a on przez całą drogę pomrukiwał do mnie.

Później poszedłem na spotkanie z Kociopyskiem. Kiedy nie znalazłem go w Mastodonii, zacząłem przetrząsać sad na farmie. Pogadaliśmy trochę, chociaż szło nam to z trudem, za to posiedzieliśmy razem, okazując sobie nawzajem dowody przyjaźni, co, zdaje się, sprawiało przyjemność Kociopyskowi. Dziwne, ale ja także czerpałem z tego przyjemność. Spotkania z nim poprawiały mi samopoczucie. Miałem niezwykle wrażenie, że on próbuje ze mną rozmawiać. Nie wiem, skąd się ono brało, wyraźnie jednak odczuwałem, że Kociopysk stara się nawiązać ze mną kontakt.

Przypomniałem sobie, kiedy jako chłopak pływałem w Strumieniu Pstrągów – głupia była ta nazwa, gdyż nie występowały w nim pstrągi. Możliwe, że w czasach pierwszych osadników, kiedy przybyli biali, łowiono w nim pstrągi. Strumień wpadał do rzeki powyżej Willow Bend. Nie był duży, w kilku miejscach płynął wąską stróżką, lecz tuż powyżej ujścia do rzeki rozlewał się w szeroką sadzawkę. Kiedy byliśmy mali – to znaczy nasi rodzice uważali, że nie dorośliśmy jeszcze, by pływać w rzece – chlapanie się w tej sadzawce. Miała co najwyżej metr głębokości i nie było tam wyraźnego nurtu. Zdrowy chłopak musiałby się bardzo postarać, żeby utonąć. W upalne letnie dni bawiliśmy się tam godzinami. Najlepiej pamiętałem, że gdy zmęczyło mnie już chlapanie się w głębszej wodzie,

często kładłem się na płytyźnie, opierałem głowę na usianym żwirem brzegu, podczas gdy reszta ciała pozostawała ledwie zanurzona w wodzie. Dobrze było tak leżeć, po pewnym czasie zapominało się o istnieniu całego ciała. Woda była w tym miejscu na tyle płytka, że unosiła mnie z lekka, pozwalając zapomnieć o wadze ciała. W sadzawce żyło pełno płotek i niewielkich okazów, kilkucentymetrowej długości – i kiedy wystarczająco długo leżało się bez ruchu, zaczynały skubać palce u nóg, jakby chciały swymi maleńkimi pyszczkami uszczypnąć skórę. Podejrzewałem; że skubały kawałeczki łuszczącej się skóry, a może także drobne strupki – większość nas miała wówczas małe ranki na nogach od chodzenia bosy. Pewnie dla tych maleńkich płotek niewielkie łuseczki skóry i kawałki strupków stanowiły znakomite pożywienie. W każdym razie, kiedy kładłem się w płytkiej wodzie często odczuwałem dotknięcia rybich pyszczków i skubanie, zwłaszcza w palce u nóg. Budził się wówczas we mnie śmiech, jakaś niepohamowana radość z powodu tak intymnego obcowania z ploteczkami.

To samo odczuwałem w obecności Kociopyska. Czuję, jak jego myśli dobijają się do mojego umysłu i skubią moje szare komórki, dokładnie tak samo jak przed wielu laty maleńkie rybki szczypały me palce u nóg. Było to niesamowite, napawające spokojem wrażenie i podobnie jak w przypadku płotek, narastała we mnie radość, że Kociopysk i ja możemy być tak blisko siebie. Później wytłumaczyłem sobie, że to tylko wytwór mojej wyobraźni, ale kiedy tam siedziałem, odbierałem te wrażenia niezwykle wyraziście.

Kiedy wyszedłem z sadu, udałem się do biura na spotkanie z Benem. Gdy wkraczałem do jego gabinetu, odkładał właśnie słuchawkę. Odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem na ustach.

– Dzwonił mecenas – rzekł. – Otrzymał poważną propozycję od grupy filmowców. Chcieliby nakręcić film ukazujący historię Ziemi, poczynając od prekambriu.

– To gigantyczne przedsięwzięcie – stwierdziłem. – Czy oni wiedzą, ile to zajmie czasu?

– Chyba tak. Zdaje się, że ten pomysł zawładnął nimi bez reszty. Chcą zrobić bardzo szczegółowy film i gotowi są poświęcić na to wiele czasu.

– Czy zdają sobie sprawę, że w odległej prehistorii będą musieli skądś czerpać tlen? Wolny tlen w atmosferze pojawił się w większych ilościach dopiero w sylurze, jakieś czterysta milionów lat temu, a może nawet później.

– Sądzę, że wiedzą. Chyba nawet wspominali o tym mecenasowi. Są raczej niezłe przygotowani.

– Czy McCallahan wyczuł ich prawdziwe intencje? Spodziewałbym się raczej, że woleliby nakręcić tani i tuzinkowy film z wykorzystaniem którejs z epok prehistorycznych jako tła, a nie coś tak ambitnego. To pochłonie miliardy. Będą musieli zatrudnić grupę naukowców, potrafiących zinterpretować sfilmowane rzeczy.

– Masz rację co do kosztów – rzekł Ben. – Mecenas twierdzi, że będziemy mogli uszczknąć sporą część ich budżetu.

To była dobra wiadomość i powitałem ją z radością, ponieważ dotychczas podpisaliśmy tylko jedną umowę z Safari Inc.

– Rozmawiałeś z McCallahanem o komitecie Chrystusowym?

– Tak. Nie przywiązuje do tego specjalnej wagi. Wyraził wątpliwość, czy tamci potrafiliby zebrać odpowiednią kwotę. Co prawda, mówili o szerokim wsparciu Kościoła lecz jest mało prawdopodobne, aby cokolwiek z tego wyszło.

– To fanatycy – stwierdziłem – a ci zawsze mają pod górkę. Wydaje mi się, że powinniśmy ich skreślić.

Po czterech dniach wróciła jako pierwsza wyprawa numer trzy, znacznie skracając czas pobytu w przeszłości. Dopisało im szczęście: sześć wielkich triceratopsów, trzy łby tyranozaurów i cały stos innych trofeów. Safari miało trwać dwa tygodnie, ale jeden z myśliwych rozchorował się i zażądał powrotu.

– To zwykły tchórz – powiedział mi jeden z uczestników wyprawy. – Zresztą tam było strasznie. Facet dobrze strzelał, ale nie wytrzymał. Na Boga, ja też miałem dość. Kiedy podnosi się głowę i nagle spostrzega potwora z rozdziawioną paszczą pełną ostrych kłów, każdy zmieniłby się w roztrzęsioną galaretę. Teraz, gdy wróciliśmy, zaraz poczuje się lepiej. Jak tylko miniemy bramę i obstąpi nas tłum dziennikarzy, znów będzie wielkim, nieustraszonym łowcą o nerwach ze stali. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Pozwólmy mu odegrać tę komedię. Zrobi nam reklamę.

Staliśmy z Rilą, śledząc wzrokiem kolumnę wozów, które zjeżdżały w dół zbocza i znikały kolejno w tunelu wiodącym do Willow Bend.

– Stało się – mruknęła Rila. – Kiedy tylko zdjęcia tych trofeów zostaną pokazane w telewizji i opublikowane w prasie, wszyscy przekonają się, że podróże w czasie są faktem. Nie będziemy musieli już niczego udowadniać.

Następnego ranka, nim jeszcze wstaliśmy z łóżka, Herb załomotał do drzwi. Otworzyłem mu, mając na sobie szlafrok i kapcie.

– Co się stało? – zapytałem.

Pomachał mi przed nosem egzemplarzem *Tribune* z Minneapolis.

Wyrwałem mu go z ręki. Na pierwszej stronie ujrzałem zdjęcie naszego klienta–myśliwego, pozującego obok ustawionego w pionie łba tyranozaura. Nagłówek przez sześć kolumn obwieszczał triumfalny powrót z pierwszego safari. Kilkanaście centymetrów niżej, na dolnej połowie

strony, oddzielony ramką szerokości dwóch kolumn, znalazłem inny nagłówek, który głosił:

*UGRUPOWANIE KOŚCIELNE PROTESTUJE
PRZECIWKO DYSKRYMINACJI KANDYDATÓW
DO PODRÓŻY W CZASIE*

Notka zaczynała się od słów:

Nowy Jork, N.Y.

Doktor Elmer Hotchkiss, przewodniczący niezależnego komitetu kościelnego powołanego do zapobiegania wszelkim badaniom epoki oraz życia Jezusa Chrystusa, oświadczył dziś, że spółka „Czas” odmówiła komitetowi sprzedaży praw wyłączności wycinka czasu obejmującego ten okres historyczny...

Opuściłem gazetę i zwróciłem się do Herba:

– Wiesz przecież, że to nieprawda. Nie odmówiliśmy...

Ale Herb aż kipiał z podniecenia.

– Nie rozumiesz?! – wrzasnął. – Ta notatka podsyci jedynie spór. Nim dzień dobiegnie końca, wszystkie organizacje kościelne i teolodzy z całego świata rzucają się na nas jak sępy. Nie zrobi nam to dobrej reklamy, Asa!

W drzwiach stanęła Rila.

– Co się dzieje? – zapytała.

Wręczyłem jej gazetę.

Poczułem ucisk w żołądku.

ROZDZIAŁ 27

Hiram nadal przebywał w szpitalu. Po raz kolejny ruszyłem na poszukiwanie Kociopyska i znalazłem go w sadzie. Powtarzałem sobie, że chcę utrzymań z nim kontakt tylko po to, żeby nie czuł się osamotniony. Hiram spotykał się z nim prawie codziennie, sądziłem zatem, że dopóki leży w szpitalu, ktoś inny powinien się tym zająć. W głębi umysłu wciąż miałem te maleńkie rybki podskubujące moje szare komórki i mimo woli ciekawiło mnie, czy przy kolejnym spotkaniu znów odczuję to samo. Miałem pewne niejasne przeczucia, niemniej byłem tym zafrapowany. Przyszło mi do głowy, że być może są to oznaki kierowanych do mnie myśli Kociopyska; jeśli tak było faktycznie, z pewnością przydałby mi się jakiś tłumacz. Zadawałem sobie pytanie, czy Hiram odbiera to tak samo, a tylko jakieś nietypowe połączenie w jego mózgu pozwala mu zrozumieć przekazywane treści. Może na tej samej zasadzie Hiram potrafił przemawiać do Bowsera czy do drozda, o ile naprawdę nawiązywał kontakt.

Kiedy znalazłem Kociopyska, nie musiałem zbyt długo czekać na odpowiedź. Niemal od razu pojawiły się płoteczki podskubujące mój umysł.

– Próbujesz ze mną rozmawiać, Kociopysku? – zapytałem.

Mrugnął potakująco.

– Jak sądzisz: czy uda ci się tego dokonać?

Szybko zamrugał trzykrotnie, raz za razem, co zdumiało mnie trochę, po chwili jednak doszedłem do wniosku, że musiało to oznaczać niepewność.

– Mam nadzieję, że ci się uda – powiedziałem. – Bardzo chciałbym z tobą porozmawiać.

Mrugnął raz, twierdząco, co miało chyba oznaczać, że on również tego pragnie.

Nie mogliśmy się jednak porozumieć. Odnosiłem wrażenie, że pomimo znacznie większej natarczywości skubiących mnie tym razem płoteczek, tą drogą do niczego nie dojdziemy. Przez jakiś czas za wszelką cenę starałem się otworzyć przed nimi umysł, lecz na nic się to zdało. Widocznie ze swej strony nie mogłem nic zrobić. Jeśli kontakt myślowy w ogóle był możliwy, wszystko zależało chyba od Kociopyska. Zapewne sądził, że istnieje jakaś szansa, w przeciwnym razie w ogóle by nie próbował. Doszedłem jednak do wniosku, że to tylko moje pobożne życzenia.

Pod koniec naszej sesji oceniłem, że nie posunęliśmy się nawet o krok dalej niż w trakcie pierwszego spotkania, kiedy zacząłem odbierać owe wrażenia.

– Wrócę jutro – rzuciłem na pożegnanie. – Będiesz mógł znowu spróbować.

Rili nie powiedziałem o niczym, obawiałem się, że wyśmieje moją prostoduszność. Dla mnie, rzecz jasna, w świetle spodziewanych rezultatów, nie było w tym żadnej prostoduszności. Jeśli Kociopysk potrafi sprawić, byśmy mogli rozmawiać, bez wątpienia gotów byłem na tyle prób, ile tylko trzeba było.

Obiecałem mu, że zjawię się nazajutrz, lecz nie doszło do spotkania. Rankiem wróciła kolejna wyprawa, która wyruszyła druga. Przywieźli zaledwie jednego tyranozaura, kilka triceratopsów, trzy grzebieniaste hadrozaury oraz *Polacanthusa*, opancerzonego dinozaura z niezwykle

małym, stożkowatym łbem i podobnymi do rogów kostnymi wyrostkami grzbietowymi na całej długości ciała. *Polacanthus* zupełnie nie pasował do pozostałych trofeów, nie powinien bowiem występować tam, gdzie miało miejsce safari. Panowało przekonanie, że gady te wymarły u początku kredy, a ponadto w ogóle nie zamieszkiwały Ameryki Północnej. Jego niezwykle, cudaczny wygląd nie pozostawiał jednak żadnych wątpliwości.

Myśliwi przywieźli całe zwierzę. Mimo że poćwiartowano je, a pancerz dokładnie oczyszczono, to jednak zaczynało, już cuchnąć.

– Proszę koniecznie zwrócić na niego uwagę paleontologów – poradziłem myśliwemu–klientowi. – Doprowadzi ich pan tym do załamania.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Ciekaw byłem, jak taki kurdupel dawał sobie radę ze sztucerem na słonie. Próbowałem przywołać w pamięci jego nazwisko. Ktoś mi chyba mówił, że to jakiś ptaszek z angielskiej arystokracji, jeden z niewielu, którzy jakimś cudem zdołali utrzymać rodową fortunę w warunkach brytyjskiej ekonomii.

– A cóż w nim takiego nadzwyczajnego? – zapytał. – Nawet sporo ich tam było. Wybrałem największego. Uważa pan, że ten dziwoląg jest bardziej wartościowy od pozostałych zwierząt?

Wyjaśniłem mu, co niezwykłego kryło się w tej zdobyczy. Spodobał mu się pomysł utarcia nosa paleontologom.

– Niektóre uczone typki – rzekł – zbytnio się puszą.

Wyprawa zdążyła ledwie zniknąć w tunelu do Willow Bend, kiedy pojawiła się czwarta ekspedycja. Ci ustrzelili cztery tyranozaury, dwa triceratopsy i całą masę innych okazów, ale wracali bez jednej ciężarówki, a dwóch ludzi było na noszach.

Szef wyprawy zdjął kapelusz i otarł spocone czoło.

– Wszystko przez te przeklęte rogate bestie – powiedział. – Te z papuzimi dziobami. Zdaje się, że noszą nazwę triceratopsy. Coś je przestraszyło i kilkanaście wielkich sztuk ruszyło na nas. Natarły z boku na ciężarówkę i przewróciły ją. Mieliśmy szczęście, że nikt nie zginął. Diabelnie ciężko było wydobyć rannych z samochodu, musieliśmy ciągle bronić się przed zwierzętami. Sam nie wiem, ile ich położyliśmy. Rozwścieczone, długo kręciły się wokół nas. Może powinniśmy byli zawrócić i poodcinać łby zabitym zwierzętom, ale gdy w końcu wyrwaliśmy się na otwartą przestrzeń, niemal jednogłośnie zdecydowaliśmy się na powrót.

– Ciężko było? – zapytałem.

– Pewnie, zawsze jest trudno, kiedy człowiek odwiedza nie znaną mu krainę i niezbyt wie, czego się tam spodziewać. Nauczyłem się jednego: nigdy nie wolno podchodzić za blisko do stada triceratopsów. To brutalne, tępe bestie.

Po odprawieniu tej ekspedycji Rila powiedziała:

– Niepokoję się o pierwszą grupę. Powinni już wrócić.

– Mają tylko dzień spóźnienia – odparłem. – Każda wyprawa zapowiadała powrót po dwóch tygodniach, ale kilka dni w jedną czy w drugą stronę nie stanowi wielkiej różnicy.

– Ostatnia grupa napotkała spore kłopoty.

– Popełnili błąd, to wszystko. Pamiętasz, jak Ben zatrzymał nas, kiedy zanadto zbliżyliśmy się do triceratopsów? Stwierdził wówczas, że istnieje niewidzialna granica, której nigdy nie wolno przekroczyć. Oni widocznie ją przekroczyli. Następnym razem będą ostrożniejsi.

Ujrzałem wchodzącego na szczyt wzgórza Włóczęgę.

– Znów muszę go stąd sprowadzić – powiedziałem.

– Owszem, ale bądź dla niego miły. To taki sympatyczny staruszek.

Rila weszła do domu i zaraz wróciła z pęczkiem marchewki. Włóczęga podszedł do niej i z wielką gracją wziął marchew, pomrukując i sapiąc z wdzięczności. Po krótkim czasie sprowadziłem go w dolinę.

– Musimy skończyć z tą jałmużną dla niego – ostrzegłem Rilę. – W przeciwnym razie będziemy go mieli na karku przez cały czas.

– Wiesz co, Asa? – powiedziała Rila, jakby nie zwróciła uwagi na moje słowa. – Zdecydowałam już, gdzie zbudujemy prawdziwy dom. Tam, w dole, obok tych dzikich jabłonek. Będziemy mogli czerpać świeżą wodę ze strumienia, a wzgórze osłoni nas przed północno-zachodnim wiatrem.

Dopiero teraz wspomniała mi o projekcie budowy domu, ale nie miałem o to żalu. Pomysł mi się podobał, nie mogliśmy przecież stale mieszkać w przyczepie.

– Pewnie zdecydowałaś już także, jaki to będzie dom – rzekłem.

– Nie do końca. Nie mam jeszcze sprecyzowanych planów, tylko ogólną wizję: parterowy, niski domek, chyba z polnych kamieni Trochę w starym stylu, ale najlepiej pasujący do tego otoczenia. Pewnie będzie sporo kosztował, ale stać nas na to.

– Woda ze strumienia – powtórzyłem. – A co z ogrzewaniem? Po smutnych doświadczeniach z linią telefoniczną chyba nie ma co myśleć o doprowadzeniu gazu.

– Zastanawiałam się już nad tym. Trzeba postawić mocny, solidny dom, o dobrze izolowanych ścianach, a do ogrzewania wykorzystywać drewno. Zbudujemy kilka kominków. Zatrudnimy ludzi do wyrębu i transportu drzew. Jest pod dostatkiem drzew w okolicy. Oczywiście, wyrąb trzeba będzie prowadzić gdzieś dalej, żeby tutaj nie zeszpecił krajobrazu. Byłoby barbarzyństwem zniszczyć tak piękne widoki.

Przy kolacji także rozmawialiśmy o budowie domu. Im więcej o nim myślałem, tym bardziej podobał mi się ten pomysł. Byłem wdzięczny Rili,

że pomyślała o tym.

– Chyba pojedę jutro do Lancasteru i poszukam wykonawcy – stwierdziła. – Ben powinien nam kogoś polecić.

– Dziennikarze czyhający przy bramie nie dadzą ci żyć. Herb chciałby utrzymać mit o tobie jako tajemniczej kobiecie.

– Jeśli będę zmuszona, dam sobie z nimi radę. Poradziłam sobie w szpitalu, kiedy odwieźliśmy Hirama. W najgorszym razie ukryję się na tylnym siedzeniu samochodu i schowam pod jakimś kocem. Ben mnie wywiezie. A może i ty pojedziesz? Zajrzelibyśmy do szpitala i odwiedzili Hirama.

– Nie – odparłem. – Jedno z nas powinno tu zostać. Obiecałem Kociopyskowi, że go dziś odwiedzę, a nie miałem na to czasu. Poszukam go jutro.

– A cóż ciebie tym razem łączy z Kociopyskiem?

– On się czuje osamotniony.

Następnego ranka natknąłem się na Kociopyska w gęstwinie dzikich jabłonek, nie zaś w sadzie na farmie.

Przykucnąłem i z lekką ironią w głosie powiedziałem:

– No cóż, zaczynajmy ten seans.

Potraktował mnie poważnie. Natychmiast płoteczki zaczęły dobijać się do mego umysłu, skubać go i podszczypywać. Odnosiłem wrażenie, że jest ich tym razem znacznie więcej i są mniejsze – drobniutkie, malusieńkie iskierki rybek, zdolnych wcisnąć się bardzo głęboko w moją świadomość. Niemal fizycznie odczuwałem, jak wijąc się wkręcają we wszelkie szczeliny mózgu.

Ogarnęło mnie dziwne znużenie i senność, której nie mogłem pokonać. Znalazłem się w szarej, miękkiej mgle, niczym owad uwięziony w kokonie splecionym z delikatnych nitek pajęczyny.

Próbowałem rozerwać te sieci, podnieść się na nogi, lecz ze zdumieniem, a zarazem z dziwną obojętnością stwierdziłem, że nie wiem, gdzie się znajduję. Nie było żadnych punktów orientacyjnych, według których mógłbym określić swoje położenie. Jak przez mgłę przypominałem sobie, że jestem w Mastodonii, siedzę obok Kociopyska, a Rila pojechała do Lancasteru na spotkanie z przedsiębiorcą, który miał nam zbudować dom z polnych kamieni, oraz że powinniśmy zatrudnić ludzi do wyrębu drzew i gromadzenia opału na zimę. Wszystkie te fragmenty rzeczywistości stanowiły jedynie tło – zdawałem sobie sprawę, że w chwili obecnej nie muszę o nich pamiętać.

Wtem ujrzałem je. To było miasto, o ile można to było nazwać miastem. Miałem wrażenie, że znajduję się na szczycie wysokiego wzgórza, u stóp olbrzymiego drzewa. Powietrze było ciepłe i przejrzyste, a niebo miało tak delikatny odcień błękitu, jakiego nigdy dotychczas nie widziałem.

Przede mną rozciągało się miasto – otaczało mnie ze wszystkich stron i sięgało aż po odległy horyzont. Pośrodku wznosiło się samotne wysokie i strome wzgórze o zboczach porośniętych ciemnozieloną trawą i wspaniałymi kwiatami, poruszonymi lekką bryzą, a na jego szczycie rosło jedyne, rozłożyste drzewo, pod którym siedziałem.

Nie miałem pojęcia, jak się tutaj znalazłem; nie chciałem nawet zgadywać. A jednak przyjmowałem to za całkiem naturalne, podobnie jak fakt, że powinienem znać to miejsce, chociaż widziałem je po raz pierwszy w życiu. Od samego początku zastanawiałem się, czy naprawdę jest to miasto – wiedziałem, że tak, lecz jednocześnie miałem świadomość, że jest to coś zupełnie innego, coś bardzo ważnego, tyle że wiedza o doniosłości tego miejsca jakby na chwilę uleciała mi z głowy.

Nie było podobne do żadnego miasta, jakie znałem. Dostrzegałem parki, esplanady, szerokie, przestronne ulice – te elementy były mi znane, a

zarazem kryło się w nich coś szczególnego. Natomiast budowle w niczym nie przypominały spotykanych zwykle w miastach konstrukcji. Zdawały się nic nie ważyć, nie miały też określonych kształtów; były pajęczynowate, ażurowe, nitkowate i mgliste, wręcz niematerialne. Gdy jednak przyglądałem się im dokładniej i nie patrzyłem na nie w masie, lecz dłużej wbijałem wzrok w wybraną strukturę, ta jak gdyby nabierała bardziej określonego charakteru – spoza widmowej, nierealnej fasady poczynało się wyłaniać coś konkretnego. Nadal jednak widok tych budowli wzbudzał mój niepokój. Dopiero po dłuższym czasie zrozumiałem, że powodem jest ogólny wygląd miasta. Domy nie stały w regularnych równoległobokach porozdzielonych wstęgami ulic, jak miało to miejsce we wszystkich miastach na Ziemi. Znalazłem wreszcie klucz: nie było to żadne z ziemskich miast. Sam nie wiem, dlaczego mnie to zaskoczyło. Powinienem być od samego początku zdawać sobie sprawę, że patrzę na pozaziemskie miasto – miasto Kociopyska.

– To jest centrala – objaśnił Kociopysk. – Centrala galaktyczna. Pomyślałem, że gdy ją zobaczysz, wszystko zrozumiesz.

– Dziękuję, że mi ją pokazałeś – rzekłem.

Ani trochę nie byłem zdziwiony, że Kociopysk przemówił do mnie. Znajdowałem się w takim stanie, że chyba nic nie mogłoby mnie zaskoczyć.

Mniej więcej w tym samym czasie uprzytomniłem sobie, że nie czuję już maleńkich płotek skubiących mój umysł. Widocznie zrobiły swoje, zebrały wszystko, co było do zebrania – wszelkie kawałki skóry i drobne strupki – po czym się wyniosły.

– Tam właśnie się urodziłeś? – zapytałem.

– Nie. Początek miałem na innej planecie, bardzo daleko stąd. Pokażę ci ją któregoś dnia, jeśli będziesz miał czas.

– Ale byłeś tam?

– Jako ochotnik – odparł. – A raczej zostałem wezwany na ochotnika.

– Wezwany? Jak to: wezwany? Kto mógł cię wezwać? Poza tym, jeśli zostałeś wezwany, to nie mogłeś być ochotnikiem.

Próbowałem ustalić, czy z Kociopyskiem posługujemy się słowami. Doszedłem do wniosku, że chyba nie, chociaż nie miało to większego znaczenia, ponieważ rozumieliśmy się tak dokładnie, jakbyśmy w rozmowie używali słów.

– Znasz pojęcie boga – rzekł Kociopysk. – W historii twojej rasy ludzie oddawali cześć wielu różnym bogom.

– Rozumiem to pojęcie, ale nie jestem pewien, czy ja oddaję cześć jakiemuś bóstwu. W każdym razie nie w tym znaczeniu, w jakim większość ludzi pojmuje czczenie boga.

– Ja też nie – przyznał Kociopysk. – Ale gdybyś zobaczył, kto mnie wezwał, zresztą nie tylko mnie, lecz wiele różnych istot, byłbyś przekonany, że są to bogowie. Oczywiście nie są oni bogami, chociaż niektórzy uważają ich za bogów. Są istotami żywymi, może biologicznymi, a może innego rodzaju, tego nie wiem, które najwcześniej zaistniały jako istoty inteligentne i po upływie milionów lat nabrały tyle mądrości lub miały takie szczęście, że udało im się uniknąć katastrofy, która często prowadzi do upadku i degradacji różnych kultur. Prawdopodobnie na początku były to organizmy biologiczne – z pewnością takie musiały być, nie umiem jednak powiedzieć, czym są teraz. W ciągu wielu tysiącleci mogły bardzo się zmienić...

– Czy to znaczy, że ty widziałeś te istoty? Spotkałeś się z nimi?

– Nikt nie może się z nimi spotkać. Nigdy nie mieszają się z innymi stworzeniami. Gardzą nami, a może boją się nas – kiedyś nawet taka myśl przysłała mi do głowy. Przypuszczam, że to tylko moje zdanie, od nikogo

nie słyszałem podobnego stwierdzenia. Widziałem jednego z nich, w każdym razie tak mi się zdaje, jednak nie mogłem ujrzeć wyraźnie jego kształtów. Ukazywali się na krótko, aby zrobić wrażenie na ochotnikach, ale bardzo dbali o to, żeby nikt nie poznał dokładnie ich wyglądu. Pojawiali się we mgle albo w cieniu; nie wiem, jak to nazwać.

– Czyżby na tobie nie zrobiło to wrażenia?

– Możliwe, że zrobiło. To było tak dawno temu, że nie pamiętam. Według waszej rachuby minęło chyba milion lat. Wracałem myślą do tamtych chwili, i doszedłem w końcu do wniosku, że nie zrobili na mnie takiego wrażenia, jakie powinni.

– To ich miasto? Tych, których nazwałeś bogami?

– Możesz określić to w ten sposób. Zostało przez nich zaplanowane, chociaż nie oni je budowali. W zasadzie nie jest to miasto, ale cała planeta pokryta budowlami i konstrukcjami. Jeśli chcesz to nazywać miastem, niech będzie miasto.

– Powiedziałeś, że to centrala galaktyczna.

– Tak, to prawda. A dokładniej, jedna z central galaktycznych. Możliwe, że są jeszcze inne, których nie znamy. Inni bogowie, o których nic nie wiemy. Wydaje mi się prawdopodobne, że istnieją także inne grupy galaktyczne, funkcjonujące podobnie jak to miasto, lecz nie posiadające swojej kwatery głównej. W każdym razie nie pełnią równie formalnej misji jak ta centrala, za to mają inne, może nawet ważniejsze zadania.

– Podejrzewasz istnienie wielu takich central galaktycznych, ale nie masz pewności?

– Nie mam. Galaktyka jest olbrzymia.

– Czy ci ludzie, ci bogowie zajmują całe planety i eksploatują je?

– Eksploatują? Chwytam znaczenie tego słowa, ale pojęcie jest dla mnie niejasne. Chodzi ci o posiadanie? A może wykorzystywanie?

- Tak.
- Nie – stwierdził Kociopysk. – Tylko informacje. Chodzi im wyłącznie o wiedzę.
- To znaczy, że gromadzą wiedzę?
- Właśnie. Twoja pojętność mnie zdumiewa. Wysyłają statki z licznymi grupami badawczymi. Zrzucają jedną grupę tu, drugą gdzie indziej. Później przybywa inny statek i kolejno zbiera te zespoły. Byłem członkiem takiej grupy, ostatniej. Po drodze zrzuciliśmy cztery inne ekspedycje.
- I wtedy statek się rozbił?
- Tak. Nie rozumiem, jak to się mogło stać. Każdy z nas jest specjalistą, musi dobrze znać swoje zadanie. Istoty, które kierowały statkiem, były również specjalistami. Powinny były przewidzieć taką sytuację. Katastrofa nie miała prawa się wydarzyć.
- Powiedziałeś Hiramowi, a może Rili, że nie znasz lokalizacji planety, z której przybyłeś. Teraz rozumiem, dlaczego: po prostu to nie twoja specjalność. Tylko pilot lub piloci znali współrzędne.
- Moja specjalność to otwieranie przejść w czasie, mających służyć obserwacji i zapisowi przeszłości badanej planety.
- Chcesz powiedzieć, że ekspedycje planetarne nie tylko interesowały się warunkami istniejącymi w danej chwili, lecz także historią planet? Badaliście ewolucję każdej z nich?
- Musieliśmy. Teraźniejszość to zaledwie wycinek obrazu. Niezwykle ważne jest również to, w jaki sposób powstały istniejące warunki.
- Pozostali zginęli w katastrofie, ale ty...
- Ja miałem szczęście – odparł Kociopysk.
- Jednak nie podjąłeś badań nad naszą przeszłością. Zostałeś w Willow Bend, a raczej w pobliżu miejsca, gdzie później powstało miasto.

– Zrobiłem tylko parę wycieczek. Moje obserwacje byłyby bezwartościowe. Zwykle otwierałem tunele dla innych. I jeszcze coś: wiedziałem, że ma przybyć po nas statek. Oni nic nie wiedzą o katastrofie, przylecieliby jak zwykle, żeby zabrać całą grupę. Stwierdziłem, że jeśli ma się zjawić statek, ja muszę tu na niego czekać. Nie mogłem się stąd ruszyć. Gdybym badał przeszłość, nikt nie przywołałby mnie w razie przybycia statku. Załoga odnalazłaby ślady katastrofy i zakładając, że wszyscy zginęli, nie czekałaby. Żeby zostać dostrzeżonym i, jak to nazwałeś, uratowanym, musiałem trwać w pobliżu miejsca wypadku.

– Otwierałeś jednak przejścia dla Bowsera, a ostatnio dla nas.

– Skoro sam nie mogłem wykorzystywać tuneli, czemu nie mieliby ich używać inni? Dlaczego nie miałbym otwierać ich dla przyjaciół?

– Zatem potraktowałeś nas jak przyjaciół?

– Najpierw Bowsera, a potem was.

– Teraz jesteś już pewien, że statek, który miał cię zabrać, nie przybędzie?

– Dużo, zbyt dużo minęło czasu. Ale mogą jeszcze szukać. Takich jak ja jest niewielu, wysoko nas cenią. Nie powinni tak po prostu machnąć na mnie ręką.

– Zatem masz jeszcze nadzieję?

– Słabiutką.

– Z tego też powodu tak wiele czasu spędzasz w sadzie na farmie? Chcesz być na miejscu, gdyby jednak się zjawili?

– Tak, właśnie – odparł Kociopysk.

– Jesteś tu szczęśliwy?

– Cóż to jest szczęście? Tak, chyba jestem szczęśliwy.

Cóż to jest szczęście? – zapytał, jak gdyby nie znał tego uczucia. Nieprawda, znał je. Był kiedyś szczęśliwy – zachwycony i jednocześnie

przerażony – tego dnia, kiedy otrzymał wezwanie do ogromnej centrali galaktycznej, stając się członkiem doborowego towarzystwa, otoczonego legendą w tych systemach gwiazdnych, które zetknęły się z wielką konfederacją.

Nie musiałem go nawet o to pytać; nie miałem wątpliwości, że wraz z jego wspomnieniami wędrowałem przez to fantastyczne miasto – nowicjusz z prowincjonalnej planety, który z otwartymi ustami nie mógł się nadziwić oglądanym cudom, nie potrafił nawet uwierzyć, że dane mu było się tam znaleźć. Wędrowałem razem z nim po innych planetach, dostrzegając zaledwie oderwane obrazy, głównie chłonąc widoki krajobrazów z przeszłości tychże planet. Stykałem się ze wspaniałościami, na widok których serce uderzało mocniej, z tragediami zatapiającymi mą duszę w przyływach smutku, pogrążałem się w zadumie nad różnymi tajemnicami, niczym pies nad skamieniałą kością, i wstrzymywałem oddech w zetknięciu z cywilizacjami o poziomie nauki całkowicie wykraczającym poza mój zakres pojmowania.

Nagle wszystko się urwało. Znowu siedziałem wśród dzikich jabłonek, twarzą w twarz z Kociopyskiem. W głowie wciąż kotłowały się oglądane cuda. Zupełnie straciłem poczucie czasu.

– Czy Hiram także...?

– Nie – odparł Kociopysk. – Hiram nie zrozumiałby tego.

Tak, miał rację. Hiram by tego nie zrozumiał. Przypomniałem sobie, że pewnego razu stwierdził, iż Kociopysk mówił mu o wielu rzeczach, których on nie był w stanie pojąć.

– Nikt więcej, tylko ty – dodał Kociopysk.

– Czuję się zakłopotany. Ja także nie wszystko rozumiałem.

– Twoja pojętność jest o wiele większa, niż ci się zdaje.

– Przyjdę jeszcze – rzekłem. – Będziemy teraz mogli rozmawiać.

Gdy wróciłem na szczyt wzgórza, nasza przyczepa mieszkalna nadal stała pusta. Ciekaw byłem, czy ta ostatnia wyprawa nie przybyła podczas mojej rozmowy z Kociopyskiem. Nie martwiłem się tym zupełnie, wyruszając na spotkanie, sądziłem bowiem, że kiedy wrócą, usłyszę ich. Teraz wątpiłem, czy nawiązawszy pełny kontakt z Kociopyskiem, mogłem cokolwiek słyszeć. Podszedłem więc do wylotu pierwszego tunelu, lecz nie znalazłem świeżych śladów kół. Znaczyło to, że mają już dwa dni spóźnienia. Stwierdziłem w duchu, że jeśli nie wrócą do jutra, pewnie będziemy musieli pojechać tam z Benem i zobaczyć, co ich zatrzymało. Nie martwiłem się jeszcze o nich. Percy Aspinwall zrobił na mnie wrażenie człowieka świetnie obeznanego ze swoim zadaniem. Mimo wszystko odczuwałem niepokój.

Ruszyłem do domu i usiadłem na schodkach. Spod przyczepy wyczołgał się Bowser, wlaź na stopnie i siadł, ocierając się o moją nogę. Znów było jak dawniej, nim jeszcze przyjechała Rila i zaczęła się ta cała heca z podróżami w czasie.

Byłem tak ogłupiały po tym, co mi się przytrafiło z Kociopyskiem, że dopiero teraz mogłem wszystko przemyśleć. W pierwszej chwili gdy tylko nawiązałem kontakt, wydał mi się on czymś szalenie prostym, nie budzącym najmniejszych wątpliwości, czego w zasadzie powinienem się być spodziewać. Lecz teraz, po pewnym czasie, poczułem zimne dotknięcia pajęczych nóżek wędrujących to w górę, to w dół moich pleców. Chociaż miałem świadomość, że wszystko zdarzyło się naprawdę, zaczęła mnie ogarniać fala zwątpienia. Ulegałem odwiecznej ludzkiej skłonności; jeśli się wmówi sobie, że czegoś nie było, to znaczy, że faktycznie tego nie było.

Obok zaprzeczania faktom istniało równie silne przekonanie o ich prawdziwości. Siedziałem więc na schodkach, próbując pogodzić to. Nie

miałem jednak na to zbyt wiele czasu, ponieważ wkrótce ujrzałem samochód Rili. Obok niej siedział Hiram.

Wyskoczył z wozu, gdy tylko ten zwolnił, i rzucił się pędem w kierunku Bowsera. Nie odezwał się do mnie ani słowem, chyba nawet mnie nie zauważył. Pies na jego widok zerwał się ze schodków, Hiram zaś padł na kolana, objął go ramionami, a Bowser, skomląc i popiskując, zaczął chlastać jęzorem po jego twarzy.

Rila podbiegła do mnie i rzuciła mi się na szyję; Musieliśmy stanowiąc wspaniały widok – Hiram ścisnął Bowsera, a Rila mnie.

– To cudownie, że Hiram znów jest z nami – powiedziała Rila. – Lekarze zgodzili się wypuścić go ze szpitala, ale musi wypoczywać i powoli nabierać sił. Nie wolno mu się przepracowywać i...

– W porządku – rzekłem. – Hiram nigdy nie był tytanem pracy.

– Powinien codziennie wykonywać ćwiczenia fizyczne i dużo spacerować. Musimy mu też zapewnić wysokobiałkową dietę i pilnować, żeby przyjmował lekarstwa. Nie lubi pigułek. Twierdzi, że są ohydne w smaku. Ale obiecał je brać, jeśli zostanie zwolniony ze szpitala. Och, Asa, powinieneś zobaczyć plany domu, który tu zbudujemy. Nie mogłam ci ich przywieźć, ale opiszę ci go w zarysie. Cały dom będzie z kamienia, z kilkoma wysokimi kominami, gdyż prawie w każdym pomieszczeniu stanie kominek. Poza tym mnóstwo szkła Całe ściany z termoglasu, byśmy mogli zawsze podziwiać naszą krainę. Nie trzeba będzie wychodzić przed dom. W dodatku szerokie patio oraz wolno stojąca letnia kuchnia, też z polnych kamieni, z wysokim kominem, żeby nie zadymiać podwórka Jeśli chcesz, możemy mieć także basen. Mnie by się to podobało. Napełnilibyśmy go wodą ze strumienia i chociaż jest strasznie zimna, latem najdalej po dwóch dniach, jak twierdzi wykonawca można by się w niej kąpać. Ponadto...

Zauważyłem, że Hiram z Bowserem oddalają się, kierując w stronę doliny; ponieważ nie słyszeli moich okrzyków, jakby w ogóle o nas zapomnieli, rzuciłem się za nimi biegiem.

Chwyciłem Hiramą za ramię i obróciłem twarzą do siebie.

– Dokąd to się wybierasz? – zapytałem. – Rila twierdzi, że masz odpoczywać i zabroniono ci jakiegokolwiek wysiłku.

– Ależ, panie Steele. Przecież musimy pójść zobaczyć, jak się miewa Włóczęga – rzekł Hiram spokojnie, jakbym przeszkadzał mu w czymś zupełnie naturalnym. – Muszę go powiadomić, że już wróciłem.

– Nie dzisiaj – oświadczyłem. – Może jutro. Weźmiemy samochód i pojedziemy go poszukać.

Mimo protestów Hiramą zapędziłem go z powrotem.

– A ty? – zapytała Rila. – Jak spędziłeś dzisiejszy dzień?

– Rozmawiałem z Kociopyskiem.

Zaśmiała się radośnie.

– I o czym, według ciebie, była ta rozmowa?

– O wielu rzeczach.

Błyskawicznie wróciła do planowanej budowy domu, nie miałem szansy podzielić się z nią nowiną. Mówiła niemal bez przerwy aż do czasu, kiedy kładliśmy się spać. Nie widziałem jej jeszcze tak szczęśliwej i podekscytowanej.

Stwierdziłem w duchu, że powiem jej o nawiązaniu kontaktu z Kociopyskiem rano, ale z tego także nic nie wyszło. O świcie obudziło mnie łomotanie do drzwi i dzikie wrzaski Bena, żebym wreszcie wyłaził z betów.

Otworzyłem mu, przecierając oczy.

– Co się, do cholery, stało? – zapytałem. – Nie możesz chwilę poczekać?

– Panika w kierownictwie Safari – powiedział Ben. – Wychodzą z siebie. Zażyczyli sobie, żebyśmy pojechali i sprawdzili, co zatrzymało Aspinwalla i jego grupę.

ROZDZIAŁ 28

Ben miał więcej powodów do zmartwień niż tylko spóźnienie myśliwych. Zrelacjonował mi wszystko, kiedy szykowaliśmy się do podróży.

– Ten cholerny Hotchkiss – rzekł – otworzył istną puszkę Pandory. Kościoły i organizacje kościelne popierają jego stanowisko. Nie dalej jak wczoraj jeden z dziennikarzy napisał, że czegoś podobnego nie było od czasów reformacji. Za kilka dni spodziewane jest oficjalne wystąpienie Watykanu. Miałem wam przynieść dzisiejszą poranną prasę, ale w tym natłoku spraw zapomniałem. Do Kongresu zaczynają napływać petycje o prawną regulację podróży do początków ery chrześcijaństwa. Politycy zasłaniają się jak mogą, nie chcą przykładać do tego ręki. Wskazują na rozdział państwa od Kościoła – z tego powodu, jak twierdzą, nie czują się upoważnieni do dyskusowania podobnej kwestii. Kilku zauważyło, że jedynie nasza spółka może kogokolwiek przenieść w czasie, a ponieważ Mastodonia nie jest częścią Stanów Zjednoczonych, prawodawstwo Stanów nas nie obejmuje. Obawiam się jednak, że gdy spór rozgorzeje na dobre, status Mastodonii może zostać poddany weryfikacji. Na razie wszyscy są zakłopotani. Nie wiedzą, czy działamy w USA, czy nie.

– Mamy odpowiednie argumenty na to, że nie jesteśmy częścią Stanów, gdyby ktoś bardzo chciał wywierać na nas nacisk – powiedziałem.

– Wiem, lecz jeśli sprawa ta wypłynie podczas gigantycznego kościelnego rumoru, i tak niezłe nam się dostanie. Nie podoba mi się to, Asa. Bardzo mi się to nie podoba.

Mnie też się nie podobało, ale na razie nie miałem zamiaru zawracać sobie tym głowy.

Rila uparła się, żeby udać się do kredy razem z nami, i straciliśmy trochę czasu na przekonanie jej, by została na miejscu. Gorączkowała się i wściekała, że nie chcemy jej zabrać. Twierdziła, iż ma pełne prawo uczestniczyć w ekspedycji.

– Nie przekonasz mnie – powiedziałem w końcu. – Raz nadstawiałaś karku i wystarczy. Wtedy twoja obecność była niezbędna, ale teraz to co innego. Zresztą wkrótce wrócimy.

Odkryłem, że w czasie sprzeczki Hiram wysliznął się i poszedł szukać Włóczęgi. Rila chciała, żebym najpierw odnalazł jego, ale stwierdziłem, że mam go gdzieś. Powiedziałem, że gdyby mi teraz wpadł w ręce, pewnie bym go zastrzelił i pozbył się kłopotów.

Tak więc wyruszyliśmy z Benem w co najmniej ponurych nastrojach. Gdy znaleźliśmy się w kredzie, dodatkowo przygnębiła nas pogoda. Zanosilo się na burzę, było strasznie duszno, na ziemi unosiły się obłoki pary. Wiał silny, gorący wiatr, jego podmuchy niemal spopielaly skórę. Po niebie pędziły gigantyczne, spiętrzone chmury, z których każda wyglądała tak, jakby za chwilę miała się otworzyć i spuścić na nas pięciominutowy potop wrzątku. Ziemia pod kołami mlaskała, przesycona padającymi widocznie od dłuższego czasu deszczami, lecz łazik Bena dobrze radził sobie w tym błocku i nie napotkaliśmy zbyt wielkich trudności.

Paskudna aura wywarła także wpływ na zachowanie zwierząt. Większość musiała siedzieć ukryta pod osłoną drzew, a te nieliczne, które spłoszyliśmy, uciekały przed nami, nie wyłączając nawet jednego małego tyranozaura. Ominęliśmy łukiem stado triceratopsów, które stały ze zwieszonymi smętnie łbami i nawet nie skubały trawy, czekając na poprawę pogody.

Trzymaliśmy się śladów wyprawy myśliwskiej – koła wielkich ciężarówek utworzyły dobrze widoczne koleiny. W kilku miejscach deszcze albo zalały ślady, albo zmyły je, lecz bez trudu odnajdywaliśmy ślady dalej.

Na pozostałości po pierwszym obozowisku natknęliśmy się jakieś osiem kilometrów w głąb rzecznej doliny. Wyglądało na to, że myśliwi spędzili tu kilka nocy – w kręgu po ognisku było mnóstwo popiołu, a liczne ślady rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Po krótkich poszukiwaniach odnaleźliśmy koleiny wskazujące szlak ekspedycji. Ruszyliśmy jej tropem na zachód, poprzez pasmo wzgórz, i dalej jakieś trzydzieści kilometrów w głąb prerii.

Przy końcu tej drogi równina urywała się nagle, opadając ku dolinie Rzeki Bobrów. Ślady, którymi podążaliśmy, prowadziły zakosami w dół. Kiedy wyjechaliśmy z załomu zbocza, niespodziewanie naszym oczom ukazało się obozowisko. Ben zatrzymał samochód i przez dłuższą chwilę siedzieliśmy, nie odzywając się do siebie. Namioty w większości leżały powalone, brezent łopotał na wietrze. Jedna ciężarówka była przewrócona na bok, druga tkwiła w rowie, w głębokiej rozpadlinie, jakże charakterystycznej dla krajobrazu kredy – z maską wbitą w piaszczystą skarpe i skrzynią sterczącą niemal pionowo do góry.

Nic się nie poruszało, z wyjątkiem płacht namiotowego brezentu. Nie było widać dymu – ogniska dawno już się wypaliły. Tu i ówdzie na ziemi bieleły skupiska kości.

– Na miłość boską! – syknął Ben.

Powoli zdjął nogę z hamulca i samochód potoczył się w dół zbocza, w kierunku obozu. Wszędzie walały się różne przedmioty. Sprzęty kuchenne leżały rozrzucone dokoła wygasłych ognisk. Strzępy ubrań były powgniatane w błoto. Tu i tam leżała porzucona broń. Bielejące skupiska były ludzkimi kośćmi, oczyszczonymi przez drapieżniki.

Ben zatrzymał wóz. Wysiadłem, trzymając ciężki karabin w pogotowiu na ugiętym ramieniu. Stałem tak przez dłuższy czas rozglądając się, próbując pogodzić się z potwornością tego widoku, chociaż mój umysł nie przyjmował jeszcze do wiadomości oczywistych faktów. Słyszałem, jak Ben wysiada po przeciwnej stronie samochodu. Pod jego butami zazgrzytał żwir. Obszedł maskę i stanął obok mnie.

– To musiało się zdarzyć z tydzień temu, albo jeszcze wcześniej – rzekł ochrypłym głosem, jakby siłą starał się powstrzymać jego drżenie. – Zaledwie w dzień lub dwa po rozbiciu tutaj obozu. Spójrz na kości. Oczyszczone do cna. To musiało trochę potrwać.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wydobyć głosu. Uświadomiłem sobie, że mocno zaciskam zęby, aby powstrzymać ich dzwonięcie.

– Nikt się nie uratował – mruknął Ben. – Jak mogło do tego dojść?

Zmusiłem się do odpowiedzi:

– Może jednak komuś udało się skryć gdzieś pośród wzgórz.

Ben pokręcił głową.

– Gdyby ktoś przeżył, pewnie wracałby po śladach w stronę tunelu. Musielibyśmy go spotkać. Samotny człowiek, czy też ranny, nie miał żadnych szans. Jeśli nie skończyłby w paszczy drapieżnika pierwszego dnia, na pewno stałoby się to nazajutrz, a najdalej trzeciego dnia marszu.

Ben ruszył w kierunku obozowiska. W chwilę później i ja poszedłem jego śladem.

Po kilku krokach stanął i zapatrzył się w coś na ziemi.

– Asa – rzekł – popatrz. Spójrz tylko na ten ślad.

Ślad częściowo rozmył deszcz. W głębokich dołkach odcisniętych przez palce stały kałuże. Był olbrzymi. Rozmycie mogło go nieco powiększyć, a przynajmniej spotęgować wrażenie jego wielkości. W każdym razie liczył

co najmniej siedemdziesiąt centymetrów szerokości. Kawalek dalej i trochę w lewo widniał drugi taki sam ślad.

– To nie rex – stwierdził Ben. – Coś większego. Chyba największy z drapieżnych gadów, jakie widzieliśmy. Popatrz, ile tam jest śladów.

Dopiero teraz, kiedy Ben wskazał mi pierwszy wyraźny odcisk łapy, zauważyłem, że było ich wiele.

– Trójpalczaste gady – orzekł Ben. – Chyba poruszały się na dwóch łapach.

– Musiało ich być całe stado – powiedziałem. – Jedna sztuka czy nawet dwie nie zostawiłyby aż tak dużo śladów. Pamiętasz naszą parę tyranozaurów? Doszliśmy wówczas do wniosku, że polowały parami. Przedtem wszystko wskazywało, że były to samotniki. Teraz wygląda, że mogły tworzyć stada. Przemierzały równiny niczym stado wilków, rzucając się na każde stworzenie, jakie stanęło im na drodze. W grupie mogły upolować więcej zwierzyny niż samotny drapieżnik, czy nawet para.

– Jeśli tak było, jeżeli napadło ich całe stado, Aspinwall i reszta nie mieli najmniejszych szans.

Obeszliśmy dokoła obozowisko, starając się nie patrzeć na szczątki. Wszystkie łażiki, o dziwo, stały tam, gdzie je ustawiono. Tylko jeden leżał na boku. Skrzynki z amunicją połyskiwały słabo w świetle pochmurnego dnia. Gdzeniegdzie widać było rozsypane naboje. Wszędzie roiło się od śladów trójpalczastych napastników.

Wiatr gwizdał i zawodził wśród drzew porastających stromo opadające ku rzece zbocza wzgórz. Postrzępione, pędzące po niebie chmury kłębiły się i kipiały jak w kotle. Z oddali dobiegł huk pioruna.

Spod małej kępy krzewów wyzierała na mnie czaszka pokryta jeszcze resztkami skóry i włosów. Obok leżała żuchwa, a z przyklejonych do niej

strzępów sterczała szczecina zarostu. Zbierało mi się na wymioty. Miałem dosyć. Zawróciłem do samochodu.

Okrzyk Bena osadził mnie na miejscu. Obejrzałem się. Stał na krawędzi parowu, ograniczającego od południa obozowisko.

– Asa, chodź tutaj! – krzyknął.

Podszedłem do niego. W rowie spoczywała góra masywnych kości, pokrytych fragmentami łuskowatej skóry. Ziała otworem gigantyczna klatka żeber, zakończona szponami noga sterczała do góry, czaszka z przyczepioną jeszcze dolną szczęką ukazywała paszczę rozwartą niczym wrota piekieł.

– Ta noga zwrócona ku górze – wskazał Ben – to przednia łapa. Silna, dobrze rozwinięta, nie zaś szczątkowa jak u rexa.

– Allozaur – rzekłem. – To musiał być allozaur. Wyjątkowy olbrzym. Nigdy nie wykopano równie wielkiego szkieletu.

– Cóż, wiemy przynajmniej, że ludzie załatwili jednego z nich.

– Mogli zabić ich więcej. Gdybyśmy rozejrzeli się uważniej...

– Nie – rzucił Ben. – Dość już widzieliśmy. Zabierajmy się stąd.

ROZDZIAŁ 29

Ben zadzwonił do McCallahana. Ja i Rila usiedliśmy przy innych aparatach, podłączonych do wspólnej linii. Panowały grobowe nastroje.

– Mam złe wiadomości, mecenasie – rzekł Ben, gdy McCallahan podniósł słuchawkę.

– Zatem witam w klubie. Ta cholerna afera z Hotchkissem wymyka mi się spod kontroli. Możemy mieć kłopoty. Wszyscy w tym przeklętym kraju powariowali, każdy chce zabrać głos w sprawie.

– To mi się także nie podoba, ale dzwonię z innym problemem. Czy wie pan, że jedna z wypraw nie wróciła o czasie?

– Owszem, ale to zaledwie dwa dni spóźnienia. Chyba nie ma się czym martwić. Pewnie mają lepsze łowy, niż się spodziewali. Albo zapuścili się gdzieś dalej. Może nawalił im samochód.

– Myśleliśmy tak samo – odparł Ben. – Dziś rano odebrałem telefon z Safari, z Nowego Jorku. Niepokoili się. Prosilili nas o sprawdzenie. Pojechaliśmy razem z Asą. On siedzi przy innym aparacie, Rila też.

Nagle w głosie mecenasa pojawiła się nuta strachu.

– Okazało się, rzecz jasna, że wszystko jest w porządku?

– Nie – mruknął Ben. – Ekspedycja została zniszczona. Wszyscy nie żyją...

– Nie żyją? Wszyscy?

– W każdym razie nie znaleźliśmy nikogo przy życiu. Nie próbowaliśmy liczyć zwłok. To znaczy nie zwłok, lecz szkieletów. To było przerażające.

Uciekliśmy stamtąd.

– Nie żyją! Cóż mogło...

– Mecenasiu – wtrąciłem – wszystko wskazuje na to, że zaatakowało ich stado karnozaurów.

– Nie wiedziałem, że karnozaurowe łączą się w stada.

– Ja też. Nikt tego nie wiedział. Ale fakty mówią same za siebie. Ilość śladów na ziemi wskazywała, że było ich więcej niż dwie albo trzy sztuki...

– Śladów?

– Nie tylko. Trafiliśmy na szkielet gigantycznego karnozaura. To nie był tyranozaur, ale prawdopodobnie allozaur. O wiele większy od rexa.

– Dlaczego mówicie o szkieletach? Nie było żadnych ciał, tylko szkielety?

– To musiało się stać jakiś czas temu – wyjaśnił Ben. – Niewykluczone, że krótko po rozbiciu obozu. Ścierwojady miały czas na oczyszczenie kości.

– Chcemy znać możliwe skutki z punktu widzenia prawa – odezwała się Rila. – Poza tym co mamy robić?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– Formalnie nie można nam nic zarzucić – rzekł w końcu mecenasiu. – Kierownictwo Safari podpisało dokument, w którym zrzekamy się jakiegokolwiek odpowiedzialności za polujące grupy. Również w kontrakcie jest podkreślone, że nie ponosimy winy za to, co może się wydarzyć. Jeśli obawiacie się, że nas zaskarżą, to mogę was uspokoić. Nie mają żadnych podstaw.

– A co z klientami biorącymi udział w wyprawie?

– To samo. Za ich życie odpowiadała firma Safari. Podejrzewam, że każdy klient musiał podpisać zrzeczenie się wszelkich odszkodowań. To dość powszechnie stosowany proceder. Możemy obawiać się jedynie tego,

że wypadek wpłynie ujemnie na liczbę kolejnych propozycji. Jak myślicie, czy zmaleje grono chętnych, gdy rozniesie się wiadomość? Jak zareaguje na to opinia publiczna? Czy znajdą się głupcy podnoszący krzyk, że wyprawy w przeszłość muszą być wstrzymane? Nie zapominajcie też, że Safari uiściło tylko połowę zapłaty. Drugą część mają przelać po upływie sześciu miesięcy. Mogą wstrzymać płatność, albo nawet odmówić dotrzymania warunków kontraktu.

– Wszystko zależy od tego, jak Safari zareaguje na te wieści – rzekł Ben.

– To twardogłowi biznesmeni. Oczywiście, miał miejsce tragiczny wypadek, ale tragedie zdarzają się wszędzie. Górnicy giną w kopalniach, lecz z tego powodu nie zamyka się kopalni. Jeśli teraz zbyt wielu klientów się wycofa, a inni stracą zainteresowanie, wówczas Safari znajdzie się w kropce.

– Pewnie część się wycofa, ale nie będzie ich wielu – orzekł Ben. – Znam ich. Wypadek jedynie doda pikanterii całej sprawie. Tam są olbrzymie i groźne zwierzęta, zapolejmy na nie. Czekają największe trofea, jakie w ogóle można zdobyć.

– Chciałbym, żebyś miał rację – rzekł mecenas. – Safari to nasz jedyny dotychczasowy partner, co nie wróży nam dobrze. Mieliśmy nadzieję na dalsze korzystne umowy, ale chętni na razie się nie zgłaszają. Na szczęście nie grożą nam też większe problemy. Myśleliśmy, że urząd skarbowy będzie chciał się do nas dobrać. Zaczął węszyć wokół sprawy, ale nic więcej.

– Możliwe, że przyczaili się i próbują obmyślić jakąś strategię – podsunął Ben.

– Niewykluczone.

– A co z tym filmem? – zapytała Rila. – Czy wypadek może odstraszyć filmowców?

– Wątpię – odparł mecenas. – Nie we wszystkich okresach prehistorycznych czyhają takie niebezpieczeństwa jak w kredzie, prawda, Asa?

– Jura może być równie groźna – powiedziałem. – Oba te okresy mogą przysporzyć wiele problemów. Zresztą w każdej epoce istniały takie czy inne zagrożenia, których będziemy musieli się wystrzegać. To niezbadane krainy.

– W tej chwili rodzi się problem, jak zawiadomić Safari – rzekł Ben. – Mogę do nich zadzwonić. Sądziłem jednak, że lepiej będzie najpierw przekazać tę wiadomość panu.

– Może ja się z nimi skontaktuję, Ben. Znam tych ludzi trochę lepiej niż wy. Nie mówię tu o Rili. Co o tym myślisz, Rila?

– Niech pan zadzwoni, pan chyba bardziej od nas nadaje się do załatwiania tego typu spraw.

– Możliwe, że będą chcieli porozmawiać z wami. Czy będziecie tam jeszcze?

– Ja poczekam przy telefonie – zaofiarował się Ben.

ROZDZIAŁ 30

Późnym popołudniem Safari skontaktowało się z Benem. Oświadczyli, że muszą zorganizować ekspedycję do miejsca tragedii, dokonać wizji lokalnej i pozbierać szczątki ofiar.

Rila i ja wróciliśmy do Mastodonii. Nie mieliśmy ochoty rozmawiać o tej wyprawie, byliśmy przygnębieni.

Hiram z Bowserem czekali na schodkach domu. Hiram zasypał nas lawiną słów. Odnalazł Włóczęgę i uciął sobie z nim pogawędkę. Później poszukał Kociopyska, z którym także miał wiele do pogadania. Przyjaciele Hiramca ucieszyli się z jego powrotu, a on z kolei zrelacjonował im szczegółowo pobyt w szpitalu. Opowiedział też, jak to Bowser spłoszył świstaka, zagnał go do nory, a następnie usiłował wykopać. Hiram wyciągnął go spod ziemi, potem zaś ostro złajał, jak stwierdził, na co Bowser wyraził skruchę. W porze lunchu usmażył sobie jajka i nie omieszkał nam przypomnieć, że Bowser nie znosi jajek i powinniśmy zawsze zostawiać dla niego kawałek pieczeni w lodówce.

Po obiedzie usiedliśmy z Rilą przed domem. Hiram z Bowserem po tak wyczerpującym dniu poszli wcześniej spać.

– Martwię się, Asa – powiedziała Rila. – Jeśli Safari zapłaciło tylko połowę sumy, może nam zabraknąć pieniędzy. Musimy przecież wypłacać prowizję Benowi, chociaż w zasadzie nie ma on żadnego udziału w tym kontrakcie.

– Ma udział – rzekłem. – Nawet jeśli bezpośrednio nie jest zaangażowany w interes z Safari, to przecież tak wiele dla nas zrobił.

– Nie chciałam umniejszać jego zasług. Nie pragnę też oszczędzać na nim. Ale wszystko się sumuje: ogrodzenie kosztowało majątek, budynek administracyjny też pochłonął mnóstwo forsy. Wypłaty dla strażników to kilkaset dolarów dziennie. Mamy jeszcze pieniądze, lecz zapasy powoli topnieją. Jeśli Safari się wycofa, a w dodatku filmowcy odłożą sprawę na później, możemy mieć kłopoty.

– Safari się nie wycofa – zawyrokowałem. – Najwyżej przyhamują na jakiś czas, dopóki nie ucichnie wrzawa. Ben ma rację: im większe niebezpieczeństwo, tym silniejsza pokusa dla myśliwych. Trudno coś powiedzieć o filmowcach, ale sądzę, że mają w głowach niezłe komputerki. Nie przepuszczą takiej okazji.

– Jeszcze coś. Mecenas też sobie słono policzy. Bóg jeden wie, jaki wystawi nam rachunek.

– Przestańmy się tym zamartwiać już teraz. Wszystko będzie dobrze.

– Uważasz, że jestem zachłanna, prawda?

– Zachłanna? Nie wiem. Jesteś kobietą interesu, przez tyle lat zajmowałaś się handlem.

– Ale to nie biznes i nie zachłanność – powiedziała. – Chodzi mi o bezpieczeństwo. Potrzebuję więcej niż przeciętny mężczyzna czy kobieta do tego, żeby czuć się bezpieczna. Większość kobiet znajduje oparcie w rodzinie, a ja nie mam rodziny. Musiałam zatem szukać poczucia bezpieczeństwa gdzie indziej i znalazłam je w pieniądzu. One są moim gwarantem. Gdybym mogła zgromadzić odpowiedni majątek, wreszcie czułabym się bezpieczna. Stąd bierze się moja zachłanność. Dlatego właśnie tak szybko wpadłam na pomysł wykorzystania podróży w czasie. Dostrzegłam olbrzymie możliwości.

– Przecież te możliwości nadal istnieją.
– Lecz pojawiły się także kłopoty. Poza tym stoimy na niepewnym gruncie. Kociopysk i Hiram. Gdyby któryś z nich...
– Poradziliśmy sobie bez Hirama.
– Owszem, to prawda. Ale musiałeś się namęczyć.
– Nie grozi nam to już – oznajmiłem. – Próbowałem ci o tym powiedzieć od dłuższego czasu, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. Najpierw projekt budowy domu, później powrót Hirama, a w końcu nieszczęście, które spotkało uczestników wyprawy. Chciałem cię poinformować, że nawiązałem pełny kontakt z Kociopyskiem.

Popatrzyła na mnie zdumionym wzrokiem.

– Czy to znaczy, że naprawdę możesz z nim rozmawiać? Tak samo jak Hiram?

– Lepiej niż Hiram – odparłem, po czym opowiedziałem jej o wszystkim.

Rila patrzyła na mnie uważnie, w jej oczach tliły się iskierki niedowierzania.

– Co za upiorna historia – podsumowała. – Ja na twoim miejscu byłabym przerażona.

– Nie bałem się. Byłem zanadto otumaniony, żeby odczuwać strach.

– Dlaczego uważasz, że tak bardzo się starał, że robił wszystko, by móc się z tobą porozumieć?

– Pragnął z kimś porozmawiać.

– Przecież mógł rozmawiać z Hiramem.

– Nie zapominaj, że Hirama wtedy nie było. Miał zostać w szpitalu jeszcze przez kilka dni. Nie sądzę, aby Kociopysk w pełni rozumiał, co mu się przytrafiło. Poza tym Hiram nie był dla niego najlepszym partnerem do

rozmów. Zapewne niewiele by pojął z tego, co ja miałem możliwość oglądać. Kociopysk to istota ludzka.

– Ludzka?

– Tak, ludzka. Jest istotą pozaziemską, ale posiada więcej ludzkich cech, niż można by się tego spodziewać. Niewykluczone, że ukrył przede mną to, co byłoby dla mnie obce, uwypuklił natomiast ludzką stronę swojej osobowości.

– W każdym razie to bardzo inteligentna istota. A poza tym złożona.

– Każdy, kto przeżyłby milion lat, byłby równie wyrafinowany.

– Kiedyś powiedział nam, że jest nieśmiertelny.

– Nie rozmawialiśmy o tym. W ogóle mało mówiliśmy o jego życiu.

– Jesteś nim chyba zafascynowany – stwierdziła Rila.

– Tak, tak mi się wydaje. Najdziwniejsze jest to, że swobodnie rozmawiałem z przedstawicielem obcej inteligentnej rasy. O czymś takim gazety krzyczałyby na pierwszych stronach. Sensacyjne zdarzenie. Naprawdę sensacyjne. Przecież pisze się o czymś takim i mówi od lat Czy istnieją inne cywilizacje we wszechświecie? Jak mogłoby wyglądać spotkanie człowieka z kosmitą? Tak wiele sporów wywołuje temat pierwszego kontaktu. Dla mnie nie było w tym nic sensacyjnego. Wszystko przebiegło w zwyczajnej, przyjacielskiej atmosferze.

– Jesteś dziwnym człowiekiem, Asa – powiedziała Rila. – Zawsze dostrzegałam twą odmienną. Może właśnie dlatego cię kocham. Poglądy innych ludzi nie mają żadnego wpływu na twoje zapatrywania. Kierujesz się wyłącznie własnymi zasadami.

– Dziękuję, moja droga – rzekłem.

Zapadło milczenie. Pomyślałem o Kociopysku – musiał teraz siedzieć wśród zapadającego zmroku albo w gęstwinie dzikich jabłonek, albo w sadzie na farmie. Nieoczekiwanie odkryłem, że wiem o nim znacznie

więcej, niż wynikałoby z naszej rozmowy. Miałem na przykład świadomość, że nie jest on stworzeniem biologicznym, lecz tworem elektroniczno–molekularnym, którego istota wymykała się memu pojmowaniu. Możliwe, że jakiś specjalista elektronik potrafiłby się w tym rozeznać, choć na pewno nie do końca. Wiedziałem również, że dla niego czas nie jest elementem kontinuum czasoprzestrzennego, nie uważa go za spoiwo utrzymujące wszechświat w całości, lecz za zupełnie niezależny czynnik, którego naturę opisywał zbiór równań matematycznych. Nie dostrzegałem w tych wzorach żadnego znajomego elementu, nie mogłem ich zrozumieć, nie przedstawiały dla mnie najmniejszego sensu, wiedziałem jednak, że jakakolwiek ingerencja czy manipulowanie czasem wymaga zrozumienia owych równań. Nie wiem, skąd miałem pewność, że mimo swej nieśmiertelności Kociopysk wierzył i miał nadzieję na życie wieczne. Wydało mi się to strasznie dziwną koncepcją – istota nieśmiertelna nie powinna chyba wierzyć w coś takiego.

Jak to się stało, że poznałem tak wiele jego sekretów? Z pewnością nie mówił mi o nich. Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że mógł o tym wspomnieć, tyle że ja, przejęty i zaskoczony sytuacją, w jakiej się znalazłem, nie zwróciłem na te informacje uwagi.

Rila podniosła się.

– Chodźmy spać – powiedziała. – Może jutro będzie lepszy dzień.

Okazało się, że nie był ani zły, ani dobry. Po prostu nic ważnego się nie wydarzyło.

Przed południem pojechaliśmy z Rilą do Willow Bend. Hiram zdążył już gdzieś zniknąć, wyszedłszy z Bowserem na spacer zaraz po śniadaniu. Nie szukaliśmy go, nie mogliśmy przecież poświęcić całego czasu na niańczenie Hiram. Przykazano mu w szpitalu, że ma odpoczywać, ale

chyba jedynym sposobem zapewnienia mu odpoczynku było związanie rąk i nóg.

Ben przekazał wiadomość, że ludzie z Safari mają przyjechać nazajutrz. Nic nie mówili o tym, czy – a jeśli tak, to kiedy – zorganizują następne wyprawy myśliwskie.

Prasa poświęcała sporo uwagi tragicznemu wypadkowi w okresie kredy. Wszystkie relacje zgodnie podkreślały, że Safari Inc. niemal natychmiast ujawniło fakt tragedii. Nikt nie starał się tuszować wstrząsającego zdarzenia; ktoś z zarządu firmy miał jakoby powiedzieć, że przez wiele lat ludzie ginęli podczas polowań, a ten wypadek jest o tyle odmienny, że nie uratował się żaden z członków wyprawy.

Ponieważ sprawa tragedii zajmowała niemal wszędzie pierwsze strony dzienników, afera z Hotchkissem została przesunięta na dalszy plan, nadal jednak poświęcano jej wiele miejsca. Dyskusja nad tym, czy powinniśmy zapuszczać się w przeszłość i badać dzieje Jezusa, wciąż gorzała pełnym blaskiem. Już dawno wydawcy nie mieli okazji publikować tak obszernych i kontrowersyjnych wypowiedzi.

Rila została w biurze, by porozmawiać z Benem i Herbem, ja zaś wymknąłem się na spotkanie z Kociopyskiem. Dobrze się złożyło, bo zastałem go w sadzie.

Nie poinformowałem go o tym, co się stało. Nie byłem pewien, czy to go zainteresuje, a poza tym istniało tak wiele spraw, o których chciałem z nim pomówić.

Usiadłem na ziemi i na kilka godzin pogąrzyliśmy się w rozmowie. Nawet nie była to rozmowa, lecz przekazywanie obrazów. Podobnie jak poprzednio miałem wrażenie, że zespoliłem się z Kociopyskiem, że stałem się jego częścią i mogłem patrzeć na wszystko jego oczyma.

Pokazał mi dalsze fragmenty centrum galaktycznego oraz niektórych pracujących tam specjalistów: owadopodobne stworzenia badające historię, zajmujące się nie tyle wydarzeniami, ile kierunkami rozwoju i ogólnymi trendami, traktujące historię jako naukę, a nie tylko jako dokumentację przeszłości; kuliste istoty, specjalizujące się w socjologii, studiujące zależności pomiędzy cechami charakterystycznymi poszczególnych ras a właściwościami tworzonych przez nie cywilizacji; wężopodobne dziwadła, zajmujące się nie tyle prognozowaniem, ile naukową ekstrapolacją przyszłych kierunków rozwoju społeczeństw i wskazywaniem ewentualnych zagrożeń i nadchodzących kryzysów.

Usiłował mnie także wprowadzić w technikę wykorzystywania określonych równań i posługiwania się pewnymi siłami do otwierania tuneli czasowych – wszystko to wykraczało poza moje zdolności pojmowania. Zasypywałem go pytaniami, lecz te z reguły były tak dalekie od istoty zagadnienia, że wprawiały go jedynie w zdumienie. Kiedy zaś próbował mi coś wyjaśnić dokładniej, ja z kolei stawałem wobec nie lada problemu.

Mając świadomość, że Rila może się zacząć o mnie niepokoić, przerwałem naszą rozmowę i wróciłem do biura. Cała trójka wciąż była pogrążona w dyskusji i chyba nawet nie zauważyli mojego zniknięcia.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, przybyła delegacja z Safari. Ben i ja udaliśmy się z nimi do kredy. Tym razem pozwoliliśmy Rili zabrać się z nami.

To była paskudna robota. Nie chciałem się do niczego dotykać, stałem tylko i przyglądałem się z boku. Tamci pozbierali ludzkie szczątki do plastikowych worków, starając się zarazem poskładać rozrzucone kości w kompletne szkielety. W wielu wypadkach były one przemieszane ze sobą i miałem wrażenie, że wysiłki na nic się nie zdadzą. Przy kilku szkieletach

znaleziono breloczki i łańcuszki pozwalające na identyfikację szczątków, lecz większość z nich musiała zostać nie rozpoznana.

Szkielet gigantycznego allozaura także załadowano na jedną z ciężarówek. Prosił o przywiezienie go jakiś paleontolog z Harvardu.

Mniej więcej po trzech godzinach obozowisko zostało oczyszczone z kości, broni, amunicji, namiotów oraz innego sprzętu, po czym ruszyliśmy w drogę. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo ucieszył mnie powrót do Mastodonii.

Minęło dziesięć dni. Gazety bez przerwy zajmowały się dwoma tematami – tragedią w okresie kredy oraz szumem wokół badania życia Jezusa. Wpłynęło kilka pozwów sądowych przeciwko firmie Safari. Niektórzy członkowie Kongresu wygłaszali mowy nawołujące rząd do uregulowania sprawy podróży w czasie. Departament Sprawiedliwości zwołał konferencję prasową, na której wyjaśniono, że jakiegokolwiek regulacje prawne mogą napotkać poważne trudności, gdyż spółka „Czas” działa niejako w innym kraju, podkreślano jednak, że w świetle prawa międzynarodowego status Mastodonii daleki był od klarowności. Liczba reporterów i ekip telewizyjnych czuwających pod bramą w Willow Bend wyraźnie zmalała.

Włóczęga kilkakrotnie przychodził do nas z wizytą i po odebraniu swej porcji marchewki był sprowadzany w dolinę. Hiram wściekał się, gdyż nie wyrażaliśmy zgody, by mastodont pozostał blisko domu. Bowser wdał się w awanturę z borsukiem i poniósł sromotną porażkę. Hiram przez dwa dni trzymał go za łapę, nim rana zaczęła się w końcu zablizniać. Tłumy turystów przerzedziły się nieco, ale plac parkingowy i motel Bena wciąż przynosiły niezłe dochody. Ben zawiózł Rilę do Lancastera – ukrył ją na tylnym siedzeniu do czasu, aż minęli Willow Bend. Rila dogadała się ostatecznie z wykonawcą i wróciła do domu z plikiem kopii planów.

Spędziliśmy nad nimi przy stole w kuchni kilka wieczorów, dyskutując o tym, co chcielibyśmy zmienić.

– Budowa będzie nas sporo kosztowała – stwierdziła Rila. – Dwukrotnie więcej, niż zakładałam. Sądzę jednak, że nawet w najgorszym wypadku starczy nam pieniędzy. Bardzo bym chciała mieć ten dom, Asa. Chcę zostać w Mastodonii i mieszkać tu w pięknym domu.

– Ja również – rzekłem. – Wielką zaletą jest fakt, że nie będziemy musieli płacić żadnych podatków.

Przeprowadziłem kilka rozmów z Kociopyskiem. Kiedy Hiram odkrył, że teraz i ja potrafię z nim rozmawiać, spuścił nieco nos na kwintę, ale dość szybko się z tym pogodził.

Ben przywiózł nam dobre nowiny. Telefonował mecenas i powiadomił, że filmowcy znów przystąpili do negocjacji. Safari przekazało, że wyśle kolejne wyprawy w przyszłym tygodniu.

I nagle jakby niebo zważyło się nam na głowy.

Mecenas zadzwonił do Bena, zawiadomił, że przyleci do Lancastera, i prosił, żeby wyjechać po niego.

– Na miejscu powiem wam, o co chodzi – rzekł krótko.

Herb przekazał nam wiadomość i kiedy Ben przyjechał z mecenasem, czekaliśmy wszyscy w biurze.

Ben wyciągnął butelkę whisky i papierowe kubki.

– To dobry pomysł – stwierdził McCallahan. – Powinniśmy się napić, zanim wyjawię wam nowiny. Tym razem znaleźliśmy się w kłopotcie.

Usiedliśmy i czekaliśmy, co powie.

– Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów – zaczął – ale chciałem się z wami skontaktować i dowiedzieć, czy nie znajdziecie jakiegoś wyjścia z tej sytuacji. Zostaliście poddani izolacji. Departament Stanu wydał dziś rano decyzję zabraniającą obywatelom amerykańskim wyjazdu do Mastodonii.

– Nie mieli prawa tego zrobić – odezwała się Rila.

– Nie mam pewności, czy ta decyzja jest zgodna z prawem – oznajmił mecenas. – Sądzę jednak, że jest. Niemniej została ogłoszona, bez podania przyczyn. Przypuszczam zresztą, że nie muszą ich podawać. W gruncie rzeczy mają prawo objąć zakazem podróżowania dowolny region świata, po prostu wyszczególniając kraje, do których nie wolno udawać się obywatelom amerykańskim.

– Dlaczego to zrobili? – zapytał Ben.

– Trudno powiedzieć. Może z powodu afery wokół badań życia Chrystusa. Tragedia wyprawy również mogła wpłynąć na ich decyzję. Mastodonia stanowi bramę do wielu miejsc, gdzie na obywateli czyhają różne niebezpieczeństwa. Osobiście uważam jednak, że powód był inny. Podniósł się szum na całym świecie, kraj podzielił się na dwa obozy. W licznych wystąpieniach kongresmeni zarzucali władzom, że w ogóle dopuściły do podania kwestii religijnych pod osąd publiczny. Powstały niezwykle silne grupy nacisku. To najgorętszy kartofel, jaki kiedykolwiek Waszyngton próbował utrzymać w rękach. Chodziło przede wszystkim o odcięcie dostępu do Mastodonii i podróży w czasie. Jeśli nikt nie będzie mógł dostać się do Mastodonii, nie będzie mógł wyruszyć w przeszłość. Jeśli zaś niemożliwe jest badanie historii, spór wokół Chrystusa stanie się dyskusją akademicką.

– To oznacza, że Safari nie będzie mogło korzystać z tuneli czasowych – powiedział Ben. – Nikt nie będzie mógł z nich korzystać. Rozmowy z filmowcami możemy uznać za niebyłe. W ten sposób zostaliśmy wysadzeni z siodła.

– W chwili obecnej tak – przyznał mecenas. – Możemy wystąpić o chwilowe zawieszenie decyzji. Gdyby sąd zatwierdził zawieszenie, moglibyśmy kontynuować interesy do czasu prawnego rozstrzygnięcia

meritum sprawy. Sąd musiałby wówczas orzec albo uchylenie decyzji, co byłoby dla nas korzystne z uwagi na dalsze kontrakty, albo uchylenie jej zawieszenia, co oznaczałoby uprawomocnienie decyzji i na dobre przekreśliłoby nasze plany.

– Moglibyśmy też przenieść naszą działalność do innego państwa – podsunęła Rila.

– Owszem, można by to zrobić – rzekł mecenas. – Ale wymagałoby to negocjacji z rządem danego kraju, co z pewnością zajęłoby sporo czasu. Ponadto nie zdziwiłbym się, gdyby zażądano od nas poważnej zapłaty w gotówce.

– Czyli łapówki – wtrącił Ben.

– Nikt nie użyłby tego słowa. Po tym, co zdecydował nasz rząd, zapewne większość krajów by nam odmówiła. Zatem najpierw trzeba by znaleźć odpowiednie państwo. Ostrzegałbym przed niektórymi krajami, zwłaszcza tymi, w których panują dyktatury. Z kolei na miejscu mogłyby wyniknąć przeróżne kłopoty z tamtejszymi władzami. Zarządzenie Departamentu Stanu ma jedną zaletę: w pośredni sposób przyznaje, że Mastodonia jest odrębnym krajem, co z kolei wytrąca broń z ręki władzom skarbowym.

– Proszę więc jak najszybciej wystąpić o zawieszenie tej decyzji – oznajmił Ben.

– Niezwłocznie. Sądzę, że powinienem znaleźć poparcie u kierownictwa Safari i wśród filmowców. Mogliby wystąpić przeciwko bezpodstawnym ograniczeniom w handlu. Pewnie znajdziemy też wiele innych argumentów. Będę musiał to przemyśleć.

– Wygląda na to, że musimy się na razie ukryć i przeczekać burzę – stwierdził Ben. – Czy jest pan pewien, że sąd zawiesi tę decyzję?

– Trudno powiedzieć. Zwykle podobne sprawy załatwia się niemal od ręki. Ale w tym wypadku mamy przeciwko sobie Departament Stanu. Może być ciężko. – Zamyślił się, a po chwili dodał: – Nie jestem pewien, czy powinienem o tym teraz mówić, ale sądzę, że tak. Być może znajdzie się inne wyjście. Nie wiem, czy moje przypuszczenia są słuszne. Otóż rozmawiali ze mną agenci CIA. Chcieli nawiązać współpracę, odwoływali się do patriotycznych obowiązków. Prosilili o zachowanie tajemnicy. Co prawda nie obiecywałem im niczego, ale na waszym miejscu nie rozpowiadałbym o tym. Odniosłem wrażenie, że chcieliby wykorzystać podróże w czasie do umieszczania swoich ludzi we właściwych miejscach i odpowiednim czasie. Nie powiedzieli tego wprost, lecz nie widzę innego sposobu użycia przez nich tuneli. Udawałem głupka, nie sądzę jednak, by dali się na to nabrać.

– Czy to znaczy, że gdybyśmy udostępniili im podróże w czasie, wówczas Departament Stanu odwołałby swą decyzję? – zapytał Ben. – W takim razie owa decyzja miałaby jedynie na celu wywarcie presji.

– Trudno powiedzieć, sprawa nie jest całkiem jasna. Ale nie wykluczam, że nasz sygnał o gotowości współpracy z CIA pociągnąłby za sobą odpowiednie naciski na zmianę stanowiska Departamentu Stanu.

– Dlaczego zatem nie spróbować? – rzekł Ben. – Ostatecznie to nie nasz interes, kto i do czego wykorzystuje podróże w czasie.

– Nie – zaproponowała Rila.

– Dlaczego nie?

– Jeśli pozwolimy tym z rządu wetknąć nogę między drzwi, to zaraz będą chcieli otworzyć je na oścież.

– Jest w tym sporo racji – przyznał mecenas. – Radziłbym, żeby zachować kontakty z CIA jako broń ostateczną. Możliwe, że dla ratowania wszystkiego będziemy zmuszeni wykonać ten desperacki krok.

– W porządku – zgodził się Ben. – To się trzyma kupy.

– Zrozumcie, proszę, że nie mam żadnej pewności co do zamiarów CIA. Przedstawiłem jedynie swoje przypuszczenia. – Podniósł się z krzesła. – Czy mógłbyś mnie odwieźć, Ben? Czeka mnie wiele pracy.

Ruszyliśmy z Rilą do domu. Gdy tylko wjechaliśmy do Mastodonii, spostrzeegliśmy, że stało się coś złego. Przyczepa mieszkalna leżała przewrócona. Obok niej stał Włóczęga. Bowser obszczekiwał go z dystansu. Hiram okładał Włóczęgę kijem, lecz stary mastodont nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Nacisnąłem pedał gazu.

– Pewnie szukał tej cholерnej marchewki – mruknąłem. – Nie powinniśmy byli go dokarmiać.

Gdy podjechaliśmy bliżej, zauważyłem, że nie tylko szukał marchewki, ale nawet ją znalazł. Rozwalił cały bok przyczepy od strony kuchni, jakimś sposobem otworzył lodówkę i raczył się właśnie zdobyczą.

Zatrzymałem samochód i oboje pospiesznie wyskoczyliśmy. Chciałem rzucić się do przodu, lecz Rila złapała mnie za ramię.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała. – Jeśli chcesz go sprowadzić...

– Sprowadzić?! – wrzasnąłem. – Nie, do cholery! Mam zamiar wziąć karabin i zastrzelić sukinsyna. Powinienem był to zrobić już dawno temu.

– Nie! – krzyknęła Rila. – Nie zabijaj Włóczęgi. To taki miły staruszek.

Hiram łajał go, powtarzając w kółko jedno słowo:

– Niedobry! Niedobry! Niedobry!

Jednocześnie okładał go kijem. Włóczęga spokojnie konsumował marchewkę.

– Poza tym jak chcesz wyciągnąć karabin? – zapytała Rila.

– Jeśli się wdrapię na górę i otworzę drzwi, to będę go miał. Stojak jest tuż za drzwiami.

Hiram wrzeszczał i walił kijem Włóczęgę. Mastodont leniwie, jakby demonstrując swe szczęście, machał ogonem. Chyba dobrze się bawił.

Kiedy tak stałem, cała złość odpłynęła ze mnie i zacząłem się śmiać. Widok był zaiste niecodzienny: Hiram krzyczał i okładał kijem mastodonta, który zupełnie na nic nie zwracał uwagi.

Rila płakała. Puściła mnie, a jej ręce zwisały bezwładnie. Stała wyprostowana, nienaturalnie sztywno, i wstrząsała nią szloch. Po policzkach płynęły jej łzy. Pojąłem, że za chwilę może wpaść w histerię.

Otoczyłem ją ramieniem, obróciłem na miejscu i poprowadziłem z powrotem do samochodu.

– Asa – szepnęła między kolejnymi spazmami. – To straszne. Wszystko nam się dzisiaj zawaliło.

Wsadziłem ją do samochodu i poszedłem po Hiramam. Złapałem go za rękę, w której trzymał kij i odciągnąłem od mastodonta.

– Przestań wrzeszczeć! – huknąłem na niego. – Sam widzisz, że to na nic.

Popatrzył na mnie, zamrugał, jakby zaskoczony moim widokiem. ,

– Ależ, panie Steele – rzekł. – Mówiłem mu i mówiłem. Przykazałem, żeby tego nie robił, ale on się uparł.

– Wsiadaj do samochodu – rozkazałem.

Z ociąganiem ruszył w kierunku samochodu.

– Bowser! – zawołałem.

Pies, niegłupi przecież, ucieszył się, że może skończyć odgrywać rolę stróża, przestał czekać i podbiegł do mnie.

– Do wozu – nakazałem.

Wsunął się za Hiramem na tylne siedzenie.

– I co teraz zrobimy? – zapytała Rila nieswoim głosem. – Co zrobimy?

– Wracamy na farmę – odparłem. – Możemy tam zostać przez jakiś czas.

Tej nocy, w moich ramionach, płakała jeszcze przed zaśnięciem.

– Asa – szepnęła. – Ja kocham Mastodonię. Strasznie chcę mieć tam swój dom.

– Będziesz miała – odparłem. – Na pewno. Duży i mocny, żeby Włóczęga nie mógł go przewrócić.

– Poza tym tak bardzo chciałam być bogata, Asa.

Niestety, tego nie mogłem jej zapewnić.

ROZDZIAŁ 31

Ben i Herb pojechali z nami do Mastodonii. Za pomocą bloczka i liny postawiliśmy dom. Zajęło nam sporą część dnia naprawianie uszkodzeń. W efekcie znowu mogliśmy tu zamieszkać. Włóczęga nie zniszczył lodówki, jeśli nie liczyć nadwerężonych drzwi.

Następnego dnia, mimo protestów zarówno Hiram, jak i Rili, pojechaliśmy łązikiem na poszukiwania Włóczęgi. Znaleźliśmy go w dolinie i pognaliśmy wzdłuż rzeki. Irytowało go takie traktowanie i kilka razy udawał, że rusza do ataku na nas. By go zmusić do biegu, parokrotnie strzelaliśmy ze śrutu na kaczki, który nie mógł mu wyrządzić krzywdy, za to mastodont musiał czuć go na skórze. Przez całą drogę protestował, trąbił i ryczał na nas. Pognaliśmy go jakieś trzydzieści kilometrów w głąb doliny, po czym zawróciliśmy do domu.

Po pięciu dniach znów pojawił się w pobliżu wzgórza, ale odtąd, mimo najpiękniejszych wspomnień o smakowitej marchewce, nie zbliżał się do nas. Kategoriecznie przykazałem Hiramowi, żeby trzymał się z dala od niego, i przynajmniej tym razem Hiram mnie posłuchał.



Przez kilka dni nie mieliśmy żadnych wiadomości od mecenasa. Kiedy w końcu się odezwał, siedziałem właśnie w biurze i rozmawiałem z Benem. Ben szybko dał mi znak, żebym podniósł słuchawkę drugiego aparatu.

Mecenas przekazał, że mając poparcie kierownictwa Safari oraz ekipy filmowej, wystąpił o tymczasowe zawieszenie decyzji. Jednakże procedura sądowa miała potrwać dłużej, niż przypuszczał, ponieważ obie strony przedstawiły dość złożoną argumentację. W szczególności rozwścieczyło go użyte w obronie stanowiska Departamentu Stanu twierdzenie, jakoby podróże w czasie niosły ze sobą zagrożenie dla zdrowia. Powiedział, że gotów byłby przyznać, iż podróże do późniejszych, historycznych epok mogą się wiązać z takim zagrożeniem, lecz w uzasadnieniu decyzji strony rządowej rozciągano niebezpieczny okres na miliony lat w przeszłość, motywując, że bakterie i wirusy występujące w atmosferze mogą się zaadaptować do warunków organizmu ludzkiego, a tym samym zrodzić groźbę wybuchu epidemii o zasięgu globalnym.

Poinformował także, że CIA nie nawiązało z nim powtórnego kontaktu.

– Możliwe, że Departament Stanu wywarł na nich presję – podsumował.

Odwiedził go natomiast senator Freemore. Przekazał, że do obu izb Kongresu ma wpłynąć projekt ustawy zezwalającej na emigrację ludzi znajdujących się w niekorzystnym położeniu (w każdym razie tej części, która wyrazi wolę przesiedlenia się) do ery prehistorycznej. Freemore chciałby wiedzieć, która epoka najlepiej by się do tego nadawała.

– Asa jest razem ze mną na linii – powiedział Ben. – Niech on wypowie się na ten temat.

– W porządku – rzekł mecenas. – Co o tym sądzisz, Asa?

– Miocen – zdecydowałem.

– A nie Mastodonia? Mnie wydawałaby się idealna.

– Jest za blisko czasów historycznych – orzekłem. – Jeśli chcielibyśmy założyć trwałą społeczność w przeszłości, należałoby zachować odpowiednio szeroki margines czasowy oddzielający ją od narodzin naszej cywilizacji.

– Przecież Mastodonia znajduje się w wystarczająco odległej przeszłości, czyż nie?

– Nie, tak nie jest. Dzieli nas zaledwie sto pięćdziesiąt tysięcy lat od współczesności. Można by się cofnąć o trzysta tysięcy lat i nadal przebywać w sangamonie, lecz to także byłoby za blisko. Wówczas żyli już ludzie na Ziemi. Prymitywni, ale jednak ludzie. Nie możemy dopuścić do kolizji między dwiema kulturami.

– A ty i Rila?

– Nas jest tylko dwoje. Nie zamierzamy nikogo więcej wpuszczać do tej ery. Co najwyżej ludzi, którzy będą korzystali z tuneli czasowych. Ponadto przez co najmniej sto tysięcy lat ludzie nie pojawią się jeszcze w Ameryce.

– Rozumiem. A miocen? Ile czasu by nas dzieliło?

– Dwadzieścia pięć milionów lat.

– Sądzisz, że to wystarczająco szeroki margines?

– Daje nam ponad dwadzieścia milionów lat do momentu, kiedy pojawi się cokolwiek przypominającego człowieka. Gdyby zaistniało niebezpieczeństwo kolizji, nie powinno już być ludzi na Ziemi. Podobnie jak licząc dwadzieścia milionów lat od chwili obecnej.

– Sądzisz, że wyginiemy?

– Albo wyginiemy, albo przeniesiemy się gdzie indziej.

– Tak – rzekł McCallahan. – Chyba masz rację.

Na chwilę zapadła cisza.

– Dlaczego akurat miocen, Asa? – zapytał. – Czemu nie jeszcze wcześniej albo trochę później?

– W miocenie występowała trawa, taka jaką znamy dzisiaj, a w każdym razie bardzo podobna. Trawa jest niezbędna dla hodowli zwierząt, ponadto zapewnia obfitość dzikich zwierząt. Osadnicy będą musieli polować,

przynajmniej w pierwszym okresie, dla zapewnienia sobie żywności. Poza tym w miocenie powinni mieć sprzyjający klimat.

– Jaki?

– Koniec okresu długotrwałych deszczów. Powolne przejście do klimatu suchego, ale ilość opadów powinna być jeszcze odpowiednia do uprawy roślin. Gigantyczne lasy pokrywające większą część lądów zaczęły zanikać, ustępując miejsca trawiastym równinom. Osadnicy będą musieli karczować lasy pod pola uprawne, mając zarazem wystarczająco dużo drewna do wykorzystania. Żadnych naprawdę groźnych zwierząt, w każdym razie paleontologia nie zna takich. Nic podobnego do dinozaurów z okresu kredy. Tytanoterie, wielkie świnie, przodkowie słoni, ale nic na tyle wielkiego, by pocisk karabinowy nie dał rady.

– W porządku, przekonałeś mnie. Powiem o tym senatorowi. I jeszcze coś, Asa...

– Tak?

– Co myślisz o tym projekcie? O wysłaniu ludzi w przeszłość?

– Nic z tego nie wyjdzie – odparłem. – Podejrzewam, że tylko nieliczni wyrażą zgodę na emigrację. Nie są pionierami i nie będą mieli ochoty się w nich zmienić.

– Sądzisz zatem, że będą woleli zostać tutaj, siedząc do końca życia na zasiłku? Wszak do tego się to sprowadzi. Żyją w nędzy i nie mają szans na odmianę losu.

– Myślę, że jednak większość zostanie. Tutaj wiedzą przynajmniej, co ich czeka, tam stanęliby wobec nieznanego.

– Obawiam się, że masz rację – przyznał McCallahan. – Łudziłem się, że gdyby zakaz podróżowania nie został zawieszony, przynajmniej plan Freemore'a otworzyłby nam drogę na przyszłość. O ile, rzecz jasna, coś by z tego wyszło.

– Lepiej na to nie liczymy – stwierdziłem.

Ben zamienił jeszcze z mecenasem parę słów. Nie było już o czym rozmawiać.

Kiedy tak siedziałem, przysłuchując się wypowiedziom Bena, pomyślałem, jak szybko ta nasza promienna nadzieja utraciła blask. Kilka tygodni temu wydawało się, że nic nie może nam przeszkodzić: mieliśmy kontrakt z Safari, zaczynały się negocjacje z filmowcami i byliśmy przekonani, że rozkręcamy złoty interes. Teraz grozi nam, że jeśli mecenasowi nie uda się uchylić zarządzenia Departamentu Stanu, staniemy w obliczu totalnej klęski.

Nie przejmowałem się tym zanadto. Pewnie, że nie miałbym nic przeciwko temu, by zostać milionerem, ale pieniądze i powodzenie w interesach nigdy nie miały dla mnie pierwszorzędного znaczenia. Rila podchodziła do tego zupełnie inaczej, a chociaż Ben niewiele dawał po sobie poznać, wiedziałem, że on również przykłada do tego wielką wagę. Stwierdziłem w duchu, że moje rozczarowanie niewiele miało wspólnego z tym, co straciłem ja czy też tamtych dwoje.

Kiedy wyszedłem z biura Bena, udałem się do sadu i odnalazłem Kociopyska. Usiadłem przy nim, żeby porozmawiać. Znowu mówił przede wszystkim on. Tym razem opowiedział mi o swojej ojczystej planecie. Był to krańcowo różny od centrum galaktycznego, prowincjonalny i ubogi pod względem ekonomicznym świat. Ziemie niezbyt nadające się pod uprawy, mało bogactw naturalnych, brak wielkich miast. Mieszkańcy wiedli nędzną egzystencję, poza tym różnili się zasadniczo od Kociopyska – byli stworzeniami o strukturze biologicznej, choć posiadali dziwny, efemeryczny charakter, jakby nie mogli się zdecydować, czy mają stąpać po ziemi, czy zmienić się w duchy.

Kociopysk musiał widocznie wyczuć moje zdumienie, powiedział bowiem:

– Ja byłem wybrykiem natury. Jak wy byście to nazwali? Może mutantem? Zupełnie nie byłem do nich podobny. Uległem przemianie, dlatego sprawiałem im kłopot, wstydzili się mnie, a może nawet trochę bali. Mój początek nie był szczęśliwy.

Zastanowiło mnie, że po raz kolejny mówił o swym początku, a nie o dzieciństwie czy młodości.

– Wezwano cię jednak do centrali – powiedziałem. – Może właśnie dlatego zostałeś wybrany. Przypuszczam, że poszukiwali takich jak ty: stworzeń zdolnych do przemiany.

– Jestem tego pewien – odparł Kociopysk.

– Stwierdziłeś, że jesteś nieśmiertelny. Czy pozostali mieszkańcy twojej ojczystej planety także są nieśmiertelni?

– Nie, skądże. To był jeden z wyznaczników mojej odmienności

– Powiedz mi, Kociopysku, skąd ty możesz o tym wiedzieć? Skąd masz pewność, że jesteś nieśmiertelny?

– Wiem o tym, to wszystko – odparł. – Ta świadomość tkwi we mnie.

Pomyślałem, że to chyba wystarczy. Jeśli był w głębi duszy przekonany, to pewnie miał rację.

Skończyłem to spotkanie bardziej zmieszany niż kiedykolwiek przedtem. Przy każdej naszej rozmowie Kociopysk wprawiał mnie w coraz większe zdumienie. Miałem wrażenie, że jakimś niezwykłym sposobem poznałem go o wiele lepiej niż kogokolwiek innego, że stopniowo odkrywałem takie głębinę jego duszy, które na pozór wydawały się poza moim zasięgiem. Zdumiewała mnie nawet irracjonalność mego przekonania, że znam go aż tak dobrze. Rozmawiałem z nim od czasu nawiązania pełnego kontaktu nie więcej niż kilkanaście razy, a mimo to

miałem świadomość, że zyskałem dozgonnego przyjaciela. Byłem pewien, że wiedziałem o nim rzeczy, które nigdy nie zostały wymienione w naszych rozmowach. Zastanawiałem się, czy nie wynikało to z faktu, iż przy wielu okazjach pozwalał mojej jaźni wnikać w głąb siebie i na jakiś czas zespalać się ze swym umysłem, po to, by ukazać mi pewne obrazy, których nie potrafiłby opisać zrozumiałymi dla mnie słowami. Czy to możliwe, że wskutek owych „wcieleń” zdołałem przyswoić sobie jakąś część jego osobowości, poznałem pewne myśli i pragnienia, którymi być może nie miał zamiaru się z nikim dzielić?

Większość dziennikarzy i reporterów opuściła już Willow Bend. Całymi dniami nie widywało się nikogo, potem znów przyjeżdżało kilka osób i zostawało na dzień czy dwa. Od czasu do czasu mówiono jeszcze o nas w wiadomościach, ale zniknęła całkowicie atmosfera magii. Ludzie zdążyli się oswoić z niezwykłością.

Turyści także wyjechali. Zwykle na parkingu Bena stało kilka samochodów; nigdy już nie był tak zapchany jak poprzednio. W motelu Bena pojawiły się wolne pokoje – okresami było ich nawet sporo. Gdyby nie nastąpiła jakaś zmiana sytuacji, Ben stał przed perspektywą poważnej straty finansowej. Nadal zatrudnialiśmy strażników i po zmroku zapalaliśmy reflektory, lecz powoli zaczynało to być nierozsądne. Pilnie strzeżliśmy czegoś, co chyba nie wymagało już aż takiej ochrony. Kosztowało nas to kupę forsy i co raz wracaliśmy w dyskusjach do tematu zwolnienia strażników i wyłączenia świateł. Sądzę, że głównie dlatego zwlekaliśmy z podjęciem decyzji, iż byłoby to otwarte przyznanie się do porażki. A nikt z nas nie miał jeszcze zamiaru się poddawać:

Kongres podjął dyskusję nad projektem ustawy emigracyjnej. Część polityków torpedowała propozycję jako zrzeczenie się odpowiedzialności za ludzi najuboższych, inni zaś utrzymywali, że pozwoliłaby ona wszystkim

na nowy start w odmiennych warunkach, powodujących znacznie mniejsze stesy niż w obecnym położeniu biedoty. Ścierały się argumenty dotyczące ekonomicznej strony masowej emigracji – koszty zapewnienia pionierom godziwego startu w nieznannej, dziewiczej krainie porównywano z rocznym budżetem pomocy socjalnej. Korzystający z zasiłków od czasu do czasu zabierali głos, lecz ginął on w ogólnej wrzawie; nikt nic chciał ich słuchać. Niedzielne edycje gazet i specjalne wydania dzienników telewizyjnych przedstawiały obszerny, ilustracyjny materiał o warunkach panujących w miocenie. Pod Kapitołem bez przerwy odbywały się pikiety zainteresowanych emigracją obywateli.

W Willow Bend pojawiło się kilka grup zapaleńców. Maszerowali z transparentami i wygłaszali przemówienia nawołujące do zerwania z istniejącym społeczeństwem i przeniesienia się do miocenu, czy też jakiegokolwiek innego miejsca, gdzie nie byłoby rażącej niesprawiedliwości i nierówności obecnego systemu. Paradowali tam i z powrotem przed naszą bramą, w końcu rozbili obozowisko na parkingu Bena. Herb wyszedł do nich na rozmowę. Wkrótce się wynieśli. Nie spotkali reporterów, którzy czekali na wywiad z nimi, fotografów, którzy zrobiliby im zdjęcia, tłumów, które drwiłyby z nich, i rozpędzających demonstracje policjantów. Dlatego się wynieśli.

Obie izby Kongresu uchwaliły ustawę emigracyjną. Prezydent postawił weto, którego Kongres nie przyjął. Ale zarządzenie Departamentu Stanu nadal pozostawało w mocy.

W dzień później sąd podjął decyzję. Nie była po naszej myśli. Nie zawieszono zakazu podróżowania do Mastodonii i nadano mu moc prawną. Zostaliśmy na lodzie.

ROZDZIAŁ 32

Następnego dnia rozpoczęły się zamieszki. Jak na sygnał (nie wiem, czy faktycznie nie było takiego sygnału) ruszyły się slumsy – w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Baltimore, Chicago, Minneapolis, Saint Louis, na całym zachodnim wybrzeżu – dosłownie wszędzie. Tłumy zajęły dzielnice handlowe oraz centra biznesu i w odróżnieniu od sytuacji z roku 1968, tym razem nie slumsy stanęły w ogniu. Trzaskały szyby olbrzymich witryn sklepowych, dokonywano grabieży i podpaleń. Policja, a w kilku wypadkach także gwardia narodowa, strzelała do demonstrantów, lecz ci odpowiadali ogniem z broni palnej. Transparenty, które głosiły: OTWÓRZCIE NAM DROGĘ DO MIOCENU albo: POZWÓLCIE NAM ŻYĆ czy: CHCEMY ZACZAĆ OD NOWA, walały się po ulicach i mokły na deszczu, niejednokrotnie przesiąknięte krwią.

Trwało to pięć dni. Liczba zabitych po obu stronach sięgała tysięcy. Zamarło wszelkie życie. Pod koniec piątego dnia akty przemocy straciły na intensywności. Obie strony – siły porządkowe i grupy rozwścieczonych protestujących – zawarły rozejm. Powoli, z ociąganiem i niechęcią przystąpiono do rozmów.

Byliśmy odizolowani w Willow Bend. Międzymiastowe linie telefoniczne nie działały. Stacje telewizyjne nadawały programy, chociaż w kilku przypadkach one również umilkły. McCallahan tylko raz zatelefonował do nas, później nie mieliśmy już od niego żadnych informacji. Wszelkie próby skontaktowania się z nim spełzały na niczym.

W trakcie tej rozmowy powiedział, że rozważa możliwość złożenia odwołania od decyzji sądu, musi jednak najpierw zbadać pewne niuanse sprawy.

Codziennie wieczorem, a czasami nawet w ciągu dnia, zbieraliśmy się w biurze Bena i oglądaliśmy wiadomości. O każdej porze dnia i nocy, kiedy tylko docierały jakieś nowiny o zamieszkach, natychmiast przerywano programy, nadając w efekcie niemal całodobowy serwis informacyjny.

Smutno było na to patrzeć. W roku 1968 zastanawialiśmy się, czy republika przetrzyma; teraz byliśmy wręcz pewni, że lada moment runie. Miałem pewne poczucie winy, myślę, że pozostali podobnie. Ani razu jednak nie rozmawialiśmy o tym. Mimo wszystko nie mogłem się uwolnić od myśli, że gdybyśmy nie odkryli podróży w czasie, wszystko to nie mogłoby się wydarzyć.

Wyrzucaliśmy sobie, że byliśmy ślepi, że trwaliśmy w przekonaniu, iż ustawa emigracyjna jest tylko mało znaczącym politycznym gestem i że jedynie garstka spośród tych, których ustawa mogłaby dotyczyć, wyrazi zgodę na rozpoczęcie pionierskiego życia w nieznannej krainie. Zwłaszcza ja nie mogłem sobie tego darować, ponieważ od samego początku stałem na stanowisku, że cała ta propozycja pozbawiona była sensu. Furia tłumów wskazywała wyraźnie, że mieszkańcy slumsów pragną szansy, którą oferowała ustawa. Trudno jednak było rozsądzić, jak wiele agresji wyzwoliło pragnienie zrealizowania tej szansy, ile zaś wynikało z przypadku, z uwolnienia nagromadzonej nienawiści i goryczy, z ręcznie wykorzystywanej przez inspiratorów zamieszek.

W którymś momencie rozeszła się plotka, że armia buntowników z Bliźniaczych Miast[5] ruszyła na Willow Bend, prawdopodobnie mając zamiar przejąć kontrolę nad podróżami w czasie. Szeryf błyskawicznie zebrał grupę ochotników, żeby zablokować drogę, okazało się jednak, że

nie było żadnego marszu. Po prostu w telewizji podano jeszcze jedną nie sprawdzoną informację, jakie czasami przedostawały się do serwisu wiadomości. Nie mam pojęcia, dlaczego buntownicy nie wpadli na pomysł przejęcia siłą kontroli nad tunelami czasowymi. Z ich punktu widzenia byłoby to logiczne posunięcie, chociaż pod żadnym względem nie przyniosłoby im takich korzyści, jakich zapewne mogliby się spodziewać. Gdyby w ogóle o tym pomyśleli, zapewne sądziliby, że istnieje jakaś maszyna czasu, którą mogliby zawładnąć i nauczyć się obsługiwać. Widocznie jednak nikomu to nie przyszło do głowy. Możliwe, że przywódcy zamieszek koncentrowali się na aktach przemocy, które miały powalić władze federalne na kolana.

Kiedy minęło pięć dni, w zniszczonych, popalonych miastach zapanował względny spokój. Podjęto rozmowy, ale nie ujawniano, kto, gdzie i nad czym dyskutował. Nawet wścibscy dziennikarze i reporterzy nie potrafili przełamać zmowy milczenia. Znów próbowaliśmy skontaktować się z mecenasem, lecz linie międzymiastowe nadal nie działały.

Wreszcie późnym popołudniem któregoś dnia McCallahan zjawił się przed naszą bramą.

– Nie próbowałem dodzwonić się z Lancastera – powiedział – gdyż łatwiej było wynająć taksówkę i przyjechać do was.

Pociągnął tęgi łyk z kubeczka, który wręczył mu Ben, po czym opadł na krzesło. Wyglądał na zmęczonego i zaganianego.

– Dzień i noc przez ostatnie trzy doby – rzucił. – Chryste, mam nadzieję, że nigdy już nie będę musiał przechodzić przez coś podobnego.

– To znaczy, że uczestniczył pan w negocjacjach? – zapytał Ben.

– Właśnie. I myślę, że wszystko zostało dograne. W całym moim życiu nie spotkałem tak upartych sukinsynów. Po obu stronach: i rządowej, i buntowników. Musiałem walczyć z jednymi i drugimi. Na okrągło

wyjaśniałem, że spółka „Czas” jest materialnie zaangażowana w sprawę, że musimy chronić własne interesy, a bez naszej pomocy nikt donikąd nie wyemigruje.

Wysuszył do końca papierowy kubek i wyciągnął go w stronę Bena. Ten nalał mu kolejną porcję whisky.

– Sądzę, że dopięliśmy swego – kontynuował. – Podpisane zostały odpowiednie dokumenty. W myśl ustaleń, o ile któryś z łajdaków się nie rozmyśli, mamy otworzyć bezpłatnie przejście do miocenu. Musiałem się zgodzić na ten warunek. Strona rządowa utrzymywała, że realizacja ustawy emigracyjnej będzie tyle kosztowała, że jakiegokolwiek dodatkowe opłaty dla nas nie wchodzi w rachubę. Nie za bardzo chce mi się w to wierzyć, ale nie miałem wyboru. Gdybym się sprzeciwił, rozmowy zostałyby zerwane; myślę nawet, iż rząd szukał jakiegokolwiek pretekstu, żeby się z nich wycofać. Mamy jedynie otworzyć przejście, nic poza tym. Możemy powiedzieć: proszę, oto tunel, a reszta to już wasze zmartwienie. W zamian Departament Stanu odwoła swoje zarządzenie i zobowiązał się, że nigdy nie będzie próbował narzucać nam regulacji prawnych, czy to stanowych, federalnych, czy jakichkolwiek innych. Co więcej, a był to kolejny punkt, który omal nie doprowadził do zerwania rozmów, Mastodonia została zrównana pod względem prawnym z niepodległymi państwami!

Spojrzałem przez całą długość pokoju na Rilę: uśmiechała się – po raz pierwszy od wielu dni na jej twarzy zagościł uśmiech. Jakimś sposobem wiedziałem dokładnie, o czym myśli – będziemy teraz wreszcie mogli zacząć budowę naszego domu w Mastodonii.

– Myślę, że to bardzo dobre nowiny – rzeki Ben. – Odwalił pan kawał dobrej roboty, mecenasie. Przypuszczam, że w każdej sytuacji mielibyśmy poważne kłopoty, żeby wyciągnąć od władz choćby najmniejsze pieniądze.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Hiram. Wszyscy zwrócili twarze w jego kierunku.

Zaszurał nogami i zrobił dwa kroki do przodu.

– Panie Steele – rzekł. – Kociopysk chce, żeby pan przyszedł. Chce się z panem zobaczyć. Mówi, że to bardzo pilne.

Podniosłem się.

– Pójdę z tobą – zaproponowała Rila.

– Nie. Lepiej sam się przekonam, o co chodzi. Prawdopodobnie to nic ważnego. Zaraz wrócę.

Miałem jednak przeczucie, że coś się stało. Nigdy dotychczas Kociopysk mnie nie wzywał.

Kiedy wyszliśmy, Hiram powiedział:

– Jest tam, koło kurnika.

– Zostań tu – przykazałem. – Pójdę sam.

Przeszedłem przez podwórze, minąłem róg kurnika i ujrzałem Kociopyska. Siedział na jednej z jabłonek. Nim się zbliżyłem, poczułem, jak jego myśli sięgają do mego umysłu. Oto znów byliśmy zespoleni, tylko my dwaj, całe otoczenie jakby przestało istnieć.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedział. – Chciałem się z tobą zobaczyć, zanim odejdę. Pragnąłem ci przekazać...

– Odejdiesz?! – wykrzyknąłem. – Nie możesz odejść, Kociopysku. Nie teraz. Dokąd miałbyś odejść?

– Nic na to nie poradzę – wyznał. – Po raz kolejny ulegam przemianie. Opowiadałem ci, jak raz już się zmieniłem, na mojej ojczystej planecie, zaraz po początku...

– Przemiana? – zapytałem. – Cóż to za przemiana? Dlaczego miałbyś się zmieniać?

– Nic nie mogę na to poradzić. Nadeszła pora. Nie robię tego z własnej woli.

– Czy ty pragniesz tej przemiany, Kociopysku?

– Chyba tak. Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym. Jednak czuję się szczęśliwy, gdyż wrócę do domu.

– Do domu? Na tę planetę, gdzie się urodziłeś?

– Nie. Do centrum galaktycznego. Teraz zrozumiałem, że tam jest mój dom. Asa, czy wiesz, co mam na myśli?

Czułem lód w żołądku. Byłem zmartwiały, przybity i pozbawiony wszelkiej nadziei.

– Nie, nie wiem – odparłem.

– Sądzę, że zmieniam się w boga. Kiedy wrócę, stanę się jednym z nich. Oni chyba tak właśnie się rozwijają, ewoluują z innych form żywych. Może tylko ze stworzeń takich jak ja, a może również z innych. Nie wiem. Myślę, że pewnego dnia dowiem się i tego. Zakończyłem swoje terminowanie. Teraz uzyskam wyższy stopień.

Znalazłem się w pustce, w czarnej, bezdennej otchłani; w mej głowie kołatała się myśl, że owa pustka nie wynika z tego, iż Kociopysk nie będzie już otwierał dla nas żadnych tuneli czasowych, lecz że utracę z nim wszelki kontakt.

– Asa – rzekł. – Ja wracam do domu. Zgubiłem drogę, ale teraz znów ją odnalazłem. Wracam do domu.

Nie odzywałem się. Cóż mogłem powiedzieć? Byłem zupełnie zagubiony w tej otchłani.

– Mój przyjacielu – powiedział. – Proszę, życz mi dobrze. Bardzo mi tego potrzeba na drogę.

Wydobyłem z siebie słowa, wydarłem je gdzieś z głębi duszy, jakbym wrywał kawałki żywego mięsa ze swego ciała; pragnąłem mu to

powiedzieć, musiałem to powiedzieć, a jednak przyszło mi to z takim trudem.

– Życzę ci dobrze, Kociopysku. Z całego serca życzę ci wszystkiego najlepszego. Będzie mi ciebie brakowało.

Odszedł. Nie dostrzegłem jego odejścia, ale wiedziałem, że go już nie ma. Z głębin nicości powiał nagle zimny wiatr, czarną otchłań wypełniła szarość, w końcu zmyła ją zupełnie. Znowu stałem w sadzie, tuż przy narożniku starego kurnika, i spoglądałem na puste gałęzie jabłonki.

Zapadał zmierzch. W każdej chwili mogły się automatycznie włączyć reflektory, zmieniając całą farmę w scenerię sennego koszmaru i oświetlając wędrujących niestrudzenie wzdłuż parkanu strażników. Z wdzięcznością przyjąłem tych kilka tak bardzo potrzebnych mi teraz chwil półmroku.

Zapaliły się światła. Wykonałem zwrot na pięcie i poszedłem w stronę budynku administracyjnego. Bałem się, że nie utrzymają mnie nogi, ale się nie przewróciłem. Kroczyłem sztywno wyprostowany jak marionetka na sznurkach. Hirama nie dostrzegłem nigdzie w pobliżu. Bowser zapewne polował na świstaki, choć było na to chyba trochę za późno. Zwykle chowały się głęboko w swych norach tuż po zachodzie słońca.

Wszedłem do biura. Gdy tylko otworzyłem drzwi, ucichły rozmowy i wszyscy zwrócili się w moją stronę.

– No i co? – zapytała Rila.

– Kociopysk odszedł – powiedziałem.

Ben gwałtownie poderwał się z krzesła.

– Odszedł?! – krzyknął. – Dokąd odszedł?

– Wrócił do domu – wyjaśniłem. – Chciał się pożegnać. Tylko tyle.

– Nie mogłeś go zatrzymać?

– Nie było sposobu, żeby go zatrzymać, Ben. Widzisz, on dojrzał. Zakończył okres terminowania...

– Zaraz, poczekajcie chwilę – wtrącił mecenas, starając się zachować zimną krew. – On tu wróci, prawda?

– Nie, nie wróci – odparłem. – Uległ przemianie. Zmienił się w coś innego...

Ben walnął pięścią w biurko.

– Cóż za parszywe, przekłete zakończenie! I co my teraz zrobimy? Czy nie rozumiecie, że w ten sposób zostaliśmy zupełnie na lodzie?

– Nie tak szybko – rzekł McCallahan. – Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Najpierw trzeba rozważyć możliwe wyjścia. Niewykluczone, że coś jeszcze zostało, że nadal mamy szansę.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Ben. – Nic nie rozumiem z tej prawniczej gadki...

– Zachowaliśmy jeszcze to, co już zdobyliśmy – wyjaśnił mecenas. – Mamy kontrakt z Safari wartości okrągłych dwóch milionów rocznie.

– A miocen? Co zrobimy z mioceniem?

– Nie będzie miocenu, Ben. Będzie Mastodonia.

– Nigdy! – krzyknęła Rila. – Nie wpuszczę nikogo do Mastodonii! Wszystko by tam zniszczyli Mastodonia należy tylko do Asy i do mnie.

– Jeśli Kociopysk odszedł i nie otworzył dla nas kolejnych tuneli czasowych – rzekł McCallahan zimnym, stanowczym głosem – musimy wpuścić ludzi do Mastodonii w przeciwnym razie nie będziemy mieli w ogóle niczego. – Zwrócił się do mnie: – Jesteś pewien, że Kociopysk odszedł na zawsze i nie wróci?

– Jestem pewien.

– I nie będzie innych tuneli czasowych?

– Nie – odparłem. – Nie będzie innych tuneli czasowych.

– Jesteś tego zupełnie pewien?

– Całkowicie – oświadczyłem. – Czemu, do diabła, miałbym was okłamywać? Sądźcie, że to żart? Powtarzam więc, że to nie jest żart. I powiem wam coś jeszcze: nie wyślecie nikogo do Mastodonii. Wyjaśniałem to już wczoraj. Oddziela nas niewystarczający margines czasu. W erze Mastodonii istnieją już ludzie. Polują na mastodonty w Hiszpanii i ociosują krzemienie we Francji.

– Zwariowałeś! – krzyknął Ben. – Chcesz stracić nawet tę odrobinę, którą mamy...

– Tak, na Boga! – wrzasnąłem na niego. – Mogę to stracić! Mam gdzieś wasze dwa miliony! Mam gdzieś rząd i wszystkich buntowników!

– Nas też masz gdzieś? – zapytał mecenas spokojnie, jak dla mnie o wiele za spokojnie.

– Owszem – odparłem. – Was też mam gdzieś. Wysyłając ten motłoch do Mastodonii możemy obrócić w ruinę wszystko, co posiadamy, to znaczy wszystko, co osiągnęła ludzkość.

– Wiecie, że on ma rację – powiedziała cicho Rila. – Ma rację pod jednym względem, a ja mam rację pod innym. Mastodonia należy do nas dwojga i nikt więcej nie ma do niej prawa. Teraz to chyba jasne. Nie wolno nam jej udostępnić. Poza tym...

Nie czekałem, żeby usłyszeć, co ma jeszcze do powiedzenia. Odwróciłem się i wypadłem z pokoju. Przebiegłem korytarzem, niezbyt wiedząc, dokąd mnie niosą nogi. Znalazłem się na dworze i ruszyłem do bramy wjazdowej.

– Proszę mnie wypuścić – rzuciłem stojącemu przy bramie strażnikowi, a ten bez słowa otworzył ją.

Mrok gęstniał, panowały już niemal zupełne ciemności. Ledwie rozróżniałem ciemne zarysy drzew rosnących wzdłuż drogi do Willow

Bend. Wielki parking Bena był opustoszały. Ruszyłem w tamtą stronę. Nie miałem określonego celu, nie obchodziło mnie, dokąd idę. Po prostu musiałem wyrwać się stamtąd.

Miałem świadomość, że bez względu na moje i Rili argumenty staliśmy na straconej pozycji, że pod wpływem różnych nacisków będziemy zmuszeni wpuścić te hordy do Mastodonii. A najbardziej bolało mnie, że wśród tych, którzy będą wywierali naciski, na pewno znajdą się Ben i mecenas.

Uszedłem już spory kawałek w głąb pola parkingowego, gdy nagle zatrzymałem się i odwróciłem. Miałem przed sobą zalewane strumieniami światła z reflektorów ogrodzenie. Nigdy nie widziałem go od zewnątrz, z wyjątkiem tego razu, kiedy wracałem z wyprawy do Europy. Zresztą wtedy zwracałem uwagę na co innego – na tłumy ludzi, samochody na parkingu, upchane jak sardynki w puszcze, budki z hot dogami czy sprzedawcę baloników – i prawie w ogóle nie zauważyłem ogrodzenia. Teraz ujrzałem je w groteskowym, jak nie z tego świata majestacie, w mej pamięci odżyły wspomnienia tego, jak to było wcześniej, zanim stanął tu parkan. Poczuję się nagle zagubiony i osamotniony, jak ktoś, kto stracił swój dom – nie tylko jakbym stracił starą farmę, ale również Mastodonię. Byłem przekonany, że utrata Mastodonii jest tylko kwestią czasu. A wraz z nią mieliśmy utracić dom z polnych kamieni, z licznymi kominami – dom, który zaplanowała Rila i na którego temat przegadaliśmy tyle wieczorów.

Pomyślałem o Rili. Ta nachalna dziwka – jak sama o sobie mówiła – która chciała być bogata, zaledwie przed minutą podjęła decyzję: bez chwili wahania wybrała między Mastodonią a okrągłymi dwoma milionami dolarów rocznie.

Nazwałem ją oszustką, ale to była tylko poza – owa dziwkowata i nachalna strona jej charakteru. Kiedy trzeba było dokonać ostatecznego

wyboru, odrzuciła pozę i podjęła decyzję. Była nadal – bez względu na upływ lat i koleje losu – tą samą dziewczyną, którą pokochałem podczas prac wykopaliskowych na Środkowym Wschodzie, dziewczyną z łuszczącą się na nosie od bezlitośnie prażącego słońca skórą i wiecznie umorusaną twarzą, gdyż pocierała tę spaloną, swędzącą skórę brudnymi rękoma.

Później przyszedł mi na myśl miocen. Dlaczego nie sięgnęliśmy do miocenu? Dlaczego nie wpadliśmy wcześniej na to, by poprosić Kociopyska o otwarcie drogi do miocenu, tak na wszelki wypadek? Gdybyśmy dysponowali tunelem, nawet po odejściu Kociopyska moglibyśmy ocalić Mastodonię.

A Kociopysk? Pozostał tylko we wspomnieniach. Już nigdy nie wyjrzy na mnie z gąszczu jego uśmiechnięta twarz. Przynajmniej poznał jakąś część prawdy o samym sobie.

Kociopysku – powiedziałem w duchu. – Żegnaj, stary przyjacielu. Życzę ci wszystkiego najlepszego. Będzie mi ciebie bardzo brakowało.

W tej samej chwili odniosłem wrażenie, że znów obok mnie pojawiły się jego myśli, znów moja świadomość zlała się z nim w jedno, tak jak to czynił wielokrotnie, dopuszczając mnie do swego umysłu, abym mógł zobaczyć to, co on widział, i dowiedzieć się tego, co on wiedział.

Poznać jego zasób wiedzy.

Przyswoić sobie, nawet nie rozumiejąc do końca, wszystkie te wiadomości, o których nigdy mi nie mówił; ujrzeć, nawet jeśli wykraczało to poza granice mego pojmowania, wszystko, co mógł mi jedynie pokazać.

Jak chociażby równania opisujące czas.

Niespodziewanie, gdy tylko przywołałem je w myślach, owe równania wypłynęły z głębin mej pamięci, a patrząc na nie – oczyma Kociopyska – ujrzałem, w jaki sposób należy je rozwiązać i jak zastosować w praktyce.

Miocen – pomyślałem – dwadzieścia pięć milionów lat w przeszłość. Równania rozwiązały się same, wykonałem jeszcze kilka niezbędnych rzeczy i oto stworzyłem przejście w czasie.

Rozdzieliliśmy się, jego umysł odpłynął. Nie byliśmy już zespoleni, nie patrzyłem jego oczyma. A równania... równania... one przecież... Nie, utraciłem je, zapomniałem ich postaci, przepadła wiedza o sposobie wykorzystania. O ile rzeczywiście ją posiadałem. Znow byłam wyłącznie ograniczoną istotą ludzką, kimś, kto ośmielił się marzyć, że zdołał stworzyć przejście w czasie, wykorzystując wskazówki i wiedzę zaszczerpioną mu, przekazaną poza kontrolą świadomości, ofiarowaną przez istotę będącą obecnie daleko wśród gwiazd czymś na kształt bóstwa.

Stwierdziłem, że cały dygoczę. Zgarbiłem się i złączyłem przed sobą dłonie, mocno, żeby powstrzymać ich drżenie. przeklęty głupcze – powiedziałem w duchu – udało ci się samemu wprowadzić w klasyczny trans. Weź się w garść, kretynie, wróć z obłoków na ziemię.

A jednak... przecież...

No już! – krzyknąłem w myślach na siebie. – Zrób tych kilka kroków do przodu! Wypróbuj swój idiotyczny tunel czasowy! Sam zobaczysz! Nie ma przejścia do miocenu.

Zmusiłem się, żeby wykonać krok, i znalazłem się w miocenie. Słońce chyliło się ku zachodowi, silny północny wiatr kładł łany soczystej trawy. W dole zbrocza, jakieś czterysta metrów ode mnie, pasąca się tytanoteria – niezgrabny stwór z cudacznym, błyszczącym w promieniach słońca rogiem na końcu pyska – uniosła w górę łeb i głośno ryknęła na mnie.

Ostrożnie zawróciłem, cofnąłem się o krok i oto znow byłam pośrodku parkingu. Schyliłem się, ściągnąłem buty i ustawiłem je jeden za drugim, znacząc wejście do tunelu. Później, w samych skarpetkach, poszedłem na koniec parkingu i wróciłem z całym naręczem ponumerowanych słupków,

które – wbijane w ziemię – służyły do wydzielania miejsc postoju dla poszczególnych pojazdów. Po drodze znalazłem wielki jak pięść kamień i posługując się nim powbijałem słupki, wyznaczając szlak prowadzący do miocenu.

Gdy skończyłem, usiadłem na ziemi, żeby założyć z powrotem buty. Ogarnęło mnie nagle straszliwe zmęczenie, byłem wycieńczony. Powinno mnie rozpierać poczucie triumfu, ale jakoś nie mogłem go w sobie odnaleźć. Czułem jedynie ogromną ulgę i spokój. Wiedziałem, że teraz wszystko już będzie dobrze – jeśli zdołałem otworzyć przejście do miocenu, mogłem równie dobrze konstruować inne tunele czasowe. Nie sam, gdyż ja tego nie potrafiłem. Nie umiałem tego w swojej obecnej postaci. Ale łącząc się umysłem z Kociopyskiem...

Dobrą chwilę zajęło mi założenie butów – moje palce poruszały się wyjątkowo niezgrabnie. Wreszcie wcisnąłem w nie stopy, podniosłem się i poszedłem w kierunku bramy. Musiałem zrobić coś niezwykle pilnego. Powinienem jak najszybciej powiadomić Rilę, że będziemy mogli zatrzymać Mastodonię wyłącznie dla siebie.

Przypisy

[1] *Modrak – amerykański krewniak drozda (przyp. tłum.).*

[2] *Wojak – ptak z rodziny szpaków (przyp. tłum.).*

[3] *Podgatunek olbrzymiego niedźwiedzia brunatnego (przyp. tłum.).*

[4] *Odmiana renifera amerykańskiego (przyp. tłum.).*

[5] *Potoczna nazwa sąsiadujących z sobą, położonych po obu stronach Missisipi miast Minneapolis oraz Saint Paul (przyp. tłum.).*